

Wejherowski Konkurs Literacki

Powiew Weny



POWIATOWA I MIEJSKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA W WEJHEROWIE
IM. ALEKSANDRA MAJKOWSKIEGO

WEJHEROWO 2008

Wejherowski Konkurs Literacki

Powiew Weny

Wejherowski Konkurs Literacki

**Pod patronatem
Prezydenta Miasta Wejherowa**

WEJHEROWO 2008

Wydawca:

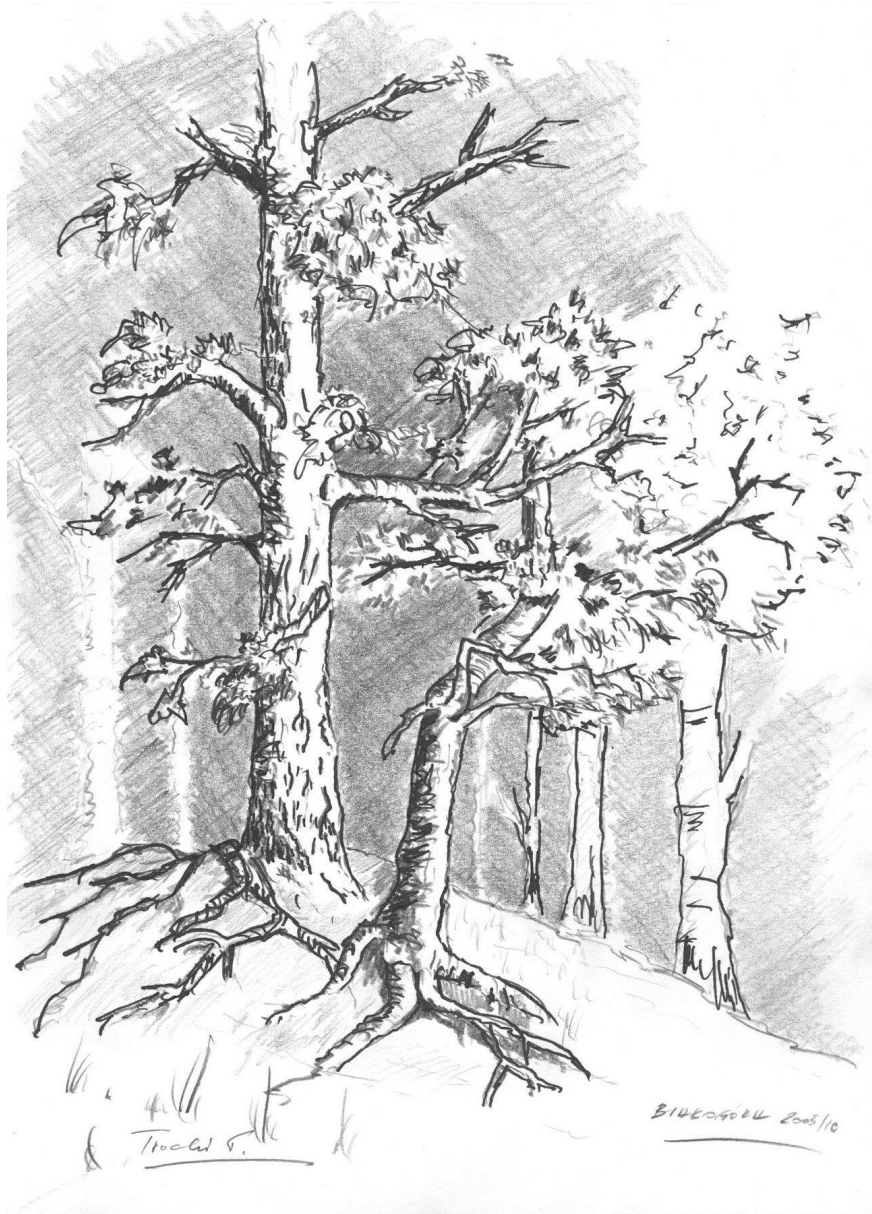
**Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Aleksandra Majkowskiego w Wejherowie**

Opracowanie, skład komputerowy i korekta: Henryk Połchowski

Projekt okładki: Henryk Połchowski

Grafika: Tadeusz Trocki

Druk: Drukarnia ACTEN Wejherowo



W Y N I K I

Wejherowskiego Konkursu Literackiego „Powiew Weny - 2008”

Prace konkursowe oceniało jury w składzie: Bogdan Tokłowicz - przewodniczący (zastępca prezydenta Wejherowa, nauczyciel), członkowie - Danuta Balcerowicz (dyrektor biblioteki, polonista), Eugenia Drawz (polonista), Grażyna Wirkus (kustosz Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie, polonista), Tomasz Fopke (naczelnik Wydziału Kultury i Spraw Społecznych Starostwa Powiatowego w Wejherowie) oraz Henryk Połchowski (redaktor prowadzący „Nowiny” Biuletyn Informacyjny Urzędu Miejskiego w Wejherowie, polonista).

A - grupa do lat 19

PROZA

- 1 nagroda: nie przyznano.
- 2 nagroda: Lidia Zdzitowiecka - „Temida” (Gościcino).
- 3 nagroda: Karolina Rost - „black_angel” (Bolszewo).

POEZJA

- 1 nagroda: Luiza Czupajło - „Czekolada” (Wejherowo).
- 2 nagroda: Aneta Fuhrmann - „Something_else” (Bolszewo).
Marcin Pelcer - „Mayas” (Barłomino).
- 3 nagroda: Izabela Jagła - „Tajfun” (Gościcino).

B - grupa dorosłych

PROZA

- 1 nagroda: Mirosław Odyniecki - „Aquarius” (Wejherowo).
- 2 nagroda: Lucyna Kurpiewska - „Apejron” (Wejherowo).
- 3 nagroda: Magdalena Topp - „Awenturyrna” (Wejherowo).
- Wyróżnienie: Hanna Bemke - „Skolopendra” (Wejherowo).
Tadeusz Buraczewski - „Jowita” (Reda).

POEZJA

- 1 nagroda: Tadeusz Buraczewski - „Jowita” (Reda).
- 2 nagroda: Maria Grzebińska - „Jowita” (Wejherowo).
- 3 nagroda: Piotr Skurzyński - „010010001” (Gdynia).
- Wyróżnienie: Lilia Wilczyńska - „Atlantyda13” (Gościcino).

Drodzy Czytelnicy!

Trzecia edycja Wejherowskiego Konkursu Literackiego „Powiew Weny” zrealizowana w 2007 roku przez Powiatową i Miejską Bibliotekę Publiczną im. Aleksandra Majkowskiego w Wejherowie pod patronatem Prezydenta Miasta Wejherowa miała charakter szczególny.

Po pierwsze odbywała się w Roku Kalwarii Wejherowskiej, więc organizatorzy poddali twórcom temat, który miał ich zainspirować do skierowania swoich zainteresowań literackich w stronę duchowego wnętrza. Stąd motto konkursu: „Słowa z głębin duszy”. Po drugie konkurs literacki „Powiew Weny” był częścią większego projektu prowadzonego przez wejherowską bibliotekę pt. „Z książką od Kaszub do Europy”, na który placówka otrzymała dofinansowanie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w wysokości ok. 20 tys. zł. Autorem projektu była Danuta Balcerowicz - dyrektor Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Wejherowie.

Na całość projektu skierowanego do mieszkańców Wejherowa i powiatu wejherowskiego składały się trzy moduły: warsztaty literackie, zajęcia z biblioterapii i Konkurs Literacki „Powiew Weny”

Warsztaty literackie miały miejsce w dniach od 1 września do 15 listopada 2008 roku i wzięło w nich udział ok. 600 osób. W ramach tych warsztatów odbywających się w bibliotekach na terenie Wejherowa oraz okolicznych miast i gmin, odbyło się kilkanaście spotkań z literatami Pomorza. Wykład inauguracyjny w wejherowskiej bibliotece wygłosił pisarz i literaturoznawca profesor Stefan Chwin z Uniwersytetu Gdańskiego, a w spotkaniach literackich wzięli udział: Roman Drzeżdżon z grupą poetycką ZYMK, Ewa Warmowska, Piotr Schmandt, Zbigniew Jastrzębski, Zbigniew Jabłoński, Eugeniusz Pryczkowski, Stanisław Janke, Edmund Szczesiak, Ida Czaja, Jerzy Stachurski, Marian Selin i Stanisław Pestka. Dla wielu mieszkańców naszego regionu była to nie bywała okazja, aby spotkać się z uznanymi twórcami oko w oko, a nawet nawet porozmawiać osobiście.

Warto podkreślić, że 20. osoba grupa miłośników literatury (a były to głównie osoby piszące), miała okazję uczestniczyć w 40. godzinnych zajęciach językoznawczych prowadzonych przez dr Anetę Lewińską z Uniwersytetu Gdańskiego obejmujących m.in. zagadnienia semantyki i analizy literackiej. Spore zainteresowanie wywołały również 20. godzinne zajęcia z biblioterapii

odbywające się w czytelniach bibliotecznych, które przeprowadziła specjalista-biblioterapeuta Katarzyna Dettlaff-Lubiejewska.

W konkursie literackim „Powiew Weny 2008” stanowiącym zwieńczenie projektu „Z książką od Kaszub do Europy” wzięło udział 44 twórców, którzy nadali 48 prac. Na plon konkursu składa się w sumie 12 opowiadań i ponad 100 wierszy, z czego większość znalazła się na stronach tej pozycji.

Ta publikacja książkowa, wydana przez naszą bibliotekę, jest pokłosiem wejherowskiego konkursu literackiego. Z pełnym przekonaniem polecam uważnie czytelników zawarte w niej utwory, gdyż uważam, że są wartościowe i ciekawe. Myślę, że warto poświęcić kilka godzin na ich przeczytanie, aby przekonać się, iż w naszym regionie mieszka wiele osób o literackim zacięciu.

Dziękuję komisji konkursowej: Danucie Balcerowicz, Eugenii Drawz, Grażynie Wirkus, Tomaszowi Fopke i Henrykowi Połchowskiemu za społeczną ocenę prac nadanych na konkurs.

Jeszcze raz polecam Państwu tę pozycję zycząc interesującej lektury. Zaś mieszkańców ziemi wejherowskiej obdarzonych uzdolnieniami literackimi zapraszam do kolejnej edycji konkursu „Powiew Weny” w 2009 roku.

Bogdan Tokłowicz

Przewodniczący Komisji Konkursowej
Zastępca Prezydenta Miasta Wejherowa

WYNIKI

Wejherowskiego Konkursu Literackiego **„POWIEW WENY - 2008”**

Prace konkursowe oceniało jury w składzie: Bogdan Tokłowicz - przewodniczący (zastępca prezydenta Wejherowa, nauczyciel), członkowie - Danuta Balcerowicz (dyrektor biblioteki, polonista), Eugenia Drawz (polonista), Grażyna Wirkus (kustosz Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie, polonista), Tomasz Fopke (naczelnik Wydziału Kultury i Spraw Społecznych Starostwa Powiatowego w Wejherowie) oraz Henryk Połchowski (redaktor prowadzący „Nowiny” Biuletyn Informacyjny Urzędu Miejskiego w Wejherowie, polonista).

A - grupa do lat 19

PROZA

- 1 nagroda: nie przyznano.
- 2 nagroda: Lidia Zdzitowiecka - „Temida” (Gościcino).
- 3 nagroda: Karolina Rost - „black_angel” (Bolszewo).

POEZJA

- 1 nagroda: Luiza Czupajło - „Czekolada” (Wejherowo).
- 2 nagroda: Aneta Fuhrmann - „Something_else” (Bolszewo).
Marcin Pelcer - „Mayas” (Bałomino).
- 3 nagroda: Izabela Jagła - „Tajfun” (Gościcino).

B - grupa dorosłych

PROZA

- 1 nagroda: Mirosław Odyniecki - „Aquarius” (Wejherowo).
- 2 nagroda: Lucyna Kurpiewska - „Apejron” (Wejherowo).
- 3 nagroda: Magdalena Topp - „Awenturyna” (Wejherowo).
- Wyróżnienie: Hanna Bemke - „Skolopendra” (Wejherowo).
Tadeusz Buraczewski - „Jowita” (Reda).

POEZJA

- 1 nagroda: Tadeusz Buraczewski - „Jowita” (Reda).
- 2 nagroda: Maria Grzesińska - „Jowita” (Wejherowo).
- 3 nagroda: Piotr Skurzyński - „010010001” (Gdynia).
- Wyróżnienie: Lilia Wilczyńska - „Atlantyda13” (Gościcino).



Na wiejskim weselu w Górcie Małej

Mogła nie jechać z Krzysztofem na ten reportaż do Ustki, nikt jej nie kazał, ale po prostu chciała. Nie tylko dlatego, że od Krzysztofa można było wiele się nauczyć, co jej, początkującej dziennikarce, zawsze mogło się przydać. Ale głównie dlatego, że z Krzysztofem byli razem już od jakiegoś czasu, czego zresztą w ogóle nie kryła, a raczej starała się dawać wszystkim do zrozumienia, że ten oto mężczyzna jest jej. Krzysztof, kilkanaście lat starszy od niej i o wiele dłużej niż ona, początkująca dziennikarka lokalnej TV, pracujący w branży, miał już pewną renomę. Imponowało jej, że znało go wielu miejscowych vipów, często pierwsi wybiegali wręcz na powitanie z wyciągniętą ręką, zwracając się do niego „panie redaktorze” albo bardziej poufale „panie Krzysiu”. Przy nim i ona stawała się obiektem zainteresowania, choć i tak wiedziała, że uroda nie jest jej słabą stroną i jak coś normalnego traktowała błysk podziwu w oczach mężczyzn. Szczególnie widoczne było to we wzroku tych podstarzałych biznesmenów czy polityków. Zresztą, jak doszła do wniosku po pewnym czasie, oni wcale nie starali się tego ukrywać, wręcz przeciwnie, należało to do ich samczego rytuału. A jej to mimo wszystko schlebiało.

Z Krzysztofem wyszło tak jakoś samo, choć w skrytości ducha od dawna starała się zwrócić na siebie jego uwagę. Tak się składało, w czym zresztą nieraz była jej osobista zasługa, że to z nim często kręciła materiały. No i pewnego razu stało się. Byli już razem od pół roku. Wiedziała, że Krzysztof był już żonaty, miał córeczkę, ale mieszkał samotnie. Rozstali się z żoną ponad rok temu. Jak twierdził, z powodu niezgodności charakterów. Nie przeszkadzało jej to zupełnie.

Tego dnia, po nakręceniu materiału, Krzysztof zaproponował jej wypad na ustronną plażę koło Białogóry. Czasu mieli sporo, materiał nie był pilny, mogli więc sobie dać nieco luzu. Początkowo nie chciała, wymawiała się brakiem kostiumu, ale Krzysztof ją wyśmiał.

- Ja też nie mam - powiedział śmiejąc się. - To jest dzika plaża, nikogo tam nie ma, a jeśli już, to też nie mają. Czego pękasz?

Faktycznie, było dziko i pusto. Jedyne wczesnojesienne, ale jeszcze mocno grzejące słońce, morze, żółty piach, pisk mew i szmer bryzy w długich włosach traw porastających wydmy... I oni na szczycie wydmy, jakby zawieszeni między niebem a ziemią... Nie miała więc żadnych oporów przed opalaniem

się i kąpielą na golasa. Nawet seks, który uprawiali wprost na szeleszczącym piachu, przyprowadził ją o nieznane dotąd doznania. Tylko, że potem ta rozmowa... Jakoś tak wyszło, sama nie wiedziała zbyt dobrze, czy to nastrój chwili, czy długo skrywane przed nim i przed samą sobą plany sprawiły, że napomknęła o byciu razem z nim tak naprawdę. O wspólnym zamieszkaniu, o małżeństwie...

Krzysztof długo milczał. Widać było, że nie wprawiło go to w euforię.

- To nie wchodzi w grę - powiedział po chwili. - Przynajmniej na razie. Wiesz, że niedawno rozstałem się z żoną i wybaczone, ale jeszcze nie jestem gotowy do kolejnego trwałego związku. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz?

Powiedziała, że tak, ale nie zdołała ukryć rozczarowania. I goryczy, co w niej była. Była też wściekła na samą siebie. To wszystko przez tę plażę - pomyślała - i ten pieprzony nastrój. Co jej strzeliło do głowy? Teraz to już na pewno ma przerabane. Krzysztof nie jest jeszcze na to gotowy, przestraszy się i po prostu zostawi ją. Jak amen w pacierzu....

Siedzieli chwilę w milczeniu, nie patrząc na siebie. W końcu Krzysztof usiłował naprawić nastrój.

- Nie martw się, mała - powiedział obejmując ją nagim ramieniem. - To się wszystko jeszcze może zmienić. Ważne, że teraz jesteśmy razem, nic innego się nie liczy.

Odsunęła jego rękę i odwrócona tyłem, zaczęła się ubierać. Była niemal pewna, że to tylko takie jego gadanie. Wkładając zegarek zorientowała się, że jest już późno. Spędzili na plaży prawie cztery godziny. Gdy wkładała krótką sukienkę, poczuła, że jej ciało przebiegają dreszcze.

- Czyżbym się opaliła? - pomyślała. - Cholera, nie wzięłam żadnego kremu. Jak ja będę wyglądać?

W drodze powrotnej niemal wcale nie odzywali się do siebie. Krzysztof wybrał jakieś boczne, kręte i wąskie drogi, na których nie było prawie żadnego ruchu. Po kilkudziesięciu minutach jazdy, gdy skręcili na krzyżówce w jakąś szerszą drogę, coś naraz chrupnęło w aucie, silnik wskoczył na obroty, ale wóz przestał ciągnąć.

- Kurwa, coś walnęło - zaklął Krzysztof. - Mamy problem..

Zatrzymali się na poboczu. Jak stwierdził Krzysztof po obejrzeniu auta, dalsza jazda była niemożliwa. Nie wiadomo było, jak daleko jest do najbliższej wsi. Na dokładkę okazało się, że komórka nie ma zasięgu.

- Zrób coś, Krzysztof - denerwowała się. - Jesteś mężczyzną...

- I co z tego? - odparł z przekąsem. - Najlepszy macho tego na szosie nie naprawi. Trzeba czekać, aż ktoś będzie przejeżdżał i nas zaholuje, albo podrzuci do wsi. W najgorszym wypadku zrobimy sobie spacer.

Była po prostu wściekła. Nie wiedziała na kogo bardziej: na siebie, że zgodziła się na wypad nad morze, czy na Krzysztofa, że tak pięknie opisywał

uroki dzikiej plaży. Gdyby nie to, nie doszłoby do tej rozmowy akurat dziś. Może później, w innej sytuacji, z innym finałem. I akurat teraz musiał nawalić samochód. Akurat w tym głupim, zapomnianym przez ludzi miejscu, na bocznej, nie uczęszczanej drodze biegnącej przez ogromny, ciemny i stary las. Takie przynajmniej wydawało się jej to miejsce, jej, od lat nie wyściubiającej nosa poza wielkomięskie osiedla. Czasem jedynie bywała w mniejszych miejscowościach, ale krótko, tyle tylko, ile musiała. Jej żywiołem był tłum, gęstwa ludzi, duszna atmosfera pubów i dyskotek. Czasem jakaś modna restauracja czy kawiarnia. To wszystko co było poza, to była jakaś dzika egzotyka, znana jedynie z mediów czy opowiadań znajomych, którzy coś tam, gdzieś na głupiej prowincji, czy, jak to się określało z ironią - zadupiu - kręcili, nagrywali, pisali. Gdy wracali do miasta, mówili zwykle: wiesz, byłem tam, gdzie wrony zawracają. Albo nieco brutalniej: cholera, tam psy dupami szczekają!

Czekali tak prawie pół godziny. Przejechały trzy samochody, ale żaden nie reagował na dawane przez nich znaki. Dopiero po dłuższej chwili usłyszeli warkot silników, głośnie klaksonów i zza zakrętu wyłoniła się cała kawalkada aut. Pierwszy jechał mercedes z olbrzymią lalką na masce, przepasany kolorowymi wstęgami. Przywiązane do zderzaków i ... klamek drzwi bujały się na wietrze różnokolorowe balony. Podobne balony przywiązane były do pozostałych samochodów, nawet do zamykających kolumnę maluchów.

Mieli szczęście. Kawalkada okazała się orszakiem weselnym wracającym z parafialnego kościoła do domu panny młodej, gdzie czekało weselisko. Co prawda, nikt nie miał linki do holowania, ale gdy weselnicy zobaczyli kamerę i dowiedzieli się, że mają do czynienia z dziennikarzami, nie było mowy o zostaniu na miejscu. Wsadzono ich do samochodów obiecując, że po przyjeździe zaraz ich auto zostanie ściągnięte i jeśli się da, naprawione. Zresztą Krzysztof, zobaczywszy barwny wiejski orszak, nie dał się długo prosić.

- Zrobimy z tego niezły materiał - powiedział wyciągając kamerę. - Słuchaj - dodał widząc jej niezbyt zachwyconą minę - rzadko się zdarza takie wiejskie wesele, nie pozowane, a w dodatku tu, na Kaszubach. Pamiętaj, trzeba umieć wykorzystać każdą okazję... Zobacz, co za typy ludzkie - dodał szeptem. - A czy ty wiesz, co się dzieje na wiejskich weselach?

Nie miała ani ochoty, ani nastroju na zabawę, choćby tak egzotyczną dla niej, jak wiejskie wesele. Musiała jednak przyznać, że Krzysztof miał rację. Już sam pan młody wart był kamery. Niezbyt wysoki, krępy, ogolony, zgodnie z ostatnim krzykiem mody, niemal do samej skóry, wbity w ciasno opinający go czarny garnitur, siedział sztywno trzymając za rękę swoją wybrankę. Twarz miał czerwoną, nie wiadomo - z przejęcia, gorąca czy wypitego dla kurażu alkoholu. Panna młoda jakby nieco wyższa od męża, okrągłolica blondynka z mocno ufryzowanymi włosami, cała była w bieli i w obowiązkowym wianku i welonie. Wydawała się dość tęga, ale, jak potem ktoś po cichu doniósł, ta jej

tęgość nie tylko od nadmiaru jedzenia była. Drużbowie niewiele różnili się od młodego. Tak samo ogoleni, sztywni w czarnych garniturach i czerwoni na twarzy. Również pozostali wydali jej się dość egzotyczni. W każdym razie im podobnych nie spotykała na co dzień.

Wsadzono ich do dwóch różnych samochodów i kawalkada ruszyła w drogę. Siedziała wciśniętą między dwóch tęgich mężczyzn w średnim wieku, z ogorzałymi twarzami. Po chwili wyczuła od nich woń lekko przetrawionego alkoholu. Nieco dziwną, ni to piwa, ni to whisky. Zrobiło jej się niedobrze. Na szczęście, do wsi okazało się dość blisko. Po chwili samochody zatrzymały się przed wiejskim obejściem. Brama przystrojona była girlandami, nad nią wisiał sporych rozmiarów napis „Serdecznie witamy!” trzymany w dzióbkach przez dwa gołąbki. Przy bramie zauważyła grajków: akordeonistę, saksofonistę i dziewczynę z tamburinem. Byli młodzi, wyglądali na dwadzieścia kilka lat, a dziewczyna, niewysoka brunetka o dużych, czarnych, jakby zamyślonych oczach, chyba nie miała jeszcze dwudziestki. Grali marsza a goście przechodząc obok nich sięgali do kieszeni i wciskali pieniądze dziewczynie do ręki. Krzysztof z kamerą w ręku zaczął kręcić.

Za bramą było spore podwórze, za nim niezbyt okazały murywany budynek z czerwonej cegły a nieco dalej inne zabudowania. Nie miała najmniejszego pojęcia do czego służą. W dużej budowli z pustaków krytej czymś, co przypominało eternit, szerokie wrota były otwarte, wewnątrz widać było ułożone szerokie wyczyszczone do białości deski z surowego drewna, u góry wiszące sznury kolorowych żarówek. W głębi stało, przykryte jakimś ciemnym materiałem, wysokie podium z instrumentami, mikrofonami i aparaturą nagłaśniającą. Pod materiałem dostrzegła koła, zorientowała się więc, że to jakaś przyczepa.

Gdy weszli na podwórze, z domu wyszło dwoje starszych ludzi niosąc chleb i sól. Podeszli do młodożeńców. Pan młody z namaszczeniem uczynił znak krzyża na chlebie, ułamał kawałek i maczając w soli włożył do ust. Po nim zrobiła to samo młoda i drużbowie. Krzysztof kręcąc tę scenę kiwnął na nią.

- To są chyba rodzice młodej - powiedział szeptem, gdy podeszła do niego. - Potem trzeba będzie z nimi pogadać chwilkę.

- O czym? - spytała nieco naburmuszona. Krzysztof wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

Widać było, że kamera i dwoje nieznajomych wzbudziły zainteresowanie rodziców młodej. Jeden z drużbów pośpieszył z wyjaśnieniem.

- Przywieźliśmy wam, pani Labudowa, prawdziwą telewizję - powiedział na cały głos, tak by go wszyscy słyszeli. - To są prawdziwe redaktory! Będzie w telewizji, zobaczycie! Kobieta nazwana Labudowa zmieszana się nieco.

- Ale, co tam? - zdziwiła się. - My w telewizji? Co za głupoty? Dlaczego to?

- Witam panią - Krzysztof, jak zwykle, umiał się znaleźć. - Tak się złożyło, że przez przypadek jechaliśmy tędy i zauważyliśmy to wspaniałe wesele i postanowiliśmy nakręcić trochę materiału. Być może coś z tego ukaże się, zobaczymy. Jak coś będzie, damy znać. I przywołałszy swój najbardziej ujmujący uśmiech, cmoknął kobiecinę w rękę.

Gości było sporo, chyba ponad sto dwadzieścia osób. Stoły ustawiono w tym budynku, gdzie stała scena dla orkiestry. Surowe ściany przyozdobione były czymś zielonym, czego nazwy zupełnie nie znała i kwiatami. Przyznała w duchu, że wygląda to dość ciekawie. Młodzi, ich rodzice, друзbowie i kilkoron najważniejszych, jak sądziła, gości, siedziało na krzesłach. Dla reszty przygotowano zbite z desek i wyłożone materiałem ławy. Siedzenia pary młodej były przystrojone czymś zielonym, nad krzesłami, na równie zielonym tle złote litery układały się w napis „Szczęść Boże Młodej Parze!” Najmłodsza część gości okupowała końcówki stołów. Było ich sporo. Zwróciła uwagę na dziewczyny. Część z nich ubrana była niczym dorosłe kobiety, w długie dość ciężkie suknie, widocznie w ich pojęciu świadczące o elegancji. To, co miały na głowach przypominało jej nocne koszmary pijanego fryzjera. Były jednak i takie, które ubrane były jak nastolatki, choć i tu dostrzegła w kilku przypadkach kompletny brak gustu. Jakaś blond piękność o posturze ciężarówky wcisnęła się w obcisłe mini w kolorze wścieklej purpury. Gdy szła, jej pośladki przelewały się w rytm kroków a grube uda niemal słyszalnie ocierały się jedno o drugie. I jeszcze te kabaretowe rajstopy! Zresztą wszystkie dziewczyny, mimo, że było gorąco, miały na sobie rajstopy. No, cóż, taki wiejski szyk, pomyślała i przez chwilę zastanawiała się, jak ona, ubrana w lekką, letnią i króciutką sukienkę, z gołymi nogami, wygląda na tym tle.

Posadzono ją między Krzysztofem a ojcem młodej, sympatycznym dość mężczyzną, tak na oko koło pięćdziesiątki, może nieco więcej. Zauważyła, że goście rozsiedli się po obu stronach ustawionych w podkowie stołów jakby w dwóch grupach, wyraźnie od siebie rozdzielonych. Jedna z nich była wyraźnie mniej liczna. Jak się domyślała, były to goście z dwu różnych stron. Jedni ze strony młodej, drudzy młodego. Tak bywało i w mieście. Dopiero później w miarę jak się impreza rozkręcała, stopniowo podziały zacierały się, jedni zapoznawali się z drugimi, aż w końcu wszyscy znali niemal wszystkich. Co prawda, nigdy nie była na weselu, na którym byłoby aż tyle osób. Co wieś, to wieś, skonstatowała w duchu.

Po obiedzie Krzysztof wraz z jednym z gości pojechał po pozostawiony na drodze samochód. Nie było go ponad pół godziny. W tym czasie orkiestra zaczęła grać pierwsze utwory. Jako pierwsza wyszła do specjalnego tańca para młoda. Po nich część gości, głównie młodzi, ruszyła na deski. Reszta w dość szybkim tempie opróżniała stojące gęsto na stołach butelki weselnych napitków.

Na razie orkiestra grała dość smętne kawałki, z których nieliczne tylko rozpoznawała. Na szczęście muzycy odłożyli akordeon i saksofon. Grali na

dwóch syntezatorach a dziewczyna śpiewała. Głos miała nieduży, ale sympatyczny. Gdy zaczęli grać „Miłość w Portofino”, jakiś młodzieniec poprosił ją do tańca. Wzrok miał już mocno błyszczący, na czole kropelki potu, ale był dość sympatyczny.

- Dziękuję - mimo tego odmówiła - ja tu służbowo jestem.

- To w niczym nie przeszkadza - upierał się.

- Może później - uznała temat za wyczerpany.

Młodzieniec chwilę stał jeszcze naprzeciw niej, potem widząc, że nie zwraca na niego uwagi, wzruszył ramionami i odszedł.

- Trzeba było zatańczyć - odezwał się ojciec młodej. - Pani redaktor taka młoda i ładna, trzeba korzystać, jak proszą... To jest porządny chłopak, w wojsku jest teraz... A może mąż jest zazdrosny?

- Nie mam męża - odparła.

- No, to co szkodzi?

- Po prostu nie mam ochoty - ucięła temat, ale widząc, że nie przypadło to do gustu rozmówcy, załagodziła. - Wolałabym porozmawiać z panem.

- Tak? A o czym?

- No, o tym wszystkim - gorączkowo zastanawiała się o co go pytać, by nie wypaść z roli. - Co pan robi, kim pan jest, co robi córka, jej mąż i tak w ogóle...

- Pani, a co w tym ciekawego? Mam tu gospodarstwo po ojcu, teraz przekażę je córce i zięciowi i to wszystko... W czterdziestym szóstym ojciec tu się osiedlił, dostał od państwa gospodarkę. Bo przedtem, wie pani, ojciec mieszkał jakieś sześćdziesiąt kilometrów stąd na południe; na Kaszubach...

- A to nie Kaszuby?

- Niby jo... Ale to przed wojną były niemieckie ziemie, dopiero po wojnie nasze. Ojciec zięcia też niedaleko stąd, w sąsiedniej wsi się osiedlił, ale on, wie pani, to z tej akcji przesiedleńczej, co to po wojnie była... Aż tam zza Przemysła...

- A już wiem - przypomniała sobie lekcje ze szkoły - akcja „Wisła”. To oni są Ukraińcami?

- Ale skąd - zaprzeczył. - Jacy Ukraińcy!?! Tych to osiedlali dalej na zachód.

- Ale nie Kaszubi?

- Nie. I wie pani co, jak ich władza przerobiła? Osiedlili ich tu, dali ziemię, a potem kazali robić te pegeery. U nas też próbowali, ale w końcu dali nam spokój. I my zostaliśmy na swoim. A oni teraz nie mają nic. Wie pani, jaka tam bieda z nędzą?

- No, słyszałam - przyznała. W końcu media dość często trąbiły o sytuacji w byłych wsiach popegeerowskich.

- Ale mój zięć to porządny chłopak - zastrzegł się. - Ma fach i pracuje w firmie budowlanej. A jakby co, to ma ziemię. Przecież im dam to, co mam.

- A nie przeszkadza panu, że zięć z tych obcych, przyjezdnych?

- Jaki On tam obcy? - zachnął się. - Tu się urodził, tu go matka wykarmiła... A zresztą oni tak samo jak i my, przyjezdni, a tak właściwie to już tutejsi zupełnie...

- Ale nie Kaszubi?

- Ano, nie...

- Nie ma jakichś zadrażnień, no, wie pan, kłótni między Kaszubami a tymi przesiedleńcami?

- Niby dlaczego? - zdziwił się. - My też przesiedleńcy, bo po wojnie tu prawie nikogo nic było... A przed wojną to więcej tu były Niemcy. I też jakoś żyli. Dopiero jak te hitlery nastąpiły, to się trochę porobiło, ale to nie tak, że jedni Niemcy a drudzy Kaszubi, czy Polacy. Ze zwykłej ludzkiej podłości się porobiło, z nienawiści, co jej zawsze między ludźmi pełno. Dziś też tylko dlatego ludzie się kłócą. A młodzi, jak to młodzi, pobijają się czasem, muszą się wyszumieć, o panny pobić albo o co innego, żeby pokazać, kto silniejszy... Jak to młodzi... Napije się pani redaktor? - nagle zmienił temat.

Nie miała, prawdę mówiąc, specjalnej ochoty na alkohol. Czowała, że zaczyna ją palić skóra przypieczona słońcem. W końcu spędziła na plaży cztery godziny i choć to początek września, słońce jednak przypiekało trochę.

- Wie pan - próbowała się wymówić - trochę spiekłam się dziś na plaży i nie bardzo ...

- To dobrze zrobi, przestanie piec skóra... Jeden na pewno nie zaszkodzi... Tu mam coś naprawdę dobrego, samo robiłem - pochwalił się.

- No, dobrze, może jeden - uległa.

Nalał z ciemnej butelki jakiegoś jasnozłocistego płynu. Ostrożnie uniosła kieliszek i powąchała. Pachniało czymś nieznanym, ale dość zachęcająco.

- No, to na zdrowie - zachęcił ojciec młodej.

- Na zdrowie - stuknęła się z nim.

Płyn początkowo sprawiał wrażenie czegoś łagodnego, ale po chwili rozlał się piekącym, ale jednocześnie zupełnie przyjemnym smakiem po przełyku i żołądku.

- Co to jest? - zapytała, z trudem łapiąc oddech.

- A to taka wódka, którą robić nauczyli mnie ci z pegeeru. Taka nalewka na kwiatkach czarnej porzeczki. Zdrowa, jak rzadko która - zapewnił.

Po chwili poczuła jak ciepło rozlewa się po całym ciele. Uczucie pieczenia jakby zmalało a po chwili zupełnie znikło. Zrobiło się jakby weselej.

- Nie mamy wyjścia, musimy zostać na weselu - powiedział Krzysztof po powrocie. - Dziś już nie ma żadnego połączenia z miastem, chyba, że ścia-

gniemy taryfę. Jest tu jakiś warsztat, ale właściciel, wiesz, ten, co mnie przyholował, też bawi się na weselu i nie naprawi nam wozu wcześniej, niż jutro po południu. Obiecał mi, że możemy u niego się przespać.

Była już po dwu kieliszkach nalewki, skóra nie piekła i świat wydawał się lepszy, nawet rozmowa z Krzysztofem jakby uległa zatarciu. Coraz bardziej miała ochotę na zabawę. Nie przeszkadzało jej nawet to, że orkiestra w stylu disco-polo, którego nie cierpiała.

W końcu Krzysztof zaprosił ją do tańca. W pewnym momencie usłyszała „odbijany” i z ramion Krzysztofa powędrowała w inne. Okazało się, że jest to ten sam młodzieniec, który na początku prosił ją do tańca i któremu odmówiła. Uśmiechnął się do niej chwytając ją w ramiona. Mimo woli odwzajemniła uśmiech. Tańczyli nic nie mówiąc do siebie. Gdy utwór skończył się, nie puścił jej ręki. Po chwili orkiestra zagrała „Beatę”. Kątem oka zobaczyła, że Krzysztof tańczy z jakąś małą dość czule przytulając ją do siebie. Nie zareagowała więc, gdy partner przyciągnął ją do siebie. Nie tylko poddała się mu, lecz sama przejęła inicjatywę zarzucając mu ręce na szyję. Początkowo wydał się nieco zaskoczony, ale po chwili poczuła, że całym ciałem napiera na nią. Nie było to niemiłe. Wyczuwała jego szerokie ramiona, muskularne uda, twarde brzuch. Po chwili, gdy przytuliła się mocniej wciskając swoje nogi między jego uda, poczuła coś więcej. Chciała się odsunąć, ale partner przytrzymał ją i jeszcze mocniej przytulił do siebie. Po chwili wahania poddała się mu. Czowała, jak jego ręce obejmując ją błędzą po jej odsłoniętych plecach schodząc stopniowo i wolno coraz niżej. Uświadomiła sobie, że sprawia jej to przyjemność, poczuła naraz jego gorący oddech na karku i dreszcz przebiegający po plecach. Jednak, gdy jego dłonie dotarły do pośladków, odsunęła się gwałtownie. Usiłował ją przycisnąć, ale na szczęście orkiestra skończyła grać. Odsunęła się od niego i spojrzała mu w oczy. Spostrzegła, że uśmiecha się. Nie była pewna tego jego uśmiechu. Z. niej, czy do niej? Na wszelki wypadek też się uśmiechnęła.

- Dziękuję - powiedział - świetnie tańczysz.

- Pan też - odparła akcentując słowo „pan”. - Nawet zbyt świetnie.

- Staram się... - roześmiał się przekornie.

Wróciła na miejsce. Krzysztofa nie było. Siedział przy innym stole, pograżony w rozmowie z grupą młodych dziewcząt.

- Pani redaktor, może jeszcze jednego? - usłyszała głos ojca młodej.

Skinęła potakująco głową. Ten kieliszek smakował jeszcze lepiej. Zapaliła papierosa udając sama przed sobą, że zupełnie nie interesuje ją, co robi Krzysztof. Spojrzała na młodą parę. On ocierał krople potu z czerwonego czoła, ona wachlowała się chusteczką. Spostrzegli, że przygląda się im. Młody wstał, sięgnął po butelkę i podszedł do niej.

- Teraz proszę napić się ze mną - powiedział nalewając do jej kieliszka ciemnozłocistego płynu. - Za zdrowie młodej pary. Tego nie można odmówić

- Do dna! - zastrzegł. Wychyliła kieliszek i aż ją zatkało.
- Co to jest? - wykrztusiła po chwili z trudem łapiąc oddech. Młody roześmiał się.

- A to taka nasza wódeczka - powiedział. - Proszę popić oranżadę, zaraz przejdzie... Dobre? - zapytał po chwili, gdy po łyku oranżady doszła nieco do siebie.

- Paskudne! Za mocne! To spirytus?

- Gdzie tam spirytus - odezwał się ojciec młodego. - Zwykła przepalanka na bimberku. Ale moc swoją ma - pochwalił się. - Normalnie pali się.

Orkiestra znowu zaczęła grać, tym razem jakiegoś walca. Słów piosenki nie rozumiała, brzmiała jakoś dziwnie, niby po polsku, ale tak jakoś inaczej. Po chwili niemal wszyscy goście zaczęli śpiewać refren razem z zespołem. Ojciec młodej podniósł się i sztywno kłaniając się poprosił ją do tańca.

Było już ciemno, gdy poczuła się zmęczona. I zła na Krzysztofa, który, odwrotnie niż ona, doskonale bawił się ze wszystkimi. Dla niej znalazł czas jedynie na dwa tańce. W pozostałych obtańcowywał miejscowe piękności nie opuszczając nawet ich matek. Ją nieco śmieszyły te przedpotopowe rytmy i wygibasy na deskach. Patrzyła na spoconych mężczyzn obłapiających jedną ręką nie mniej spocone partnerki a drugą zataczających półkola, wiosłujących w rytm kroków raz - raz - dwa, raz - raz- dwa. I tak w kółko. Odmawiała więc, gdy proszono ją do tańca. Siedziała przy stole obserwując tańczących i pijących i coraz bardziej czuła się obco. Co za egzotyka! - śmiała się w duchu.

- Jak się bawisz? — zapytał w przewie między tańcami, gdy wreszcie usiadł przy niej. - Zmęczona jesteś? - pogłaskał ją po dłoni. - Jeszcze trochę musimy poczekać aż będą te wszystkie obrzędy, no, wiesz, oczepiny i te inne. Nakrećmy to i możemy pójść spać.

Ciągle głaskał ją po dłoni. Oczy miał błyszczące czernią głębokiej nocy, gęste, nieco przydługie włosy, którymi uwielbiała się bawić w chwilach zbliżenia, były nieco potargane, drobne, zlepione potem kosmyki opadały mu na czoło. W przyćmionym świetle kolorowych żarówek wyglądał wyjątkowo młodo, zupełnie nie na swoje trzydzieści trzy lata. Świetny facet, ten Krzysztof, westchnęła w duchu i mimo woli uśmiechnęła się do niego.

- Muszę do toalety - powiedziała wysuwając dłoń. - Nie wiesz, gdzie to jest?

- Pani redaktor - usłyszała głos ojca młodej - proszę pójść do domu, tam jest... My to nie musimy tam chodzić - roześmiał się rubasznie do Krzysztofa.

- Wyjdziemy se na stronę i po krzyku, ale pani musi do domu...

- No - przytaknął Krzysztof. - Jeszcze za stodołą coś by jej się przytrafiło...

Łazienka okazała się zupełnie przyzwoita. Wanna, prysznic, ściany wyłożone kafelkami, sporych rozmiarów lustro, zupełnie jak w mieście. Spojrzała w lustro i aż przestraszyła się. Twarz miała czerwoną, niemal purpurową. Jak ja

wyglądam, jęknęła w duchu. Sięgnęła do torebki. Na szczęście zawsze wozila ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy. Wyjęła krem, puder i grzebień i zaczęła doprowadzać się do porządku.

Gdy wyszła z domu, pierwsze, co ujrzała, to ogromna, czerwona gęba księżycy wyłaniająca się zza horyzontu i kładąca na okolicę niesamowitą bladą poświatę. Wciągnęła w płuca spory haust powietrza. Było jakieś inne, przesiąknięte nieznanymi aromatami a przy tym ostre, niemal do bólu. Zakręciło jej się nieco na moment w głowie. Z otwartych drzwi stodoły, tak, chyba to jest stodoła, doszła do wniosku, dobiegały dźwięki muzyki i głośne krzyki dziewczyn. Nie miała ochoty wracać do tego hałasu. Trochę się przejdę, postanowiła w duchu, to mi dobrze zrobi.

Przeszła przez podwórze omijając szerokim łukiem plamę światła buchającą z drzwi. Skręciła za róg budynku. Dalej był sad, do którego prowadziły wyjeżdżone koleiny. Z daleka wyglądał niesamowicie. Górne gałęzie drzew skrzyły się srebrem, dolne pogrążone były w nieprzeniknionej czerni, a mura wa błyskała skrzącym się w lekkim wietrzyku srebrem. - Spojrzała na siebie. Jasna sukienka błyszczała w blasku księżycy wyraźnie kontrastując z ciemną skórą nóg, ramion i twarzy. Pomyślała, że musi wyglądać niesamowicie pięknie taka długonoga ciemnoskóra laska w błyszczącej srebrem sukni. Jak z jakiejś powieści fantazy. To stwierdzenie wyraźnie poprawiło jej nastrój.

Za węglem dostrzegła kolejny sporej wielkości budynek, schowany za stodołą, którego wcześniej w ogóle nie widziała. Gdzieś z boku usłyszała podniesione głosy, jęki, jakby szamotaninę jakąś i głuche odgłosy uderzeń. Potem wszystko ucichło. Zrobiła kilka kroków do przodu, gdy nagle poczuła stopą coś miękkiego, ruchomego. Spojrzała instynktownie w dół. Coś czarnego, żywego, wielkości kota, czego o mało nie przydeptała, było na ścieżce. Mimo woli wydała okrzyk obrzydzenia. To coś skuliło się i znieruchomiało. Ona też zastygła jak posąg, wydając tylko od czasu do czasu cichutki pisk. Po chwili usłyszała kroki i dostrzegła sylwetki czterech mężczyzn idących w jej kierunku. Gdy byli zupełnie blisko jeden z nich zawołał:

- O, pani redaktor! - i wyszczerzył zęby w bezmyślnym uśmiechu. - Stało się coś?

Była w stanie jedynie wskazać palcem na to coś czarnego u jej stóp. Mężczyźni pochylili się i po chwili wybuchli śmiechem.

- O, kurwa! - powiedział jeden z nich. - To jeż. Ona jeża się złąkla! Ale jaja! Chwyć w rękę skulone w kłębek zwierzątko i z rozmachem rzucił je w głąb sadu.

- Co pan robi!?! - zachnęła się. - Przecież to żyje!

Puścili ten jej okrzyk mimo uszu. Obstąpili ją ciasniej, tak że dokładnie czuła bijącą od nich won potu wymieszaną z alkoholem. Byli w samych koszulach, z podwiniętymi rękawami, z krawatami luźno rozpiętymi pod szyją.



Trocki P.

- Co się pani tak przestraszyła? - zapytał jeden z nich. Poznała w nim tego, któremu kilka razy odmówiła tańca. Widać było, że ma dość mocno w czubie, z pewnym trudem starał się utrzymać w pionie. Pod lewym okiem dostrzegła opuchliznę. - Nigdy jeża nie widziała?

- Pewnie nie - dodał drugi z pijackim śmiechem. - Gdzie by taka paniusia z dużego miasta miała zobaczyć jeża? Chyba, że własnego!

Ponowny wybuch śmiechu skwitował tę niewybredną uwagę.

- A byka paniusia widziała? - trzeci z nich też widocznie nie chciał być mniej dowcipny od kolegów. - Jak nie, to możemy zaraz pokazać... O, jeden

już to stoi! - podniósł ręce do głowy imitując palcami rogi. - Buuuu! - zabuczał naraz pochylając się ku niej.

Przestraszyła się nie na żarty. Sytuacja była nieciekawa: ona jedna i czterech podpitych młodych mężczyzn naigrzawających się z niej. Spróbowała jakoś wydostać się z ich kręgu, ale oni ani myśleli ją przepuścić. Kręciła się usiłując znaleźć jakąś lukę między nimi, ale oni z rechem blokowali każdą próbę wyjścia. W końcu zaczęła bać się całkiem serio.

- Panowie, przepuście mnie - poprosiła niemal z płaczem. - Nie wygłupiajcie się... Po dłuższej chwili wzajemnych przepychanek, jeden z nich powiedział:

- Dobra, panowie, dajcie dziewczynie spokój...

Spojrzeni na niego pytająco, ale jeszcze jej nie przepuszczali.

- Dajcie spokój - powtórzył wojak - napijemy się z panią na zgodę. Nie wiadomo skąd wyciągnął butelkę.

- Widzi pani, my tu też pijemy na zgodę, jest okazja, żeby się do nas przyłączyć. Ze strachu gotowa była napić się z nimi. Skinęła więc głową.

- O, widzicie - ucieszył się. - Wszystko będzie okej. Proszę, dama pierwsza...

Odkręcił nakrętkę z szyjki butelki i podał jej. Nie była pewna, co ma robić. Tak bez kieliszka pić? Prosto z butelki? Stała więc z butelką w ręce bezradnie patrząc na nich.

- No, śmiało - powiedział wojak - wal z gwinta! U nas tak się pije na zgodę.

Przytknęła butelkę do ust i udawała, że połyka. Wyczuła, że to jakaś wódka.

- Ej, nie tak - zawołał jeden z mężczyzn - Ona udaje! Jeszcze raz!

- No, paniusiu, tak się z nami nie robi - poparli go pozostali.

Podniosła ponownie butelkę do ust. Nim się zdążyła zorientować, jakieś ręce chwyciły ją w pól, drugie za włosy odchylając jej głowę mocno do tyłu, a jeszcze inne za szczękę siłą otwierając jej usta. Chciała odrzucić butelkę, ale ktoś przytrzymał ją i mimo oporu wetknął jej głęboko w usta uderzając o zęby. Poczowała ból i piekący smak wódki w gardle. Krztusiła się, próbowała wypluć alkohol z ust, ale część dostała się do przełyku i żeby nie udusić się, musiała ją przełknąć. Czowała, jak wódka spływa jej po szyi na piersi i dalej na sukienkę. Próbowała wyrwać się, ale wzbudziło to tylko jeszcze większą wesołość nastawionych. W końcu, gdy zaczęła niemal charczeć dławiąc się wódką, odpuścili nieco. Odjęli butelkę, ale nadal trzymali ją mocno. Po kolei podawali sobie butelkę, jednak ani na moment nie zwalniali jej z uchwytu. Czowała się fatalnie, zbierało jej się na wymioty i jeszcze ten ból zębów. Jezu, chyba nie wybili mi zębów? - przestraszyła się. Przesunęła językiem. Na szczęście były wszystkie.

Nagle poluźnili uchwyt. Zachwiała się, zakręciło się jej w głowie. Stała w szerokim rozkroku, by złapać równowagę. Poczwała, że ramiączka sukni zsunęły się z ramion. Mężczyźni trzymali ją tylko za ręce, butelka krążyła z ust do ust, pociągali z niej sporymi łykami. W końcu, gdy była pusta, odrzucili ją daleko za siebie.

- No i co, paniusiu - powiedział bełkocząc najniższy z nich, krępy, ogolony na łyso brunet. - Teraz już wiesz, jak się na wsi pije. Ale jeszcze powinnaś wiedzieć, jak się u nas takim paniątkom dogadza! Bo ci miastowi... - machnął ręką i zatoczył się. - Co, pokażemy, jak się paniusiom dogadza?.. Chcesz wiedzieć, no, chcesz?.. Pewnie chcesz, tylko brzydzisz się burakami ze wsi, co? - zarechotał.

Rozpląkała się. Poczwała, że opuszczają ją siły, staje się bezwolna, zupełnie jak manekin. W głowie kołowało się jak po jeździe na karuzeli, coraz bardziej z każdą sekundą.

- Czego ryczysz, głupia? Żałujesz, że nie ma tego twojego z kamerą? Chciałabyś, żeby nakręcił film jak ci robimy dobrze? Szkoda, ale on zajęty jest inną - zarechotał. - Testuje wsiowe paniątki, wiesz?

O kim on mówi? O Krzysztofie? Szarpnęła się, ale nagle nogi odmówiły jej posłuszeństwa i osunęła się na kolana. Ogród, stodoła i całe niebo wirowały coraz szybciej.

- Panowie, bierzemy ją - usłyszała i poczuła, że ich ręce chwytają ją pod ramiona, za nogi, unoszą ją i niosą gdzieś. Głowa jej opadła do tyłu, próbowała ją unieść, ale nie dała rady. Próbowała też wierzgać nogami, ale i te odmówiły jej posłuszeństwa. Poczwała tylko, że gubi pantofle.

Po chwili usłyszała skrzyp otwieranych drzwi. Wnieśli ją do środka, co poznała po tym, że zrobiło się prawie zupełnie ciemno. Po chwili poczuła, że rzucają ją na coś szeleszczącego, kłującego ale i miękkiego, od czego bił dość intensywny zapach. Zaczęła krzyczeć, ale ktoś uderzył ją silnie w twarz. Poczwała ból i słony smak w ustach. Zamilkła. Wszystko to rejestrowała jakby poza sobą, jakby to jej nie dotyczyło, tylko akcji jakiegoś filmu. Widziała ich sylwetki z wyraźniejszymi plamami białych koszul. Któryś podszedł do niej i brutalnie zadarł jej sukienkę do góry. Poczwała jego rękę między udami; potem na podbrzuszu, gdy zrywał z niej majtki.

- Trzymajcie ją, żeby nie fikała - usłyszała czyjś głos.

Ktoś chwycił ją za ręce i rozłożył je na kształt krzyża, ktoś inny rozchylił jej nogi.

- O, kurwa - usłyszała nagle - ona jest wygolona! Co za dziwka! Zupełnie wygolona!

Usłyszała głośnie sapanie i czyjś ciężar zwałił się na nią. Niemal zupełnie nie reagowała na to. Było jej już zupełnie obojętne, co dalej z nią zrobią. Aby tylko nie bolało, o Jezu, aby tylko nie bolało, modliła się w duchu.

A jednak bolało, z każdą chwilą i z każdym kolejnym, który ją gwałcił, coraz bardziej. Mimo odurzenia alkoholem i mimo tego, że starała się biernie poddawać im. Przy czwartym już nie mogła powstrzymać jęków. Przy każdym pchnięciu mimowolnie wydobywał się z jej ust jęk, a ciało kurczyło się pod wpływem bólu. Wywołało to reakcję gwałcicieli.

- Popatrz, jak jej dogadza! - usłyszała. - Ale z niej kurwisko, prawdziwie miastowe!

W pewnym momencie ból stał się nie do zniesienia. Gwałcący ją zaczął wykonywać coraz bardziej gwałtowne ruchy, a ból dosłownie rozrywał jej wnętrzności. Na szczęście, w pewnym momencie zaczęła tracić świadomość. Gdy zapadała w ciemność wydało jej się, że słyszy głos Krzysztofa, jego krzyk, jakby jego sylwetkę w mroku. Ale zaraz zapadła w mrok.

Ocknęła się leżąc na wznak w kompletnej ciemności. Bolało ją wszystko, najbardziej głowa i podbrzusze. Spróbowała przekreślić się na bok. Jakoś poszło, ale chwyciły ją torsje. Wymiotowała długą chwilę. W końcu spróbowała wstać, poczuła, że od dołu jest naga, sukienka była podciągnięta wysoko na piersi. Obciągnęła ją na dół. Rękami wyczuła lepka wilgoć na udach. Nogi jak z waty, nie chciały zupełnie jej słuchać. Jeszcze raz chwyciły ją torsje. W końcu udało jej się podnieść. Zaczęła powoli poruszać się w ciemnościach, z daleko przed siebie wysuniętymi rękami, szukając jakiejś ściany, jakiegoś wyjścia. Po chwili wyczuła drewno. Powoli, krok za krokiem przesuwiała się wzdłuż desek szukając jakiegoś wyjścia. Niemal upadła, gdy w pewnym momencie ściana pod jej naporem uchyliła się. Dotarła do drzwi. Wyszła na zewnątrz i rozejrzała się wokół. Świat się nie zmienił, choć tyle się wydarzyło, pomyślała widząc ten sam sad błyszczący w poświacie księżyca. Z oddali słychać było muzykę i głośne śpiewy. Wolno, zataczając się, krok za krokiem ruszyła w tamtym kierunku. Nagle zauważyła, że nie ma butów. O rany, jak ja wrócę do domu bez butów, przemknęła jej przez głowę głupia myśl.

Jej wejście na salę wywołało szok. Pierwsza zareagowała orkiestra przerywając granie w pół taktu. Wszyscy, jak na komendę odwrócili się w jej kierunku. Krzysztof, gdzie jest Krzysztof!? Nie ma Krzysztofa!? Gorączkowo starał się wyłowić go wzrokiem, ale jakoś nie mogła go nigdzie zobaczyć. Krzysztof!! - chciała zawołać, ale zamiast krzyku usłyszała tylko jakiś jęk i osunęła się na podłogę.

Ponownie ocknęła się na wąskim łóżku w jasnoniebieskiej sali. Kątem oka zobaczyła jakieś przewody, popiskujące aparaty...

- Nareszcie pani wróciła - usłyszała. - Wszystko będzie dobrze!...

Obróciła głowę w kierunku głosu. Starszy mężczyzna w białym kitlu podszedł do niej i chwycił ją za rękę. Chyba lekarz, pomyślała.

- O, widzę, że pacjentka już się ocknęła - powiedział podchodząc do łóżka. - Jak się pani czuje?

- Nie wiem - odparła najzupełniej zgodnie z prawdą. Mówienie przychodziło jej z trudem, zamiast języka czuła w ustach drewniany kołek. - Boli mnie głowa - poskarżyła się. Lekarz pokiwał głową.

- W porządku, tak bywa. Dojdzie pani do siebie. Pamięta pani, co się właściwie stało?

- Niezupełnie - powiedziała. Myśl o tym, że miałyby temu obcemu człowiekowi opowiadać całe zajście, wydała się jej okropna. - Coś ze mną jest źle?

- Nie, wyjdzie pani z tego - stwierdził lekarz. - Najgorsze już za nami... Pospała sobie pani kilkanaście godzin... Za chwilę przeniesiemy panią na inną salę. Będzie miała pani towarzystwo. Będzie różniej...

Po dłuższej chwili bardziej poczuła niż skojarzyła, że odłączają ją od aparatury i razem z łóżkiem wywożą ją z sali, na której leżała. Jechali jakimś niezbyt jasnym korytarzem. Gdzieś w oddali zobaczyła kilka postaci, jakby kamery jakieś... Krzysztof? - przemknęło jej przez myśl. Właśnie, gdzie on jest? I gdzie on był jak jej to robili? Dlaczego jej nie pomógł?

- Proszę państwa, jeszcze nie teraz! - usłyszała głos pchającej jej łóżko pielęgniarki. - Proszę nie męczyć pacjentki!...

- Ale ja chcę Krzysztofa! - to był raczej wyrwany mimo woli bardziej szept niż krzyk. - Gdzie jest Krzysztof?... Muszę go zapytać...

- Cicho, cicho, zaraz będzie dobrze - powiedziała nieco bez sensu pielęgniarka. - To tylko te dziennikarskie hieny...

Wjechali do jasnej sali, w której były już dwie pacjentki. Pielęgniarka ustawiła jej łóżko w wolnym miejscu. Chwilę krzątała się przy niej podłączając kroplówkę. - No jak? - zapytała po chwili. - Troszkę lepiej?

Kiwnęła potwierdzająco głową. Pielęgniarka wyszła, a ona zaczęła rozglądać się po sali. Obok leżały dwie starsze panie. Przyglądały się jej z wyraźnym współczuciem. Na półce przy ścianie dostrzegła włączony niewielki telewizor. To była jej stacja. Nadawali jakieś wiadomości, bo na ekranie dostrzegła Renatę.

- Dotarła do nas tragiczna wiadomość - usłyszała nagle głos prezenterki. - Nasz kolega redakcyjny Krzysztof Zależny nie żyje. Wczoraj w Górce Małej, ratując życie naszej koleżanki, został zadźgany nożami przez czterech pijanych bandytów. Policja ustaliła i zatrzymała sprawców. Odpowiedzą za zabójstwo i zbiorowy gwałt ze szczególnym okrucieństwem....

Poczuła nagłą falę gorąca uderzającą do głowy. Kątem oka dostrzegła, że obie pacjentki unoszą się na łózkach i patrzą na nią. U słyszała jeszcze głos jednej z nich:

- Zgaś to pudło! Natychmiast!... I po chwili głośny jęk dzwonka.

- Krzysztof.... - zdołała wyszeptać nim znowu zapadła w ciemność.

Mirosław Odyniecki

Opętanie

Czy zdarza ci się spoglądać wstecz gdy idziesz wieczorem ulicą? Czy czujesz dziwny niepokój, który nagle cię ogarnia nie wiadomo skąd? Czy kontrolujesz myśli, powstające wówczas w twojej głowie? Ja obracam się za siebie nawet w trakcie dnia, przeżycia, jakich doświadczyłem nie pozwalają mi zapomnieć...

Jestem absolwentem Wydziału Sztuk Pięknych o specjalności konserwacja dóbr kultury i ratowanie dziedzictwa narodowego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. 16 września dołączyłem do ekipy naukowców restaurujących Kalwarię Wejherowską. Nie muszę mówić jak dużym prestiżem było dla mnie wzięcie udziału w tak wielkim, tym bardziej, że pilotowały go same znakomitości z branży.

Pierwszy raz gościłem wówczas w Wejherowie. Prawdę powiedziawszy nie wiele wiedziałem o tym mieście. Było czymś w rodzaju perły zakopanej w piasku. Piękne kamienice sąsiadujące z ruderami. Czystość i brud. Szykowne, ufryzowane towarzystwo rozsiadłe po kawiarniach, pachnących lokalnymi wypiekami i żule z czerwonymi nosami pijący w ciemnych, obdrapanych bramach.

Duże wrażenie wywarły na mnie przepiękne lasy wejherowskie, wijące się jak serpentyny pagórki poprzeplatane głębokimi jarami. Rosła roślinność ustrojona w barwy jesieni wyznaczała granice miasta. Za nim w południowej części rozpościerała się kalwaria, dzieło zainicjowane przez bogobojnego Jakuba Wejhera, założyciela Wejherowa.

Jak wielką charyzmą obdarzony był Wejher, ile trudu kosztowało go wypełnienie swego ślubowania, wiedzą tylko ludzie obdarzeni wyobraźnią. Nie wszyscy bowiem są w stanie uzmysłwić sobie jak ogromnym przedsięwzięciem było z Jerozolimy świętej ziemi, która stała się fundamentem kaplic, znalezienie architektów, rzemieślników, dostarczenie surowców, wykonanie pomiarów. Uskrzydlała mnie sama świadomość dotykania tego dzieła sprzed wieków liczącego bez mała 350 lat. Nieduże kapliczki przemawiały do mnie zgrabną formą zmyślną konstrukcją i nowatorstwem odzwierciedlającym ducha tamtych czasów. Obcowanie z Wejherowską Jerozolimą rekompensowało mi zimno zgrabiątych dłoni, przemęczenie, przeziębienie i niedospanie.

12 listopada wyskoczył nam spod cienkiej warstwy tynku fresk. Tak łaskawa okazała się dla nas kaplica „Przybicie do krzyża”. Sakowski dumny jak paw ł do Torunia, a profesor Bremer z ogromnym zaangażowaniem przystąpił do i rekonstrukcji znaleziska. Nasza czujność została zmożona, gdyż nikt tak na prawdę nie był w stanie powiedzieć co jeszcze kryje przed nami kalwaria.

Jak na zawołanie kilka dni później w „Pałacu Heroda” pod cienką warstwą tynku znalazłem tajemnicze zawiniątko. Nieoczekiwane znalezisko wywołało u mnie euforię szczęścia i dziwny niepokój. Chęć poznania przeważała zdrowy rozsądek, nie podzieliłem się swoim odkryciem z . Złamałem regulamin i mały pakunek ął na dnie mojej kieszeni, tymczasowo, jak sobie tłumaczyłem. Chciałem jako pierwszy zgłębić jego przekaz, ale w obecnych warunkach nie było to możliwe, gdyż ło zmierzchać, co oznaczało dla nas koniec pracy. Czy oszalałem? Nie wiem. Wszystko działo się tak szybko. To było moje pierwsze poważne odkrycie. Być może łem się wykazać.

W hotelowej restauracji gdzieś około szóstej spotkałem Julię, od niedawna asystentkę Bremera na katedrze malowideł naściennych. Młoda zgrabna blondynka, świadoma swych wdzięków widocznie oczarowała także starego profesora skoro wziął ją do projektu mimo niewielkiego doświadczenia. Siedziała przy stoliku koło okna sącząc kawę Latte. Wyglądała bosko mimo, że na nogach była od szóstej rano. Pachniała czymś w rodzaju lawendy a może jaśminu... Sam nie wiem.

- Jak możesz pić to świństwo i to jeszcze wieczorem - zagailem zaczepnie. - A ty, jak możesz tyle jeść a do tego nie tyć! To niesprawiedliwe! - Może podyskutujemy na ten temat później w moim pokoju. - Jesteś bardzo pewny siebie harcerzyku.

Nigdy nie należałem do harcerstwa więc nie wiem czemu tak mnie nazwała. Byłem raczej typem samotnika - indywidualisty. W każdym razie nie narzekałem na brak towarzystwa, zwłaszcza kobiet. Z Julią spotykaliśmy się od czasu do czasu, był to raczej drobny romans, nic wielkiego. Nie chcieliśmy rozgłosu zwłaszcza w środowisku.

W małym przytulnym pokoiku na poddaszu rozwaliłem się na łóżku. Czułem zmęczenie ale wiedziałem, że nie mogę pozwolić sobie na drzemkę. Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem mały pakunek. Odwinałem warstwy starego barchanu i wyciągnąłem ukrytą w nich małą, skórzaną sakwę, kryjącą pięć starych monet. Na każdej z nich widniał wizerunek brzydkiego jegomościa otoczony napisem: WILHELM*VORSTENBEGR*D*G*M*LIVON. Z drugiej zaś strony brama z dwoma wieżami, lwią głową i skrzyżowanymi kluczami, z nic nie mówiącymi słowami: *MONETA *NOVA* RIGENSI*

Moje rozmyślania rozwiało cichutkie pukanie do drzwi. Odruchowo lekko podenerwowany wrzuciłem mój „skarb” do szuflady szafki nocnej tak,

by nie wyszedł jaw fakt jego posiadania. Otworzyłem drzwi ale na korytarzu nie było już nikogo. Pomyślałem, że to może Julia drażni się ze mną, poszedłem sprawdzić, ale w jej pokoju było ciemno, przynajmniej na to wskazywała mała szpara pod drzwiami. Spała albo nie wróciła jeszcze z restauracji - pomyślałem. Prawdopodobnie ktoś się pomylił i zapukał do moich drzwi. Sięgnąłem ponownie do szuflady. Pięć takich samych srebrnych krążków lśniło poświatą lampki nocnej.

Chciałem jak najszybciej zidentyfikować monety równocześnie nie afiszując się z ich posiadaniem. Fotografie awersu i rewersu umieściłem anonimowo na forum w Internecie z prośbą o pomoc w określeniu chronologii i miejsca występowania bilonu. Mój post wywołał burzę mózgów i w szybkim czasie otrzymałem upragnione wyjaśnienia. Pochodziły z Inflant, z mennicy Dahlen z połowy szesnastego wieku, ale co u licha robiły w Wejherowie? To nie mógł być przypadek...

Nazajutrz po pracy, z lokalnej biblioteki wypożyczyłem wszelkie możliwe książki związane z historią Wejherowa. W któreś z nich musiało kryć się rozwiązanie zagadki. Na pytające spojrzenie Julii odpowiedziałem, że chce się czegoś o na temat tego miejsca, bo bardzo mi się podoba. Grymasem twarzy uwiarygodniłem mój blef i odciąłem się od dalszych pytań.

- Tomek idziesz z nami do pubu na piwo - rzucił jeden z kumpli z pracy, chyba Tarnowski Michał... czy Marcin... - Tomek dzisiaj czyta - odpowiedziała kąśliwie niezadowolona Julia. - Dzięki stary, dołączę do was później - rzuciłem na odczepnego

Po trzech godzinach lektury stałem się ekspertem w tematyce grodu Wejhera. Otóż okazało się, że dziadek Jakuba - niejaki Ernest, będący na służbie króla Zygmunta Augusta, okazał się bardzo zdolnym dowódcą. Swój oddział zwerbował na Pomorzu Zachodnim, ale walczył głównie w Inflantach. W 1563 roku zdobył tam i złupił zamek Dahlen położony nieopodal Rygi. Okropnie wzbogacił się zagarniając skarby warte 110 tysięcy złotych, podczas gdy jego roczna pensja wynosiła wówczas tylko a raczej aż 500 złotych. Ponieważ starsi synowie pułkownika byli bezdzietni albo zmarli młodo fortuna przeszła na czwartego w kolejności Jana, który oprócz godności senatorskiej dochował się czterech męskich potomków. Ponieważ najstarszy Ernest (wnuk protoplasty) zmarł młodo, a średni syn Mikołaj złożył śluby czystości i zasilił szeregi duchowieństwa, większa część dziedzictwa przypadła Jakubowi - założycielowi miasta. Jednak niespokojne czasy w jakich przyszło mu żyć zmusiły go zabezpieczeniem majątku przed dostaniem się w niepowołane ręce najeźdźców z Północy. Za namową szlachetnego archidiakona pomorskiego Mateusza Jakuba i w obawie przed potopem szwedzkim Wejher ukrył skarb dla przyszłych pokoleń. Niestety zdaniem autora czytanej przeze mnie publikacji wszystko bezpowrotnie przepadło w wojennej zawierusze.



Zamknąłem książkę i nagle poczułem niesamowitą suchość w ustach. Moje ciało na całej jego długości pokrył zimny pot. Uzmysłowiłem sobie jak bardzo mylił się ów historyk. Przecież te monety to dowód na to, że nie wszystko jeszcze stracone... One gdzieś tam są... Czekają na swego odkrywcę...

Moje odkrycie wprawiło mnie w ogromne poruszenie, a wręcz podniecenie, nagle poczułem, że mój malutki pokój jest dla mnie zbyt mały, muszę wyjść, zażyć świeżego powietrza, ochłonać. Jakoś nie dowierzałem, że to wszystko dzieje się naprawdę. Przecież skarby są wymysłem ludzkiej wyobraźni, istnieją tylko w bajkach, albo w opowieściach zachłannych osób. Chciałem krzyknąć, podzielić się swą radością z całym światem ale zdrowy rozsądek i ryzyko zawodowe kazały mi zachować milczenie. Tak targany własnymi przemyśleniami dotarłem do baru, od progu było słychać balującą ekipę z Torunia.

- Siemasz Tomek! Brakowało nam ciebie - wykrzyczał ochrypłym głosem zalany już kolega Sakowski, ten od fresku.

- Troszkę spóźniony ale zaraz was dogonię - odkrzyknąłem, bo na prawdę było tam bardzo głośno. Oczywiście nie rzucałem słów na wiatr i po pół godzinie byłem już niezłe wstawiony. Gdzieś tam z oddali co jakiś czas rejestrowałem pogardliwe spojrzenie Julii ale wiedziałem, że i tak wybaczy

mi tą chwilę słabości. Tym bardziej, że nadobny profesor Bremer leżał już prawie pod stołem i w niczym nie przypominał naukowca.

Nad ranem obudziłem się w łóżku Julii. Nie gniewała się już na mnie, więc nie wracałem do tematu. Pośpiesznie wziąłem prysznic i czysty, ale spóźniony stawilem się na Kalwarii. Mając na uwadze wczorajsze odkrycie nie mogłem się skupić na pracy. Świadomie lub podświadomie szukałem miejsca - skrytki doskonałej. Musi być gdzieś tu blisko, prawdopodobnie w tej kaplicy. Poszukiwanie było dla mnie wielką udręką ponieważ musiałem zachować dyskrecje.

- Wiesz muszę ci o czymś powiedzieć - wydusiłem z siebie

- Nie lubię takich rozmów. Zaraz powiesz mi, że to koniec, że nie pasujemy do siebie itp. itd. - Zachnęła się podenerwowana Julia. - Nie, ale ja nie o tym... nie chcę nic zmieniać, jest mi dobrze.

- Nie? - odrzekła zdziwiona jak mała dziewczynka, której rodzice odmówili cukierka. - Miałem ostatnio szczęście... i udało mi się coś znaleźć. Mówię o pracy.

- Tak? Co to takiego? Bremer już wie.

- Nie! Do diabła z Bremerem! To delikatna sprawa, wymaga dyskrecji.

- Słucham. Wiesz, że możesz mi zaufać - dodała przyjaźnie.

- Te książki wczoraj... Na kalwarii jest coś ukryte... - spojrzałem badawczo na jej wyraz twarzy, była poważna i skupiona - skarb rodu Wejherów - wyszeptalem.

- Wczytałeś to? - spytała badawczo.

- Nie, znalazłem jego namiastkę, ale wiem, że on gdzieś tam jest. Musisz mi pomóc.

Wiem, że jestem już blisko, czuję to.

Z zaciekawieniem obejrzała monety i wysłuchała wszystkiego czego dowiedziałem się na ich temat. Kiedy skończyłem swój wywód przyznała mi rację. W oczach dostrzegłem jakiś nowy błysk - coś czego wcześniej nie widziałem. Połączyła nas tajemnica i ryzyko utraty pracy.

Jeszcze tego samego wieczoru ruszyliśmy do Pałacu Heroda. Uznaliśmy, że to najlepsza pora na takie poszukiwania ponieważ po pierwsze będziemy sami, po drugie jak coś znajdziemy ciemność będzie najlepszą osłoną.

Kalwaria po zmierzchu wyglądała wyjątkowo upiornie. Ogromne dęby, grube buki i zgrabne jesiony przyglądały się nam spod swych na wpół wyłysiałych koron, trzęsąc na wietrze rozpostartymi ramionami. Alejki za dnia czarujące swym wdziękiem w nocy przypominają kręty labirynt. Kapliczki otulone drzewami chowały się w ciemnościach. Przy pomocy wyświetlacza telefonu, pełniącego rolę latarki, udało się nam dotrzeć pod Pałac Heroda. Pagórek na którym stał za dnia, w nocy wydawał się jeszcze wyższy

a schody do niego prowadzące jeszcze bardziej strome. Przy pomocy nowoczesnych urządzeń jakimi dysponowaliśmy przy pracach konserwatorsko - renowacyjnych zaczęliśmy swe nielegalne i ryzykowne poszukiwania. Przetrasnęliśmy w podczernieni wszystkie ściany i elementy drewnianego ołtarza oraz za pomocą detektora metali dokonaliśmy analizy podłoża. Ale urządzenia nie rejestrowały tego po co tu przyszliśmy.

- One muszą gdzieś tu być, może nie koniecznie w tej kapliczce, ale na pewno na Kalwarii - poczułem się jak Marco Polo poszukujący przygody. - Zmarzłam trochę... - wtrąciła nieśmiało Julia.

- Cicho! - szepnąłem i w jednej chwili zamilkliśmy na chwilę. - Ktoś tu chyba jest. Słyszałaś? - o uszy obił mi się jakiś dźwięk jakby trzaskającej pod stopami gałęzie. Pospiesznie wyszliśmy z kapliczki i obeszlśmy ją na około, ale nikogo nie zauważyliśmy. Było jeszcze ciemniej niż wcześniej. Po niebie płynęła zaledwie ćwiartka księżyca.

- Może to ktoś od Franciszkanów - zaśpiewała szeptem Julia. - Nie wiem. Wynośmy się stąd. Pomyślimy w hotelu.

Kiedy brała prysznic sięgnąłem ponownie po moje wejherowskie lektury. Szukałem czegoś, co naprowadzi mnie na jakiś trop. Szukałem wskazówki. Posłużyłem się chronologią i wydedukowałem, że do potopu szwedzkiego kalwaria liczyła aż osiemnaście kaplic a dziewiętnasta - Pałac Heroda była jeszcze nie ukończona. Rezultat nie był zbyt optymistyczny dlatego dążyłem do zawężenia pola poszukiwań.

Usłyszałem pukanie do drzwi. Otworzyłem je, ale korytarz świecił pustką.

- Kto to był? - spytała zaciekawiona Julia, która właśnie z wielkim turbanem na głowie opuściła zaparowaną łazienkę.

- Nie wiem, pewnie nikt ważny - odpowiedziałem zdawkowo.

- Myślałam, że ktoś pukał - powiedziała zdziwionym, zaintrygowanym głosem ale nie chciałem jej denerwować. Po co ma wiedzieć, że jakiś pajac bawi się ze mną w kotka i myszkę. Zresztą to nie istotne.

- Pierwszy upadek Chrystusa - rzuciła znienacka.

- Co? - jej słowa pozbawione kontekstu brzmiały jak bezsensowny bełkot. - Ufundował ją ksiądz Mateusz Judycki, wielki przyjaciel Wejhera - ciągnęła spokojnym głosem.

- Tak! Jasne! Że też sam na to nie wpadłem! To on namówił Wejhera do ukrycia skarbu! - parsknąłem podekscytowany. Przecież to takie oczywiste. Układanka sama się układa. - Ale skąd o tym wiesz? - zapytałem zdziwiony.

- Też mam swoje źródła - uśmiechnęła się tajemniczo, a ja pomyślałem, że przez ten uśmiech mógłbym stracić głowę. Była drobną smukłą blondynką o delikatnych rysach. Jej długie mokre włosy opadały uwite w kosmyki

na twarz, szyję i ramiona. Patrzyłem z zaciekawieniem jak rozczesuje włosy. Jak smaruje swe kształtne pełne usta kremem. Miała urodę i charakter, do tego zapowiadała się przed nią niezła przyszłość naukowa. Cieszyłem się i byłem dumny, że spotyka się właśnie ze mną, chociaż poderwałem ją w dość tuzinkowy sposób, w barze akademickim. W jej spojrzeniu było coś prowokującego, a równocześnie niewinnego - Lolitka i Madonna w jednym. Trzepotała długimi rzęsami, jak motyl skrzydłami, a ja uświadomiłem, że muszę ją zdobyć. Jako trofeum nie straciła jednak na atrakcyjności. Nie była panienki na jedną noc. Wtuliłem się w jej włosy, a ona oplotła mnie swym pachnącym i delikatnym ciałem. Była piękniejsza niż dwa dni temu i tydzień temu.

Nad ranem obudził nas głuchy telefon. Zadzwoiłem do recepcji, ale portier zakomunikował mi, że z nikim nie łączył rozmowy. Pomyślałem, że to może któryś z chłopaków zaserwował mi pobudkę.

Rano podpuściłem Bremera w celu uzyskania informacji czy Franciszkanie pełnią jakąś nocną straż na kalwarii. Zresztą chciałem zwęszyć czy może ktoś nas wczoraj widział, może nie personalnie, ale czy zarejestrowano jakiś kręcących się o zmierzchu po kalwarii ludzi. Wyglądało na to, że mnisi skupiają się bardziej na modlitwach i życiu klasztornym, a ten którego obecność wyczuliśmy mógł być bezdomnym albo zwyczajnym pijącym w lesie menelem.

- Panie Tomaszu, coś czuję, że jest pan oczarowany tym miejscem. Nie da się tego ukryć. Spojrzałem na niskiego łysiejącego grubaska, gdzieś około sześćdziesiątki, ze wzrokiem na wysokości mojej brody.

- Tak, panie profesorze, to miasto ma duszę - z impetem uderzyłem w romantyczną nutę starca, będącą jego słabością. Jakub Bremer za sprawą matki - rodowitej Wejherowianki - był pół Kaszubą a za sprawą wielkiego fundatora i dobroczyńcy miasta spadkobiercą jego imienia. Wciąż posiadał tu rodzinę, która z radością go gościła z małymi przerwami od ponad roku.

- Tomek, rzuć próbniki do „Pierwszego upadku”, musimy przeanalizować pigmenty - rzuciła zza moich pleców Julia.

- Nie, pani Julio, to jeszcze za wcześnie, ta kapliczka musi jeszcze poczekać - zakomunikował profesor.

Od razu zrozumiałem o co jej chodziło. Tak jak ja nie mogła się doczekać żeby zacząć działać. Jednak dzień był dla nas zdradliwą porą a sprawa nie wymagała tak wielkiego pośpiechu.

Tak jak zeszyłem razem wróciliśmy na kalwarię o zmierzchu. Zaczęliśmy poszukiwania, tym razem obiekt był dużo mniejszy. Pierwszy upadek Chrystusa upamiętniony został wolno stojącą statua z piaskowca, pod piaskowcowym baldachimem wspartym na czterech opilastrowanych filarach. Budowlę z muru dostawiono pod koniec XIX wieku w celu ochrony przed szkodliwymi atmosferycznymi. A zatem podczerwień okazała się zbyteczna

i tak nic nie wykazała, a grunt wokoło był zbity, ale bez niespodzianek.. Poza dwoma kapslami gwoździem nic nie krył w swych wiekowych warstwach. Wracaliśmy niepokieszeni.

W końcu zostało nam jeszcze siedemnaście kaplic.

- Nic z tego nie rozumiem, przecież idziemy dobrym tropem - rzucilem podirytowany.

- A może te pieniądze, ukryte niczym srebrniki, miały nam wskazać Zdradę Judasza, to fundacja samego Wejhera i mieści się chronologicznie.

- Tak, to ma sens, chodźmy tam.

Tym razem wzięliśmy ze sobą latarkę ale po 3 godzinach eksploatacji padła nam i musieliśmy przerwać poszukiwania w tej kapliczce, bo noc była jeszcze ciemniejsza niż wczoraj, a do tego intensywnie padało.

W hotelu zamknięto już restaurację, ale ciągle można było skorzystać z baru. Przebraliśmy się pospiesznie w suche ubrania i skoczyliśmy na dół, ja po burbona, Julia po swoją ukochaną sherry, tak przed snem. Po czym grzecznie rozeszliśmy się, każde do swojego pokoju.

Następnego dnia odwołano renowację, bo pogoda wymusiła na nas przerwę. Zbyt duża wilgotność powietrza nie sprzyjała naszej pracy. Ucieszyłem się, że wreszcie mogę się wyspać tym bardziej, że w nocy odebrałem trzy głuche telefony. Za trzecim razem mocno zwymyślałem delikwenta i dał mi spokój. O co w tym chodzi? Dlaczego ktoś mnie niepokoi?

Utkwiłem w hotelu, podczas gdy moi koledzy wyruszyli na podbój Trójmiasta. Julia chciała przejść się po jakichś babskich sklepach, więc podwójnie cieszyłem się z dokonanego wyboru. Zasnąłem i przyśniło mi się, że jestem na kalwarii z jakąś dziewczyną. W koło otacza nas dość gęsta mleczna mgła. Jest zimno i nieprzyjemnie. Szukam w ziemi zakopanej skrzyni, ale jej gliniasta struktura z trudem mi się przebić przez kolejne powłoki. Jestem bardzo zmęczony, ale wiem, że nie mogę teraz się poddać. Kopię głębiej i głębiej. Jesteśmy nieopodal Cedronu, poznaję małą rwącą rzeczkę, której nurt porywa kolorowe liście i wygląda bajkowo. W końcu pod szpadłem wyczuwam jakiś opór, czuję ostry przyływ adrenaliny. Kopię coraz ostrożniej i szybciej, wygarniając ciemny piach odgradzający mnie od prawdy. Zamiast skrzyni znajduję na wpół rozłożone ciało mnicha, prawdopodobnie Franciszkanina. Poznaję po brązowym habicie z wielkim kapturem oraz jasnym, grubym sznurze, który zamiast w okolicy pasa znalazł się zaciśnięty wokół jego szyi. Przerażony wpadam w panikę, nie wiem co robić, nigdy przedtem nie widziałem martwej osoby. Ciało na wpół wyjedzone przez robaki wyglądało jak zaschłe ciemne mięso. Ów brat nie miał już rysów twarzy. Jego włosy przypominały pukiel hydraulicznych pakuł, jego zwłoki były już bardziej szkieletem. Ten sen ogromnie zmęczył tym bardziej, że nie mogłem się z niego wybudzić. Czulem obsuwający ę przede mną grunt, ale bezradnie nie mo-

głem przeciwdziałać. Moja ingerencja w czyjąś męczeńską śmierć wprawiła mnie w stan niepokoju. Naruszyłem porządek boski i ziemski.

Straciłem poczucie czasu i obudziłem się o trzeciej, kiedy to większość narodu właśnie o tej porze zwykle wraca z pracy, ja przecierałem leniwie oczy po czym zszedłem na obiad do pobliskiej knajpki z napisem KEBAB. Ocucił mnie świeży powiew powietrza. Na rynku dzieci bawiły się z gołębiami, karmiąc je i strasząc na przemian. Wielka chmara dachowców z radością rzucała się na każdą kruszynkę chleba, walcząc o każdy kęs. Pomyślałem, jak to dobrze, że nie jestem gołębiem, nieustanna walka o miejsce w hierarchii i o posiłek mogłaby być męcząca.

Julia nie wróciła do hotelu na noc. Jej nieobecność trochę mnie zaniepokoiła. Bezskutecznie próbowałem się z nią skontaktować, nie odbierała telefonu. Pomyślałem, że może chciała pobyc sama, w końcu przez ostatnie dwa dni byliśmy praktycznie nierozłączni. Na pewno tak, chciała coś przemyśleć, urwać się i odpocząć, może zwyczajnie pojechała do rodziny w końcu zaczynał się weekend. Nie musiałem przecież o wszystkim wiedzieć, nasz związek miał raczej luźny charakter.

Nad ranem obudził mnie telefon, od razu pomyślałem o tym wydzwanającym do mnie szaleńcu, już ja go oduczę głupich zabaw:

- Ty gnoju pierdolony! Odczep się ode mnie raz na zawsze!!! - warknąłem z nienawiścią, po czym z słuchawki wydobył się lekko zmieszany głos:

- Czy rozmawiam z panem Tomaszem Zielińskim?

- Tak - potwierdziłem ni to twierdząco, ni to pytająco, zdziwionym i zakłopotanym głosem.

- Komisarz Paweł Dopke z Komendy Powiatowej Policji, proszę jak najszybciej się do nas zgłosić.

- Czy coś się stało? - poczułem w głowie wielką pustkę, czego oni ode mnie mogą chcieć.

- Chcemy żeby pan nam udzielił paru wyjaśnień? To wszystko! - dodał zasadniczy głos w słuchawce. Pewnie wszystkiego dowiem się na miejscu, może to jakaś pomyłka.

- Dobrze, zaraz będę - odpowiedziałem i pospiesznie zamówiłem takśówkę. Byłem raczej grzecznym i spokojnym obywatelem, regularnie płacącym podatki, a jedynym wykroczeniem było przyniesienie tych monet z Kalwarii. Według prawa wszystko bowiem co znaleźliśmy w czasie renowacji należało do Państwa Polskiego, a ja wiedziałem o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Pomyślałem, że monety muszą zniknąć z hotelu, nie mogę ich również mieć przy sobie...

W komisariacie wylegitymowano mnie po czym zaprowadzono do małego ciasnego pokoiku ze starymi biurkami, gdzie urzędował komisarz Dopke.

Rosły blondyn około 35 lat, z małą blizną nad lewą brwią, od progu rzucił w moją stronę przenikliwe spojrzenie, jakby na dzień dobry chciał mnie wyczuć i odgadnąć wszystkie moje myśli. Przyjemniaczek pomyślałem i podałem mu rękę na przywitanie.

- Zawsze pan tak ciepło reaguje na telefony? - zaczął drwiącym tonem.

- Nie. Wziąłem pana za kogoś innego - uciałem bezsensowną dyskusję.

- Czy ktoś panu grozi? - zapytał.

- Nie, raczej nie - pomyślałem, że jest wścibski.

- Gdzie był pan wczoraj w nocy między godziną 22.00 a 24.00? - zapytał poważnie, a jego głos zabrzmiał jakoś tak bardzo oficjalnie, oficjalniej niż wcześniej.

- Byłem w hotelu, dlaczego pan pyta? - odpowiedziałem na pytanie pytaniem.

- O tej porze została zamordowana Julia Wiśniewska.

- Zamordowana? - poczułem jak cała krew spływa mi do głowy a reszta ciała wchodzi w stan bezwładności. Gdybym nie siedział pewnie bym się zachwiał. Słowa przed chwilą usłyszane brzmiały jak niesmaczny żart, ale nikt tu przecież nie żartował.

- Jak to? - nie mogłem w to uwierzyć - Kto to zrobił? Dlaczego?

- Czy pana zdaniem ofiara miała jakiś wrogów? Czy komuś mogło zależeć na jej śmierci?

- Nie, była lubiana, miała przed sobą znakomitą karierę. - Odpowiedziałem bez wahania wciąż nie wierząc w słowa komisarza.

- Czy może pan udać się ze mną do kostnicy w celu identyfikacji zwłok? Zazwyczaj prosimy o to rodzinę, ale z racji, że państwo są przyjezdni zrobimy wyjątek. Skinąłem głową, bo głos uwiązał mi w gardle.

Znaleźli ją półnagą w lesie, uduszoną prawdopodobnie jakimś grubym sznurem. Leżała jakieś dziesięć metrów od kaplicy Pocałunek Judasza. W jej telefonie komórkowym kilka razy wyświetliło się, że do niej dzwoniłem. Kobieta, którą pokazano mi do identyfikacji była blado-sina. Jej włosy były potargane, pełne drobinek liści, ziemi i błota. Na szyi miała gruby krwisty ślad, a jej twarz wskazywała walkę i cierpienie. Na brzuchu wypisano jej dziwny ciąg liter: VRSNSMVSMQLIVB. Sprawca ułożył ją na plecach, twarzą skierowaną w stronę nieba z rozłożonymi kończynami. W prawej ręce trzymała mały flakonik z przezroczystą substancją. Po wstępnej analizie zawartości laboratoryjnej okazało się, że owa ciecz, to trucizna zwana potocznie arsenikiem. Jednak przyczyną zgonu było nie zatrucie, dlatego policja uznała, że morderca jest zaburzoną psychopatą.

- Tak, to ona - te słowa kosztowały mnie zbyt wiele.

Niewinna przygoda z szukaniem skarbu przekształciła się w kryminalną historię z morderstwem ku przestrodze. Czuję, że jej śmierć nie była przypad-

kowa. Oznakowanie ciała i sposób jego ułożenia stanowiły swoisty przekaz. Morderca chciał mi coś powiedzieć, zastraszyć, sprawić bym przestał szukać i interesować się nieodnalezionego. I chyba osiągnął swój cel, gdyż poczułem się żony. Jeszcze tego samego dnia zmieniłem hotel. Gdy odebrałem kolejny głuchy zdecydowałem o jak najszybszym opuszczeniu miasta.

Przed wyjazdem odwiedziłem kościół św. Anny. Pomodliłem się tam za spokój wieczny Julii i wstąpiłem do bocznej kaplicy, w której mieścił się ołtarz świętego Józefa oraz obraz fundatorów Jakuba i Anny Wejher z domu Schaffgotsch. Spojrzałem na ścianę z wotami gdzie obok medalików i różnych darów, powiesiłem kilka dni temu sakwę z talarami z Dahlen. Tyle, że ku mojemu zdziwieniu jej już tam nie było. Za to mój wzrok przybił jeszcze inny szczegół. Na jednym z medalików ofiarowanych jako dar serca zaobserwowałem znajome litery: VRSNSMVSMQLIVB. wiedziałem co o tym wszystkim myśleć. Czuję ogromny mętlik w głowie. Te litery musiały mieć charakter religijny, być może stanowiły skrót jakiejś łacińskiej sentencji. Kim jest morderca? Skąd zna łacinę? Te pytania jak jad zatrwały mój umysł. Spojrzałem na wnętrze kościoła podświadomie szukając rozwiązania. Prócz kilku modlących się osób i mnicha gaszącego świecę nic nie przykuło mojej uwagi. Ów duchowny ubrany był tak samo jak ten z mojego niedawnego koszmaru, ale nie było to niczym nadzwyczajnym, gdyż był to tradycyjny strój ojców Franciszkanów. Zagadnąłem go niby to przypadkiem, gdy przechodził obok mnie i spytałem o sens tej konkretnej inskrypcji na medaliku. Brat w średnim wieku o pogodnej i sympatycznej twarzy spojrzał na mnie wielkimi oczami pełnymi zdziwienia, po czym przyznał, że sam nie ma pojęcia, ale gdzie możemy się tego dowiedzieć.

Udaliśmy się wspólnie do biblioteki klasztornej, która mieściła się tuż za kościołem. Pierwszy raz przebywałem w pomieszczeniach zakonu Braci Mniejszych Reformatów. Prawdę powiedziawszy pierwszy raz byłem w jakimkolwiek monasterze.

Biblioteka wyglądała imponująco. Wielkie woluminy, złożone grzbiety starodruków, mapy królowały ze specjalnie dopasowanych do nich regałów, otaczających drobne stoliki z małymi lampkami przy których siedzieli zakonnicy. Ku zdziwieniu obecność osoby świeckiej nie wzbudziła szczególnego zainteresowania. Usiedliśmy z bratem Ksawerym na samym końcu sali, po czym zakonnik dyżurujący przyniósł nam „Medale religijne odnoszące się do Kościoła Katolickiego we wszystkich krajach dawnej Polski” Teofila Rewolińskiego.

Czułem, że jestem bliski rozwiązania zagadki. Postanowiłem doprowadzić sprawę do końca. Byłem to winny Julii. Miałem ogromne wyrzuty sumienia. Niepotrzebnie wplątałem ją w to wszystko. Nie mogłem cofnąć czasu, ale starałem się z zrozumieć dlaczego? Czy tak naprawdę można zro-

zumieć śmierć bliskiej ? Kogoś kto mógł jeszcze założyć rodzinę i starzec się patrzeć jak dorastają jego ?

Po kilku minutach znalazłem fragment modlitwy świętego Benedykta:

*Vade Retro Satana
Namquam Suade Mihi Vana
Sunt Mala Quae Libas
Ipse Venena Bibas*

Pierwsze litery tych wyrazów stanowiły klucz do rozwiązania zagadki. Nie wiedziałem czego się spodziewać, ale mimo wszystko zdziwiła mnie treść tego przesłania: „*Idź precz szatanie. Nie doradzaj mi próżności. Złem jest to, co podsuwasz. Sam wypij truciznę*”.

Byłem próżny chcąc odnaleźć resztę zaginionych talarów. Być może fiołka trucizny trzymana przez Julię w dłoni przeznaczona była właśnie dla mnie.

Nie zdołałem zdemaskować mordercy, moralizatora bawiącego się w Boga. Nie przeniknąłem do jego chorej świadomości. Dlaczego tak bestialsko przerwał nasze poszukiwania? Czy naprawdę byliśmy już tak blisko?

Nigdy nie pogodziłem się z jej śmiercią i ciągle miewam koszmary. Na jawie wydaje mi się, że widzę rzeczy, których inni nie widzą. Być może nigdy nie będę mógł żyć tak jak kiedyś... Mimo wszystko moja bezsilność i cierpienie są lżejszą karą w porównaniu z tym, co spotkało ją...

Lucyna Kurpiewska

Kobieta numer dwadzieścia siedem

Istnieją takie Słowa, które sięgają głębin duszy ludzkiej. Są chowane tak głęboko, że nawet przenikliwy wzrok ich nie dosięgnie, a byle czyje uszy nie usłyszą. Zgromadzone w toni bezgrzesznego wnętrza frywolnie ulatują do serca spoufalonej osoby. Zazwyczaj wychodzą na jaw przy nagłych napadach przygnębienia, żalu, rozradowania. Towarzyszą błogim przypiływom euforii, wspierają tkliwe wyznania.

Te Słowa zawsze trwały przy mnie. Od najmłodszych lat szeleściły w moich uszach. Wszystkie zostały zarejestrowane przez niezwykle elastyczny umysł, dzięki czemu mogę odtwarzać je niemal każdego dnia. Nieważne z czyich ust ulatywały. Istotne było tylko to, iż służyły mi ramieniem, dawały oparcie, wzmacniały wszelkie zażyłości międzyludzkie. Początkowo starannie nasycono je pasją. Po jakimś czasie zwyczajnie rzucono na wiatr. Wypowiadano od tak. Targane przyzwyczajeniem potrafiły wyfruwać mimowolnie, machinalnie, a co gorsza - nieświadomie, bezwiednie. Coraz częściej ulegałam rozmyślaniom, czy każdorazowo były szczere. Takich Wyrazów nie można kierować do każdego. Powinny być przechowywane gdzieś głęboko wewnątrz. Trzeba je starannie pielęgnować, otaczać ciepłem i uczuciem. Muszą dojrzewać wśród najmielszych innych słów, tych mniej ważnych. Kiedy się w końcu zarumienia, gdy już będą gotowe, powinien usłyszeć je świat. Niekoniecznie cały świat, raczej cząstka naszego małego światka. I powinny tak niezmiennie trwać aż po kres.

Nigdy nie przypuszczałam, że któregoś dnia właśnie na twój widok tylko te Słowa zdołają uporządkować chaos, jaki przez moment zapanował wewnątrz mojej głowy. Wypowiedziane ku wpatrzonym we mnie ślepiom brzmiały jak melodia. Dźwięczały niczym muzykalne dudnienie drobnych kropeł deszczu w trawione gorączką zwłoki. Teraz już wiem, że to nie był dźwięk tych Słów. To nie był chłopot żadnej siapawicy. To był łomot mojego serca, które po wyrzuceniu kilku szczerych Wyrazów oniemiało. Wykonało dłuższą pauzę. Pozwoliło ochłonać pulsującej krwi. Orzeźwiło istotność.

Ty wyhodowałeś we mnie te Słowa. Najpierw dyskretnie przekazywałeś uszom ujmujące szept. Głaskałeś delikatnie skroń. Czułym dotykiem uchylałeś coraz szerzej drzwi mojej błyskotliwości, pozwalając nieco ulecieć rozsądkowi. Silnymi ramionami otaczałeś drobne kobiece kształty, hamując nagłe

omdlenia. Nie pozwalałeś mi boleśnie upaść, wyslizgnąć się z mocnych objęć. Pragnąłeś dalszych wzniesień. Bezgłośnie przyklaskiwałam wszystkim twoim czynom. Wyrażałam zgodę na każde ciepło. W końcu wypowiedziałeś to Słowo. Odpowiedziała ci cisza. Głęboki wdech (będący wyrazem mojego zdumienia) zaczerpnął chłodnego powietrza. Zabrał ze sobą Wyraz, chłonąc kolejno każdą literkę. Zdławione spółgłoski i samogłoski niepewnie drżały. Rozkotysane silnymi strunami głosowymi dźwięczały radośnie. Prędko wróciły do twoich ust za pośrednictwem pieszczotliwego muśnięcia warg. Jeszcze kilka takich Słówek musiało ulecieć z głębin twojej duszy, zanim sama nauczyłam się je wypowiadać.

Byłam twoją kobietą numer dwadzieścia siedem. Wcale mnie nie poruszyła liczba odrobinę wyższa od mojego wieku. Nawet przestałam się zastanawiać, czy wszystkie poprzednie przedstawicielki płci pięknej upajałeś podobnymi Słoweczkami. Zwinnie unikałam uporczywego łamania głowy jakimikolwiek czarnymi myślami. Energicznie demonstrowałam przed tobą każdą czułość, nie zwracając uwagi na matematyczne szczegóły twojego życia. Pomijałam wszelkie kalkulacje oraz porównania godne analityka. Lekceważyłam zliczanie pocałunków, otrzymanych od ciebie upominków, intymnych schadzek. Ignorowałam kobietę numer szesnaście - atrakcyjną blondynkę, której fotografię nadal trzymałeś w albumie. Nie pytałam, czy całuję lepiej od poprzednich wybranek. Unikałam zaglądania do wnętrza pękatego kalendarza, jaki konspiracyjnie, potajemnie prezentował długość twoich związków. Spychałam na margines myśli dotyczące moich dwudziestu sześciu poprzedniczek. (Właściwie to skutecznie marginalizowałam rozważania o dwudziestu pięciu byłych sympatiach. Nadal nie mogłam zrozumieć po co ci zdjęcie tej blondynki w czarnej sukience.) Miałam w nosie los Słów, którymi obdarowałeś wszystkie dotychczasowe panny. Być może twoje Wyrazy ukradkiem od nich odeszły. Widocznie nie były nieśmiertelne.

Podobno niemal połowę związków niszczy zazdrość. Otumaniony złośliwą dolegliwością kochanek kontroluje każdy krok swojej drugiej połówki, urządza kłótnie o błahostki, finezyjnie aranżuje sceny prób samobójczych, uzewnętrznia agresję nagłymi wybuchami złości, dopuszcza się brutalnych rękoczynów. Kiedyś przeczytałam w jednym z tych bublowatych czasopism adresowanych do przedstawicielek płci pięknej artykuł opisujący zbrodnię pewnego wiernego męża. Zadręczony czwartym spośród siedmiu grzechów głównych mężczyzna z zimną krwią zamordował dwójkę dzieci, po czym popełnił samobójstwo. Urządził w mieszkaniu prawdziwą rzeź, a pospolitym brukowcom dostarczył temat wszechczasów. Podczas ulatywania dusz dziewczynek do niebios, wykonywania przez niezrównoważonego ojca gorączkowych ruchów ostrzem noża, mazania krwią na murach pokoju pewnego Słowa oddania, pospiesznego oplatania sznura dokoła masywnego żyrandola, zakładania starannie przygotowanego końca liny wokół szyi, matka beztrósko poddawała się

pieszczotom kochanka. Jakiś szaleniec nazwałby tą historię romansidłem wszechczasów, a miejsce zbrodni obwołałby prawdziwym dziełem sztuki. Zapewniam, że to nie była żadna opowieść rodem z szekspirowskiego dramatu. Zobrazowane przez czasopismo wydarzenia zasługiwały na miano tragedii.

Pamiętam, jak matka niegdyś podejrzewała ojca o zdradę. Zauważyłam to jednego z tych zimowych wieczorów, kiedy na dworze jest tak zimno i ciemno, że aż traci się ochotę na wymykanie do wiernej towarzyski wszystkich wspólnie doświadczanych regularnie seriali telewizyjnych. Tata wrócił do domu później niż zwykle. Tłumaczył, że został dłużej w pracy, stracił poczucie czasu. A jeszcze ulice dosłownie w kilka minut przybrały postać prawdziwej ślizgawicy. Podobno gołoledź była niezwykle obfita. Wszyscy okoliczni łyzwiarze się zjechali. Sunęli pomiędzy samochodami, czarując śmiałymi piruetami, rysując na lodzie warkocze. Kierowcy musieli przeganiać mistrzów ostrych bucików, waląc raz po raz w klaksony. Matka nie odrywała wzroku od mówiącego nieco absurdalnym tonem staruszka. Ze stoickim spokojem słuchała każdego pozbawionego sensu wytłumaczenia. Szczytowy moment nastąpił dopiero wtedy, gdy ojciec zdjął płaszcz. Mama wpadła w prawdziwą furję. Po całym blokowisku unosił się długi łańcuszek wrzaskliwych pytań: „Dlaczego zalatujesz wonią damskich perfum? Skąd ten ślad szminki na krawacie? Adasiu, czy ty mnie zdradzasz? Czy po tylu latach małżeństwa dopuściłeś się zdrady? Jak mogłeś? Kim jest ta kobieta? Co to za młodsza latawica? No, ile ona ma lat? Dlaczego milczysz? Dlaczego ty wciąż milczysz?”. Matka wyla, zalewała się potem, oblewała rumieńcem wilgotne policzki. Ojciec nawet nie drgnął. Wytrzeszczył oczy. Jedyne wiotka żyłka rozciągnięta wzdłuż skroni staruszka latała na wszystkie strony. Podczas każdej sprzeczki tak reagowała. Nigdy nie potrafiłam zgadnąć, czy dygotała ze strachu, szarpały nią nerwy; czy może rwały ją narastające wyjaśnienia, które okalały pęczniejący umysł. Musiała nastać chwila przerwy. Kilka głębokich oddechów nabrały płuca obu bohaterów imponującej sceny, zanim wydobyto dowód niewinniający oskarżonego o cudzołóstwo. Dłoń męża wyłowiła z zalanej całą masą papierów torby niewielką paczuszkę. Kartonowe pudełko było wypełnione kosztownymi kosmetykami. Biedak nie szczędził wysiłków, dobierając idealny świąteczny upominek dla małżonki. Tak długo niuchał całą gamę słodkich perfum, że aż nimi przesiąkł. Opuścił półki z barwnymi cieniami dopiero, gdy wszystkie kolory zaczęły mu migać przed oczami. Wytrwał nad sypkimi pudrami do czwartego kichnięcia. Nawet nie wzruszyła go dostrzegalna czerwona plama - pamiątka po długiej wizycie w dziale ze szminkami. Cały trud został zmarnowany wybuchem jednego aktu zazdrości. Takie bezmyślne pozbawienie szansy sprawienia komuś niespodzianki kaleczy poczucie tajemniczości. Nikt nie zasługuje na odarcie z tej czarującej odrobiny enigmatyczności. Człowiek po obnażeniu każdego skrawka swej indywidualnej metafizyczności traci blask. Może popaść w istic czarną melancholię. Taka diagnoza bywa nagminnym dręczycielem niewolników związku małżeńskiego.

Podobny wybuch zazdrości autorstwa matki powtórzył się jeszcze kilka razy, ale chyba ten najbardziej utkwił wewnątrz mojej głowy. Każda erupcja została zakończona wieloma uchowanymi przez długie lata małżeństwa Słowami, których moje dziecięce uszy już nie były w stanie wyłapać zza uchylonych drzwi sypialni. Pamiętam tylko, że tego niezatartego wieczora omijałam szerokim łukiem przytulny pokój schadzek rodziców.

Wszelkie skłonności do podejrzeń zwinnie wymijały mój umysł. Na szczęście ta przypadłość nie była ani zaraźliwa, ani też dziedziczna. Zostawiłam twoją wzbogaconą obecnością dwudziestu sześciu kobiet przeszłość gdzieś daleko za nami. Nawet nie dumałam nad możliwością dysponowania aż tyloma partnerkami. Być może zaliczyłeś wiele skoków w bok, a jednorazowym bohaterkom takich niezobowiązujących nocy nadałeś kolejny numer. Niektórych pewnie nie zdążyłeś obdarować bezcennymi Słowami zapewniającymi o szczyrych intencjach interesanta. Tym sposobem uwiodłeś kilka, kilkanaście, albo i kilkadziesiąt kobiet. Dały się łatwo otumanić słodkimi nic nieznaczącymi słóweczkami. Z premedytacją porzuciłeś wiele zużytych ciał na hotelowych łóżkach. A może był to rodzaj jakiegoś niedorzecznego męskiego wyścigu. Ugrzęzłeś po uszy w konkurencji wymyślonej przez niedojrzałego kompana wszystkich karcianych rozgrywek. „Kto przeleci najwięcej kobiet w ciągu miesiąca, ten wygrywa po jednej butelce Johnnynego Walkera od każdego” - z całą pewnością właśnie tak zabrzmiał ryk zagrzewający cię do walki Popisowy tytuł największego babiarza, wiekopomne noce odartego z cnoty chłopca, litry bursztynowego trunku firmy Diageo plc były zdecydowanie warte każdego bestialstwa. Ochoczo podjąłeś wyzwanie. Nie dbałam o to. Unikałam snucia jakichkolwiek domysłów. Doceniałam naszą wspólną terażniejszość, rozkoszowałam się wszystkimi osobliwymi chwilami, smakowałam twoich Wyrazów.

Już z samego rana karmiłeś mnie tymi Słowami. Osładzały gorycz kawy - małej czarnej towarzyszkę wszystkich śniadań. „Jak się spało, kochanie? Tęskniłem za tobą, leżąc w objęciach Morfeusza. Już nie mogłem doczekać się przebudzenia”, mówiłeś. Zawsze składałeś szybki pocałunek na prawym policzku. Symboliczne „dzień dobry” kończyłeś pokaznym łykiem gorącej kawy. Napój pośpiesznie wypływał z twojego ulubionego kubka prosto do rozchylnych ust. Łapczywie słodziłeś ciemny trunek dwiema kopiastymi łyżkami białej trucizny. Przyznaj, zastanawiałeś się nawet, czy nie wsypać trzeciej. Nie mogło stać się inaczej. Zawsze musiałeś użyć cukru, bowiem ja ci twojej porcji gorzkiego płynu nigdy nie posłodziłam. Co więcej, często wzmacniałam dodatkową dawką smak goryczy. „Zno-wu zas-pa-łeś”, cedziłam przez zęby. A czy słyszałeś kiedyś, że cukier powoduje otyłość? Puste kalorie otaczają drobny brzuch, zamieniając go w tłusty bęben. Słodki złodziej witamin z grupy B osłabia odporność organizmu. Terroryzuje zęby. Nigdy nie ostrzegałam cię przed negatywnymi skutkami tych drobnych przyjemności. Przymykałam oczy na nieskoordynowane ruchy dłoni, spod której wydobywał się nieznośny jazgot

metalowej łyżeczki objanej o wnętrze kubka. Zawsze skrupulatnie wmieszałeś wszystkie roztańczone kawałki kryształowej słodyczy w ciemny napój. Na dnie nie pozostawała ani jedna cukrzana bryłka czy lukrowa papka. Wystukiwałeś przy tym rytmiczne pobrękiwanie, które stanowiło idealny podkład muzyczny do twojego zachrypniętego basu. Dawałeś mi prawdziwy poranny recital. Gratyfikacją za występ zazwyczaj były trzy kanapki z serem, różnego rodzaju wędlinami, kolorowym bukietem warzyw.

Chyba najbardziej lubiłam nasze wspólne śniadania. Wypoczęte umysły zapominały każde ewentualne spięcia ostatniego dnia, były głuche na drobne poranne zgrzyty. Wypowiadane podczas nagłego przyływu wściekłości słowa powinny być prędko rzucane w niepamięć. Nie pochodzą z głębin rozkochanej duszy. Są tylko nietrwałymi dziećmi nagłej irytacji, złości, rozdrażnienia. Sen przynosi ukojenie udreżonym wnętrzom. Ciemność pochłania każdą nieprzyjemną myśl, pozostawiając same wygodne, wdzięczne wspomnienia. Tacy już jesteśmy. Pamiętamy tylko to, co dobre. Natomiast nietknięte przez noc klęski staramy się obracać w błogi żart.

Praca, zmagania z codziennością pozbawiały nas radości trwania. (Ciebie również nużyły. Dostrzegałam to po twoim popołudniowym zmęczeniu.) Nigdy nie podwoziłeś mnie do biura. Woląłeś pobycić dłużej sam ze sobą w przytulnie urządzonego domu. Wlokłam się autobusem lub przy rzadkich przyływach szczęścia podjeżdżała po mnie nowiutka zielona Honda, prawdziwy skarb sympatycznego współpracownika. Osiem godzin wypełnionych po brzegi nieskomplikowanymi obowiązkami mijało żółtym tempem. Widocznie ukazywało, jak nierówna jest trójdzielność wszystkich pięciu dni roboczych. Trzy pozornie wyrównane części doby były przeżywane z różną prędkością. Osiem godzin snu błyskawicznie umykało, osiem godzin pracy przeciągało się ślimaczo, osiem godzin spełniania prywatnych zachcianek uciekało umiarkowanie.

Każdy powrót do domu kończył się jednakowo. Tuż po zamknięciu za sobą drzwi, zwykle zaczynałam energicznie sprzątać. Szybko ścierałam kurze wilgotną szmatką. Składałam wszystko to, co należało złożyć. Zmywałam podłogę. Potem odgrywałam kilka szybkich scenek zaczerpniętych prosto z zakładu kosmetycznego, fryzjerskiego, upiększającego. Zdążyłam jeszcze zacząć przygotowywać obiad, zanim wróciłeś. Odkładałeś teczkę, ja właśnie grzebałam łyżką w patelni, wypełniałeś swoją osobą skromne wnętrze świątyni dumania, a mnie pozostawiałeś przy garach, niepostrzeżenie opuszczałeś toaletę, właśnie układałam nasze porcje żywności na talerzach, siadałeś w salonie, jeszcze stałam nad pieczołowicie przygotowanymi potrawami, uruchamiałeś telewizor, doczekałeś się gorącego posiłku.

Wieczorami zwykle wypoczywaliśmy z książkami czy czasopismami w dłoniach. Czasem urozmaicałeś mi czas przed snem. Opowiadałeś niestworzone historie o swoich pracownikach lub klientach. Z lekkością przechwycałeś

wieczorną lekturę i łaskotałeś. Zawsze potrafiłeś mnie rozweselić, doprowadzić do łez (poprzez śmiech). Byłeś budowniczym drobnych zmarszczek pod powiekami. Podczas każdego przypiływu radości delikatnie malowały się niczym pajęcza sieć. Rysowałeś niezwykle kształtne załamania. Byłeś też głównym autorem podłużnych rys wokół ust. Największe twoje arcydzieła powstawały w wyniku euforii, która eskalowała dzięki kochliwym Słowom. Mimo potulnych wieczorów sny przeżywaliśmy indywidualnie. Ty trzymałeś się z dala od moich, a ja od twoich. Nawet jeśli dostrzegałam twoją zjawiskową postać, to przenikał ją obcy duch. Nigdy nie rozmawialiśmy na temat marzeń sennych.

Ten poranek był niemal bliźniaczy w stosunku do wszystkich innych naszych jutrzeń. Po niecałych dwóch latach wzajemnej znajomości, po czterech miesiącach zamieszkiwania tego samego gniazdka, po pięciu burzliwych awanturach, po dwóch niedługich rozstaniach wciąż obdarowywałeś mnie tymi ujmującymi Słowami uchowanymi gdzieś głęboko wewnątrz twoich duchowych zakamarków. Ciągłe praktykowałeś szybkie pocałunki. Potrafiłeś umilić początek na pozór przeciętnego dnia. W końcu byłeś mistrzem uprzyjemniania szarych stronnic mojego kalendarza. Jeszcze nie wiedziałam, że niebawem miałeś utracić ten tytuł. Tym razem moja sprawna intuicja zawiodła mnie na dobre. Uwierzyła twoim Słowom. Dała się nabrać. Uległa iluzji, tak realnie wyglądającym złudzeniom. Nie zdążyła zwątpić w wymarzone mrzonki.

Tego ranka jak zwykle pierwsza przytaszczyłam swoje kości do kuchni. Ospałymi ruchami wyczarowałam śniadanie. Spod zwinnych dłoni wyłaniały się kolejne przysmaki. Łyk smolistej kawy postawił mnie na nogi. Przetarłam nadgarstkami opadające powieki. Od razu poprawił mi się wzrok. Natychmiastowo dostrzegałam gazetę na blacie. Leżała tak nieruchomo, cichuteńko. Nawet nie zaszeleściła radośnie na widok potencjalnej czytelniczki. Śmiałym ruchem chwyciłam opuszczone biedactwo. Porozkładałam wymiętolone kartki. Zaczęłam uchylać kolejne stronnice, symulując miny godne zaciekawionej intelektualistki. Ogarniałam beznamiętnym wzrokiem kolejne artykuły. Czytałam słowa, nic nieznaczące słowa bezdusznego dziennikarza. Bez zrozumienia przyglądałam się czarnym literkom. Nie było ważne ich brzmienie, kształt czy zabarwienie. I tak miały przetrwać wewnątrz mojej głowy przez jedyne kilkanaście najbliższych minut. „Gwiżdżę na osiemnastego męża słynnej aktorki pochodzenia amerykańskiego, lekceważę przebieg ostatniego meczu piłki nożnej, mam w nosie burzliwe romanse polityków”, wymamrotałam pod nosem, wyróciwszy kolejnymi kartkami. „Odejdź, nieczuła makulaturko, tania bazgrani-no. Prawdziwa z ciebie szmira i grafomania!”, wykrzyczałam niesłyszalnie w myślach. Odłożyłam gazetę. Podsunęłam ci ją niemal pod rękę. Przechwyciłeś bulwarówkę. Zwinnie zawładnęła twoim rozumem. Tak się wczytałeś, że nawet nie zauważyłeś, jak efektywnie wymiętosileś rozprostowane przeze mnie stronnice.

- Cholera! Jakaś mizerna aktorzyna z Ameryki poderwała naszego wspa-
niałego hokeistę! Jak my teraz wygramy kolejny mecz? - ciebie te marne słowa
zawsze potrafiły wzburzyć. Dręczyły twój umysł wyjątkowo długo - Myślisz,
że jest ładna? Dla takiej nie opuściłbym drużyny. Skandal! Ty ją w ogóle
znasz? Sławna jest? - drażyłeś dalej temat. „Oczywiście, że ją znam. Przecież
to jedna z tych najbardziej wziętych aktorek.”, pomyślałam. Zerknęłam ponow-
nie na zdjęcie.

- No, całkiem niezła. Nie widziałam jej wcześniej - odpowiedziałam
skromnie. Wolałam uniknąć kolejnych prawdopodobnych pytań.

Ten dzień rozpocząłeś niezwykle uprzejmie. Po hałaśliwej lekturze prasy
oraz nieudanych próbach zainteresowania mnie jakąkolwiek tanią plotką
bezbłędnie odłożyłeś bublowatą gazetę na stos gromadzonej od miesiąca maku-
latury. Tym razem nie porzuciłeś odartego z wszelkiej nowinki, ogołoczonego
dziennika na rozgrzanym przez siebie krześle. Dobrze wiedziałeś, jak wielką
odrazę żywiłam do tych szmatławców. Wiedziałeś także, że sprzątanie twoich
brudów wywoływało u mnie potworne rozgoryczenie. Ale chyba nigdy nie do-
myśliłeś się, z jak monstrualną przyjemnością usuwałam wszystkie pośnadan-
ne piśmidła. Traktowałam je niczym złożone ofiary, zdechłe pleciugi, dopiero
co pozbawione ciepła papierowe organizmy. Wyrzucanie takich przedmiotów,
które wywoływały u mnie obrzydzenie, było czystą rozkoszą. Bezkonfliktowo
pomyłeś naczynia.

- Może podwieźć cię do pracy? - spytałeś niewinnym głosem, ocierając
mokre dłonie ręcznikiem z frotty. Ta propozycja była już szczytem twojej
uprzejmości. Tak mnie zaskoczyłeś, że aż nie mogłam wydobyć ani słowa.
Zawsze udawałeś głuchego na moje samotne wyjścia. Zamilkłam, jakby mi coś
w gardle utkwilo. Nagle cała zeszywniałam. Wytrzeszczyłam oczy. Ty swo-
bodnie podszedłeś do wieszaka. Chwyciłeś kurtkę.

- No, zbieraj się. Wiesz, że nie jestem fanem słynnego ostatnimi czasy
Roberta Kubicy. Unikam szybkiej jazdy.

Założyłeś nawet karmazynowy szalik. Tak bardzo go lubiłam, a tak
rzadko po niego sięgałeś. Był prezentem ode mnie. Pamiętasz zeszłoroczne
Święta Bożego Narodzenia? Właśnie wtedy podarowałam ci ten upominek.
Czekał cierpliwie pod iglastym drzewkiem na nowego właściciela. Nierucho-
mo spoczywał wewnątrz paczuszki. Cichutko wypatrywał, kiedy otworzysz
pudełko. Specjalnie dla ciebie wydziergałam szkarłatny szalik. Przez niemal
miesiąc wplątywałam w kolejne oczka wyśmienitej jakości wełny ciepłe Szep-
ty. Słowa same ulatywały z wnętrza rozkochanej duszy. Miały chronić cię
przed silnymi mrozami. Lgnęły do wełny niczym fruujące w powietrzu, na-
elektryzowane drobinki papieru do szklanej laski. Kiedy ujrzałeś prezent, wy-
rażnie przyjrzałam się twojej minie. Nie wyglądała zbyt słonecznie. Śledziłam
każde drgnienie policzka, mrugnięcie powiek, zmarszczenie nosa. Odniosłam
wrażenie, że niespodzianka wprawiła cię w zakłopotanie. Przez chwilę duma-

leś, jak można okazać radość bez radości. Trzeba być genialnym, bezkonkurencyjnym, pierwszorzędnym aktorem, by móc w chwili niesmaku weselić się przygnębieniem. Nie nosiłeś regularnie szalika. Rzadko oplatał twoją szyję. Zwykle pozostawiałeś go na wieszaku. Samotnie okrywał drewniany haczyk. Dopiero teraz zapragnąłeś pokazać mojemu karminowemu ulubieńcowi ścieżki, którymi chodzisz. Jak mogłeś właśnie tego ranka ubrać płomienisty szalik?

Wyszliśmy z domu. Chyba po raz pierwszy razem opuściliśmy nasze wspaniałe gniazdko tak wcześnie. Wewnątrz niewielkiego samochodu milczałeś. Zdecydowanym ruchem usiadłeś za kierownicą. Postanowiłeś w pełnym skupieniu poprowadzić osobówkę. Wyglądałeś na wielce zamyślonego. Próbowalam zajrzeć do wnętrza twojego umysłu, choć przez chwilę odwiedzić tą samą planetę. Jednak byłeś o kilka lat świetlnych za daleko. Wisiałeś gdzieś obok jasnej gwiazdki na nieboskłonie. Stałeś się nieosiągalny, niewyraźny, wręcz amorficzny. Nie mogłam dostrzec żadnego ciała niebieskiego, które postanowiłeś podziwiać. Twoje zamglone oczy wszystko skutecznie maskowały. Zrezygnowana przestałam ogarniać cię wzrokiem. Patrzyłam bezmyślnie przed siebie. Mijaliśmy kolejne drzewa, domy, inne automobile. Słyszałam tylko ciężki warkot samochodu. Nasz staruszek już dyszał. Zdawało się, że z wielkim wysiłkiem pokonuje kolejne kilometry nieskończenie długiej drogi.

Praca trwała nieprzeciętnie długo. Wszystkie zegary zaczęły obumierać. Wskazówki leniwie obracały się, przemierzając wolno kolistą powierzchnię tarczy. Głośno tupwały przy każdej zmianie położenia. Tik-tak, tik-tak. Minuta trwała dłużej niż zwykle. Natrętny szmer wypełniał moje uszy. Ciągłe przydeptywał te same ścieżki wrażliwego narządu słuchowego. Wszystkie urządzenia dziś na mnie warczały. Komputer terkotał emfaticznie. Nie wiem, czy składał wieczne zażalenie o wolny przepływ danych, czy po prostu głośno oddychał. A może pomrukiwał sobie z nudów. Drukarka od czasu do czasu (za moim pozwoleniem) zacharczała nieznośnie. Obdarowywała mnie dość głośnymi gulgotami, ilekroć wydalała zadrukowane stronnice. Myszka pozwalała sobie na drobne harce. Próbowalam pokierować tym nieznośnym stworzeniem niczym profesjonalny informatyk. Może właśnie dlatego czasem niepewnie zadrżała pod dłonią. Widocznie przeraził ją mój nagły przypływ biegłości. Nawet drzwi akurat tego dnia reagowały świdrującym postękiwaniem na każde uchylenie. Nie mogłam się skoncentrować. Wszystko dokoła rozpraszało moje szare komórki. Ulatujące myśli unikały przybierania zcentralizowanego położenia. Minęła dopiero godzinka, a ja już zaczęłam tańczyć nogami pod stołem, wiercić wszystkimi cząstkami znużonych elementów ciała.

Otworzyłam swoją pocztę elektroniczną. Przeczytałam list od administratora, usunęłam kolejną bezużyteczną reklamę. Chciałam napisać do ciebie kilka słów. Jednak nie mogłam ich ogarnąć w sensowne zdania. Każda fraza brzmiała niczym fikuśnie wykaligrafowana wypowiedź profana. Błazeńskie zleпки źle poukładanych literek przedwcześnie wskakiwały do łańcuszka prze-

mówienia. Kiedy udało mi się posklejać parę wyrazów, uznałam je za pozbawioną sensu pisemną paplaninę. Pełna rozgoryczenia i bezradności spojrzałam na nacisk „wyślij”. Taki malutki guzik, a dysponuje tak potężną mocą. Przybiera postać mojego osobistego elektronicznego listonosza. Jest szybszy niż błyskawica, natychmiastowo dostarcza każdą wiadomość, a co najlepsze - nie pobiera opłaty za znaczek.

Tego dnia nie wysłałam do ciebie żadnej wiadomości. Skrupulatnie wykonywałam swoje obowiązki, a jednocześnie głowiłam się, dlaczego byłeś taki miły, i to już z samego ranka. Pomyślałam, że pewnie będziesz chciał wymusić na mnie jakąś przysługę, jak tylko przekroczę próg naszego mieszkania. Może chodziło o okazałe dofinansowanie. Chyba doszedłeś do wniosku, iż najwyższy czas wymienić naszego warkotliwego staruszka na nowszy model samochodu. Jednak zawsze zarabiałeś wystarczającą ilość pieniędzy, by samemu dokonać zakupu. Wszystkie dotychczasowe osobówki były twoje. Nigdy nie dorzucałam ani grosza. Czyżbyś uległ hazardowi i tonął w niebosiężnych długach? Tyle razy uprzedzałam cię, abyś przestał strugać niepokonanego gracza, ale ty słuchasz tylko samego siebie. Miałeś uczestniczyć w typowo szczeniackich rozgrywkach z udziałem znanej zgrai kompanów, wszelkiego rodzaju spirytualiów, ciągnących się smużek dymu papierosowego. Prosiłam, byś unikał profesjonalnych szulerni. Szarpały mną same czarne myśli. Doszukiwałam się najgorszego scenariusza. Jeszcze kilka podobnych podejrzeń doprowadziłoby mnie do stanu drażliwego spięcia, wręcz hysterii. Musiałam odzyskać spokój. Odsunęłam klawiaturę, walecznie tupnęłam nogą, odeszłam od stanowiska. Niepewnym wzrokiem ogarnęłam miejsce pracy. Zwyciężyłam chwilową rozterkę. Śmiało podeszłam do dojrzałej specjalistki od problemów sercowych, znawczynie wszystkich dziwacznych zachowań męskich, wielbicielki świata telenowel. Ochoczo zrelacjonowałam jej każde niepokojące wydarzenie dzisiejszego poranka, podzieliłam się odczuwanymi wrażeniami. Współpracownica dosłownie zżerała moje zwierzenia coraz to głębszym wzrokiem, rozchylając delikatnie usta. Chłoneła kolejno wszystkie wyrazy. Pałaszowała nawet przejściowe przemilczenia. Łapała oddech za oddechem.

- Chce się oświadczyć! Jestem tego pewna - wyszczebiotała nadpobudliwym głosem. Poczułam tak infernalny ścisk w gardle, że nie byłam w stanie odświergolić. Jakby jakaś siła nieczysta chwyciła mnie znienacka za szyję. Spojrzałam na rozmówczynię niepewnym, przełzawionym wzrokiem. - Wiem, co mówię. Zapewniam, jestem nieomylna. Przymiła się, bo ma mojra. Umiera ze strachu na myśl o odrzuceniu - dokończyła wypowiedź, po czym schowała nos w stosie faktur.

Takiego scenariusza nie przewidziałam. Byłam zachwycona. W dodatku to mnie przypadła główna rola! Wyprostowałam się jak świeca, nabrałam powietrza, ścisnęłam brzuch, wypięłam klatkę piersiową do przodu. Pysznym krokiem ruszyłam przed siebie. Zgrabnie zasiadłam za biurkiem. Czarna me-

lanchofia gaśła. Najpierw dyskretnie chowała swoje upiorne oblicze, znikając gdzieś pod krzesłem. W końcu odeszła na dobre. Jej dzieci, bezbarwne smutki, ukradkiem odmaszerowały. Poodchodziły z zamiarem znalezienia innej ofiary, którą będą mogły podręczyć nieco dłużej. Wrócił wdzięczny spokój, przyjemne opanowanie, przylepna harmonia. Kontynuowałam pracę, nie rozmyślając o niczym. Myśli ominęły cię gdzieś przelotnie, przeoczyły próg wspólnego gniazdka, przegapiły kuszące propozycje dań obiadowych. Opuszczały moją istotność, zabierając się na krótkie wyprawy wraz z tańczącym wewnątrz biura powietrzem. Zwinnie skakały pomiędzy monitorem a klawiaturą. Sumiennie wróciły do pracy. Rzetelnie przypominały o kolejnych obowiązkach.

Tak intensywnie pracowałam, że niemal przenikałam cząstkami duszy przez drobne komponenty komputera. Zagubiona wśród detali skomplikowanej maszyneryi dostrzegałam tylko dostojne literki, smukłe i pękate liczby, drobne znaki interpunkcyjne, fikuśne symbole. Mrugały do mnie ponętnie. Ekran lśnił pociągającym blaskiem, przysłaniając mi resztę świata. Nawet nie spostrzegłam, kiedy pomieszczenie biurowe zaczęło się wyludniać. Wracając do domu autobusem, byłam głucha na cudze rozmowy, a za szybą pojazdu dostrzegałam tylko czarną pustkę. Wyłowione z wnętrza komputera cząstki umysłu potrzebowały trochę czasu na zregenerowanie się. Musiały odpocząć po tytanicznym wysiłku. Pozwoliłam im odsapnąć. Usiłowałam przegonić uporczywe zmęczenie. Dosłownie przysnęłam z otwartymi oczami.

- Czy to nie pani przystanek? - usłyszałam serdeczny głos sąsiadki z czwartego piętra. Kilka słów wypowiedzianych niemal szeptem zdołało przywrócić mnie na ziemię. Wytrzeszczyłam oczy. Szybko otrzeźwiałam, jak tylko zauważyłam dobrze znaną okolicę. Pospiesznie wybiegłam ze środka lokomocji. Chyżo zmusiłam dłoń do oddania kilku wdzięcznych pokłonów mojemu aniołowi stróżowi, po czym ruszyłam prosto przed siebie.

Wróciłam do domu nieco później niż zwykle. Przystanąłam naprzeciwko solidnych wrót, za którymi mieściło się wnętrze naszego przytulnego mieszkania. Orzechowe drzwi milczały. Budziły respekt, jakby wcale nie były już tylko spiłowanymi, wyszlifowanymi kawałkami drewnianych płyt połączonych w jedną całość. Co dzień wyrastały przede mną niczym wielki dąb na skraju lasu. Każdego dnia oddawałam im pokłon, opuszczając delikatnie głowę podczas przeczesywania wnętrza torebki w poszukiwaniu przedmiotu, który poradzi sobie z uchyleniem podwojów. Mosiężny klucz głucho zatrzeszczał, obracając się wewnątrz masywnego zamka. Echo odbijało nawet najbardziej lilipuci poszept starego zamknięcia. Poszarpałam zwinnie klamką, z którą witałam się mocnym uściskiem dłoni podczas każdego samodzielnego powrotu do domu. Ten gest stał się już pewnego rodzaju rytuałem. Chcąc wkroczyć na teren mieszkania musiałam objąć ręką uchwyt. Jestem pewna, że każda cząstka drzwi odwzajemniała martwymi gestami pozdrowienia. Zapewne nawet próbo-

wała wyszeleścić najświeższe plotki o sąsiadach, zabarwione różnymi odcieniami szarości troski dnia codziennego. Niestety, człowiek jest głuchy na słowa rzeczy martwych. Jakie to smutne w chwilach niechcianej samotności. Może gdybym potrafiła uchwycić choć kilka wyrazów, to usłyszałabym jakąś cichą przestrogę.

Przekroczyłam próg naszego lokum. Przywitała mnie wypełniająca niewielki przedpokój ciemność. Zmęczone pracą biurową ślepie zdążyły się przyzwyczaić do tego napotykanego każdego wieczora mroku. Nie potrzebowałam zapalić światła, by powiesić płaszcz na właściwym wieszaku, położyć torebkę na odpowiednim taborecie, ustawić buty na moim kawałku półki. No właśnie, pantofle nie mieściły się w części należącej do mnie. Zawsze przestrzegałeś wyznaczonych wspólnie granic. Jak świat światem pozostawiałeś nienaruszone moje prywatne kąciki. Z całą pewnością nie zaliczyłam żadnej gafy. Bezbłędnie zlokalizowałam swój osobisty zakamarek. Gdybym nagle ociemniała, również nie napotkałabym nawet najmniejszego problemu. Każdy zaułek mieszkania znałam niemal na pamięć. Nagle usłyszałam jakiś szmer dobiegający z salonu. Brzmiał niczym paniczne szepty zagubionych dusz, nieludzkie pojękiwanie. W mgnieniu oka osłupiałam. „Nie, tylko nie złodzieje”, przeszło mi przez myśl. Natychmiastowo zapaliłam światło. Moim ciałem zawładnął strach. Prześwidrował zwłoki od stóp po sam czubek głowy. Bałam się ogarnąć wzrokiem większą przestrzeń. Wolałam uniknąć kłopotliwego zarejestrowania strefy potencjalnego zagrożenia. Z lekko zmrużonymi powiekami zawadziłam spojrzeniem o przedpokojowy mebel. Na półce, a tak właściwie na moim fragmencie półki, zauważyłam parę ładnych damskich butów, byłych mieszkanek słynnego domu mody - Prada. Włoskiego pochodzenia kozaczki promieniały radośnie, lśnią w reflektorach sztucznego światła. Wtem zauważyłam dwa cienie rzucone na powierzchnię lakierowanej skóry.

Zobaczyłam ciebie. Nie byłeś sam. Obejmowałeś jej drobną dłoń swoimi wielkogabarytowymi palcami. Już wiedziałam, że zabrakło dla mnie miejsca zarówno na półce, jak i we wszystkich pozostałych zakątkach domostwa. Stałeś skromnie, jakby nigdy nic obok swojej kobiety numer dwadzieścia dziewięć. Nie pomyliłam się w liczeniu. Dobrze wiem, że po dwadzieścia siedem przychodzi czas na dwadzieścia osiem. Ten numer już uwieczniłeś wewnątrz potajemnego kalendarza. Mimo iż cyfra obskoczyła zaledwie trzy reprezentujące kolejne dni stronnice, należała do twoich sekretnych skarbów.

Dobrze znałam dalszą kolej rzeczy. Chwyciłam za rączkę starannie zapakowanej walizki. Kufer niemal pękał w szwach. Został wypełniony po brzegi wspólnymi przeżyciami niecałych dwóch lat wzajemnej znajomości, szczerkowymi relikwiami czterech miesięcy zamieszkiwania tego samego gniazdka, pozostałościami pięciu burzliwych awantur, śladowych wielkości pamiątkami dwóch niedługich rozstań. Wszystkie fragmenty były dokładnie poukładane

w kwadratową kosteczkę. Chciałam wtrącić do walizki jedno ostatnie Słowo. Jednak niewiadomych kształtów Wyraz stanął wewnątrz gardła. Nie był na tyle silny, by móc się oswobodzić z mocnych uścisków odrętwiałych strun. Objęłam dłońią potężny sakwojaż. Pewnym ruchem wykonałam obrót na pięcie. Wyszłam.

Oszołomiona nagłym zwrotem zdarzeń przystanąłam na krótką chwilę przed solidnymi orzechowymi drzwiami. Ciężkim oddechem chuchałam prosto przed obliczem wyszlifowanych płyt. Słowo próbowało wydostać się z uciążliwych uścisków gardła. Sama podejmowałam wszelkie wysiłki, by przepędzić Je bezpowrotnie. Zdyszana zacharczałam. Silnie pchnęłam Wyraz ku wargom. Zakrzusiałam się przeraźliwie. Skutecznie splunęłam wszystkie magmowate Literki prosto na twoją wycieraczkę. Opuszczając swoje unowocześnione mieszkanie, pewnie nawet nie zauważysz tego obrzydlistwa. Jednak zostawiam ci te Słowa. Na cóż mi One, skoro nie ma już pośród Nich ciebie? Oddaję wszystkie szczere wynurzenia, bezgrzeszne flirciki, niespełnione obietnice, czarujące komplementy, pełne czułości miłostki, przyjacielskie porady, troskliwe stwierdzenia. Może będziesz umiał zadowolić Nimi swoją kobietę numer dwadzieścia dziewięć.

Magdalena Topp



Kochanie, jestem aniołem...

Wydaje mi się, że wiedziałam o tym od dawna. Może nawet od zawsze. Tak więc, nie zdziwiłam się wcale, gdy oświadczył mi całkiem poważnie, bez najmniejszego cienia żartu:

- Jestem aniołem.

Po moim ciele przebiegł dreszcz. Przyjrzałam się jego twarzy. Lekko uniesione wzniesieniem brwi, prawie niewidoczne, sprawiały wrażenie, jakby Stwórca zapomniał je dorysować. Szare, przejrzyste oczy, o spojrzeniu tajemniczo głębokim jak studnia, kusiły, żeby na ich dnie poszukać swego odbicia. Wyraz chłopięcego podniecenia na jego dojrzałej już twarzy, zawsze mnie rozbrajał. Usta, lekko rozchylone zamarły mu w pół słowa. Z trudem oparłam się pokusie, aby je pocałować.

- Wiem, wiem. Nie powtarzaj tego nikomu, będą brali mnie za wariata, alboposądzą o sekciarstwo. To nie tak, być aniołem to jest... wiesz... jakby ci to powiedzieć... pewien rodzaj wrażliwości...

Jego słowa przyjąłam z ogromną ulgą. Więc on już wie i nie buntuje się. Powiedziałabym nawet, że wydaje się być z tego dumny. To znaczy, że zaakceptował to jako fakt. „Mój Aniele” - pomyślałam obserwując, jak spokojnie i rzeczowo starał się wytłumaczyć ideologię, kryteria rozpoznawania anielstwa i różnice między ludźmi, aniołami jakimiś innymi istotami. Bardzo starał się robić to bez emocji, ale ja przecież nie mogłam tego nie odczuć. Bał się, że posądzę go o utratę zmysłów. A przecież znamy się już od tak dawna, że jego obawy lekko mnie zaintrygowały. Z czułością obserwowałam jego wewnętrzne zmaganie się niepokoju z ekscytacją. Dobiegały mnie strzępki jego wywodów, ale nie mogłam się na nich skupić. Nigdy nie lubiłam filozoficznych rozważań, bardziej pociągały mnie żywe emocje.

- Ty też jesteś aniołem.

Dźwięk tych słów wyłowionych podświadomie z całego potoku wyjaśnień obudził mnie z zamyślenia. Życ z taką świadomością, a usłyszeć to zdając sobie sprawę, że ktoś mówi to w TYM sensie, to zupełnie coś innego. Wiele razy wcześniej zdarzyło się, że ktoś rzucił od niechcienia: "jesteś aniołem", albo „z pani to istny anioł”. Ale to nie to samo. Myśląc anioł, wyobrażamy sobie świetlistą istotę ze skrzydłami, zatrudnioną w charakterze kuriera boskich wiadomości, agenta ubezpieczeniowego od wszelkiego złego,

albo wokalisty w operze niebiańskiej. Nie uprawia się z nim seksu, nie rodzi dzieci. Anioł nie zajmuje się praniem brudnych skarpetek, ani szorowaniem garów. Anioł, to stworzenie bajkowe, nierealne. Co prawda, Biblia opisuje takie istoty, ale kto tak naprawdę traktuje poważnie historie Biblijne? Anioł to mit. Tak się przyjęło, a kto myślałby inaczej będzie dziwolągiem. Ludzie nie lubią dziwolągów, a zwłaszcza nawiedzonych dziwolągów. Już bezpieczniej byłoby wierzyć w duchy, upiory i wampiry. Przecież przyjemnie jest się trochę postraszyć, poczuć ten dreszczyk. To ma sens, przynajmniej skóra od tego cierpnie. A już być aniołem? To niedorzeczne. I nudne.

Jak już wspomniałam, nie wiem od kiedy mam tę świadomość, że jestem aniołem. Nigdy dotąd z nikim o tym nie rozmawiałam. No, bo niby z kim? Z księdzem próbowałam poruszać podobne problemy, ale odniosłam wrażenie, że on chyba jest niewierzący. Jak tylko dochodziło do tematu o pełnym zaufaniu do Boga w jakichś trudnych życiowych sytuacjach, okazywało się, że ksiądz radzi jednak przejmować inicjatywę w swoje ręce. Tak jakby obowiązywała zasada ograniczonego zaufania. Wierzyć - tak, ale bez przesady! Również moi rodzice twardo stąpający po ziemi nie umieli nigdy rozmawiać o takich sprawach, poza tym świadomość zaczęła rozwijać mi się później, gdy już się usamodzielniałam. Przedtem było tylko nieuzasadnione poczucie wyobcowania, osamotnienia, jakbym nie należała do tego świata. Zawsze miałam wrażenie, że nadaję na innych falach, niż rówieśnicy. Byłam zbyt poważna, nieśmiała i za bardzo wrażliwa, żeby poczuć się dobrze w grupie. Przeważnie z boku obserwowałam inne dzieci starając się dostosować. Nie było mi z tym łatwo. Często popadałam w melancholię; potrafiłam nawet przepłakać cały dzień nie wiadomo dlaczego. Miałam gdzieś w duszy ogromne pokłady smutku, poczucie straty i tęsknoty nie wiadomo za czym. Sporo czasu upłynęło, zanim zrozumiałam przyczynę mojego stanu.

Moja słabość, a raczej pociąg do odczuwania różnych emocji dała o sobie znać szczególnie w wieku dojrzewania. Tak bardzo byłam zachłanna na ludzkie odczucia i uczucia, że o mało nie wyładowałam w szpitalu psychiatrycznym. Nic szczególnego w moim życiu się nie wydarzyło, nie miałam powodów do depresji, ale jak gąbka potrafiłam chłonąć z otoczenia napięcia, myśli i odczucia innych ludzi. Przetwarzałam to potem w moim umyśle na trujący bełkot wypaczonych informacji. Nie mam pojęcia, dlaczego ze wszystkich emocji najbardziej interesował mnie smutek. Tak bardzo się z nim utożsamiałam, że stałam się jednym wielkim żalem za grzechy i pokutą. Odmawiać sobie wszystkiego, jeżeli zrobić coś to dla innych, poświęcić się, zamienić w proch, bo w końcu z prochu powstałeś itd. Chciałam się w ten sposób dowartościować, powiedzmy szczerze - uświęcić. Ale im bardziej brnęłam w tę „świętość”, tym bardziej się pograżałam. Tak bardzo starałam się zasłużyć na Bożą miłość, że byłam gotowa w jej imię zniszczyć siebie, swoje ciało i duszę. Czyż to nie niedorzeczne? Jak mógłby kochać mnie mój Bóg,

gdybym w końcu zdołała siebie unicestwić? Ale wtedy wydawało mi się to jedyną słuszną drogą.

Ogromna tęsknota do Boga towarzyszyła mi przez całe życie. Poczuć się znowu Jego ukochanym dzieckiem, tak bezpiecznie i rozkosznie rozpuścić się w puszystej, aksamitnej istocie Najwyższego. Z drugiej strony wychowano mnie w przeświadczeniu, że Boga trzeba się bać. On jest przede wszystkim Sędzią, który w odpowiednim czasie rozliczy mnie z każdego szczegółu życia. Więc kajać się przed majestatem, spoufalać, jak z kochanym tatusiem, czy ukrywać jak przed śledczym? Jedno wielkie pomieszenie.

Teraz już wiem, że mój smutek, to wspomnienie po wyjściu ze strefy, którą przeciętny człowiek nazwałby niebem. Było to tak dawno temu, że pamięć tych wydarzeń jest mglista i niezbyt jasna, ale emocje pozostały nadal żywe. Moment zderzenia się z brutalną rzeczywistością, ze wszystkimi związanymi z tym ograniczeniami był przerażający. Najgorsze jednak było uświadomienie sobie, że nie mam już drogi odwrotu.

Dlaczego zesłałam? Pewnie z ciekawości, z głupoty, z chciwości na emocje, które można było poznać tylko na ziemi. Tak naprawdę, to rzeczywistość przytłoczyła moje wyobrażenia. Wcześniej wydawało mi się, że to będzie coś ekscytującego, interesującego, jak wycieczka po Amazonii. Trochę strasznie, trochę śmiesznie. Trochę trudno jest opisać odczucia, jakich wtedy doznałam, bo to tak bardzo niematerialne i niewymierne, że nie potrafię do niczego tego porównać. Zaraz po przejściu zdolność postrzegania energii była wyostrzona niewyobrażalnie. Widziałam i czułam wszystko wokół, jakby kłębiące się masy różnych nieprzyjemnych bytów, próbujących przechwycić moją istotę. Nie wiem, dokąd wtedy trafiłam, bo nie przypominało to ziemi, na której teraz żyjemy. Czułam się rozszarpywana energetycznie i fizycznie. Kleiste i maziste szare masy wciągały mnie w jakiś przerażająco dziwny lej. Nie mogłam się od niego odkleić, a poczucie bezradności i bezsilności przeplatało się z uczuciem żalu do Boga, że pozwolił mi na to, bym od niego odeszła. Było to jak koszmarny sen, w który zapadasz lekko i beztrąsko, by po chwili uświadomić sobie, że nigdy już się nie obudzisz. Albo jak cierpienie w chorobie, gdy masz pewność, że nie ma na nią lekarstwa, ale musisz z tym żyć. Chociaż nie, od choroby jednak uwolni cię śmierć. Anioł, który „upadł”, jak w kieracie - rodzi się i umiera wciąż w kółko, wciąż od początku.

No właśnie, zanim doszło do tego, że zaczęłam odzyskiwać część pierwotnej świadomości, odradzałam się wiele razy. To, co mnie ściągnęło na ziemię, stało się moim przekleństwem. W kolejnych wcieleniach próbowałam doznać wszystkich emocji i odczuć, jakie były możliwe. Zabijałam i byłam zabijana, gwałciłam i byłam gwałcona, cierpiałam i sprawiałam cierpienie. Wszystko dopóty, dopóki nie zrozumiałam, że już nie mam ochoty tego robić. Moja świadomość dojrzewała, by uwolnić się od przeznaczenia, lub ktoś inny

by powiedział - od karmy. Najtrafniej byłoby powiedzieć chyba, że uwolniłam się od intencji do robienia tego, czy owego. Byłam wojownikiem, dopóki na polu walki nie dotarł do mnie bezsens zabijania i nie odczułam pustki, jaką miałam w sercu. Cała negatywna energia płynąca z odczuwania złości i nienawiści wypalała moją duszę. Żeby to przetrwać musiałam zablokować wszelkie inne odczucia. Być twardym, nieugiętym, niezłomnym wojownikiem, cieszyć się szacunkiem lub siał postrach - to był mój cel nadrzędny. A zaczęło się od tego, że miałam misję walki ze złem, niszczenia istot, które, jakby to najprościej ująć, nie miały dobrych intencji i nic nie było w stanie tego zmienić. Ktoś rzucił hasło, że trzeba je wytepić i lawina ruszyła. Niestety, nie wpadłam na to, że zła złem nie da się unicestwić. Walcząc nasiąkałam energią tych istot, przejmowałam najniższe emocje. I to chyba było to, co mnie pociągało. Ten dreszczyk emocji, poczucie władzy wydawało się bardzo ekscytujące, ale nie pozostawiało we mnie żadnych pozytywnych wartości.

Kiedy już ocknęłam się z wojowniczego amoku, przysięgłam sobie, że już nigdy nikogo nie skrzywdzę. Tak bardzo starałam się naprawić moje błędy, że znowu przegięłam w drugą stronę; stałam się regularną ofiarą. Przypominają mi się krótkie migawki z kolejnych wcieleń, gdy rozszarpały mnie tygrysy na arenie, męczeństwo, bieda, obóz koncentracyjny. Ciągłe męczona poczuciem winy, za zbrodnie, których żadnym z tych wcieleń nie pamiętałam. Bo pamięć duszy, to co innego, niż pamięć życia. Pamięć duszy kryje się w podświadomości, która często każe nam dokonywać irracjonalnych wyborów.

Najdziwniejsze, bo najbardziej zagubione, wydaje mi się ostatnie moje wcielenie, gdzie jako beztroski, amerykański chłopak zaciągnęłam się do armii. Chyba nikt z nas nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wyglądała wojna w Wietnamie. Wizja zostania bohaterem narodowym przesłaniała wszelkie negatywne aspekty wojny. Miałam głowę przeładowaną propagandową sieczką, więc z uśmiechem na ustach stanęłam w szeregi. Potem był tylko strach. Umierający w rozszarpanych pociskami ciałach kumple, rozpaczliwe strzelanie na oślep, że nawet nie wiem, czy kogoś udało mi się trafić. Sztucznie podsycana nienawiść do żółtków, a zarazem litość nad człowiekiem. Nie było już w tym intencji do walki, to była tragiczna pomyłka. Żołnierz sam stał się swoją ofiarą. Strach i osamotnienie, ciągła gotowość, powodowały napięcie nie do wytrzymania. Emocje, które doprowadzały do wymiotów. Żeby to przetrwać ćpałiśmy co popadło i chodziliśmy gwałcić, co tylko się dało, do zatracenia. Żeby już nic nie myśleć i nie czuć. Zabić uczucia. Uśpić mózg, a przede wszystkim duszę. Kotłowanina uczuć i myśli w przebłyskach świadomości znowu zmuszała do ćpania, gwałcenia i zatracania się na nowo i na nowo. W takim stanie nieprzytomności udało mi się jakimś sposobem przeżyć i wrócić do kraju. Jednak wspomnienia nie pozwoliły mi żyć. Po niedługim czasie zmarłam z przedawkowania.

I tak dotarłam do mojego obecnego życia. Nie mam pojęcia, dlaczego właśnie teraz zaczęłam odzyskiwać świadomość. Może właśnie dlatego, że przez te wszystkie wieki tułaczki po ziemi udało mi się czegoś nauczyć. Może dlatego, że w końcu mam już dość przeżywania chorych emocji. W każdym bądź razie, uświadomienie sobie skąd tak na prawdę pochodzę nie było wcale takie przyjemne, jakby się mogło wydawać. Intensywne odczucie oderwania od Boga powróciło z całą mocą.

Zaczęłam się buntować. Najpierw dlatego, że Bóg nie powinien mi pozwalać na odejście od niego. To, że dał mi wolną wolę, nie znaczy, że może pozwalać mi na wszystko. I jaki tam z Niego Dobry Ojciec? Przecież powinien mną wstrząsnąć i przywołać do porządku. Przecież mógłby. Wolna wola, trele - morele, po co mi to było? Chrzanić taką wolną wolę.

Później przyszedł bunt poważniejszy. Rozważając najwcześniejsze wspomnienia, doszłam do wniosku, że Bóg stworzył mnie jakąś wybrakowaną. Że miałam już od samego zarania intencję do czynienia zła, która się później rozwijała i przekształcała. To po prostu coś, co po raz pierwszy popchnęło mnie do dokonania niewłaściwego wyboru. Bo skąd niby mi się to wzięło? To na pewno jakiś błąd w sztuce. Widać Bóg wcale nie jest taki nieomylny, jakby się wydawało. A może nawet ja jestem mądrzejsza od Niego, skoro to dostrzegłam? Dalej idąc - skoro ja jestem mądrzejsza, to co to za Bóg? Żaden.

Ostatnia resztką zdrowego rozsądku kazała mi odrzucić teorię o tym, że Boga nie ma. Z resztą czuję Jego istnienie. To coś, czego nie da się udowodnić, ani opisać. On po prostu jest. Jest, Który Jest. Od kiedy moja świadomość zaczęła się rozszerzać, zaczęła również powracać zdolność postrzegania niematerialnego. Zaczęłam widzieć aurę innych ludzi i przedmiotów, odczuwam energie wokół mnie. Musiałam nauczyć się to kontrolować, by nie popaść w paranoję. Nie wszystko muszę i powinnam postrzegać. Nie wszystko jest mi potrzebne i dla mnie ważne. Powinnam nad tym panować, żeby nie poczuć się znowu jak zaraz po przejściu na ziemię, kiedy byłam przytłoczona chaosem wokół mnie. Najważniejsze, by czuć Boga. Tylko niestety ciągle czułam, że On jest gdzieś tam, daleko, dokąd ja nie mogę sięgnąć. Ciągle czułam mur między nami i tęsknotę za utraconym rajem.

Moja teoria o tym, że Bóg stwarza wybrakowane istoty nie dawała mi spokoju. Zaczęłam wypytywać znajomych, co myślą na ten temat, ale albo nie rozumieli w ogóle, o co mi chodzi, że „niby jaka pierwotna intencja?“, albo rozkładali ręce i mówili, że nie potrafią mi pomóc. Nikt nie dotarł w swoich rozważaniach jeszcze tak daleko, a może nie miał takiej potrzeby. Z czasem mój bunt narastał, a ja zarazem popadałam w obsesję.

Przypominałam sobie teorię o grzechu pierworodnym. Pasowałyby, że rodzimy się ze skazą, ale reszta się nie zgadzała, chociażby moje przeświadczenie o nieskończonej miłości Boga. Według mojej teorii Bóg nie ukarałby

wszystkich ludzi za winę Adama i Ewy. To byłoby niesprawiedliwe. Nie znam tych państwa i nie zgadzam się na ponoszenie konsekwencji ich czynów. Ale jeżeli na prawdę Najwyższy jest Miłością Idealną i Sprawiedliwością, ponad wszystkie inne, to skąd mi się wzięła ta cholerna pierwotna intencja!

Zaczęłam obserwować narastające poirytowanie. Wkurzałam się na Boga, że nie udziela mi odpowiedzi na tak ważne nurtujące mnie pytanie. Co popchnęło mnie do tego, aby po raz pierwszy źle wybrać? Boże dałeś mi wolną wolę, stworzyłeś na swoje podobieństwo, ale co to znaczy?

Któregoś dnia, zmęczona gonitwą myśli, pogrążona w czynności, którą nazwałabym usiłowaniem modlitwy lub jak kto woli - medytacji, przysnęłam. Był to dziwny stan jakby pomiędzy jawą a snem. Nie żadne objawienie, czy oświecenie, po prostu wspomnienie, a może jednak tylko sen.

Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga i Bogiem było Słowo. Zobaczyłam Boskie Istnienie, którego poczułam się częścią. Był to stan absolutnej szczęśliwości i miłości. Zupełnie zjednoczona z Bogiem. Tu wszystko było dobre. Byliśmy jakby jedną istotą. Czułam Jego entuzjizm stwarzania. Byłam Jego Miłością. Stworzył mnie z czystej Miłości i Radości, a gdy mnie stwarzał miłość ta narastała i pęczniała. Wszystko to było doskonałe. Stwarzanie było doskonałe. Zaczęłam odczuwać, że Bóg daje mi coraz więcej mnie. Coraz bardziej stawałam się sobą. Zauważyłam, że wokół mnie jest więcej takich istot, jak ja.

Wszystkie istoty wzrastały coraz bardziej z Boskiej miłości, przenikały się nawzajem, współlistniały w jedności. Każda istota dostawała tyle miłości ile chciała i dawała ją innym. W miarę, jak wszyscy wzrastaliśmy, coraz bardziej zaczęliśmy się stawać odrębni. Z miłości Bóg pozwalał nam stwarzać dalej siebie. Im bardziej stawaliśmy się odrębni i samodzielni, tym bardziej zaczęliśmy się różnić od siebie. Zauważyliśmy, że nie mogliśmy już tak swobodnie przenikać się nawzajem. I wtedy doświadczyliśmy różnorodności. Na początku była czysta i niewinna. Mieliśmy ogromną ochotę przenikać się nawzajem, ale nie mogliśmy tego robić z powodu właśnie odmienności i samodzielności. I wtedy zrodziła się pierwsza intencja: ciekawość. Ciekawość, co też jest tam, gdzie nie mogę przeniknąć? Następna pojawiła się zazdrość, bo może tam jest więcej miłości, niż u mnie? Te pierwsze intencje zrodziły kolejne i tak dalej. Wszystko zaczęło się napędzać i rozkręcać. A swoją drogą, czy to nie zabawne, że istnieje przysłowie „ciekawość to pierwszy stopień do piekła”?

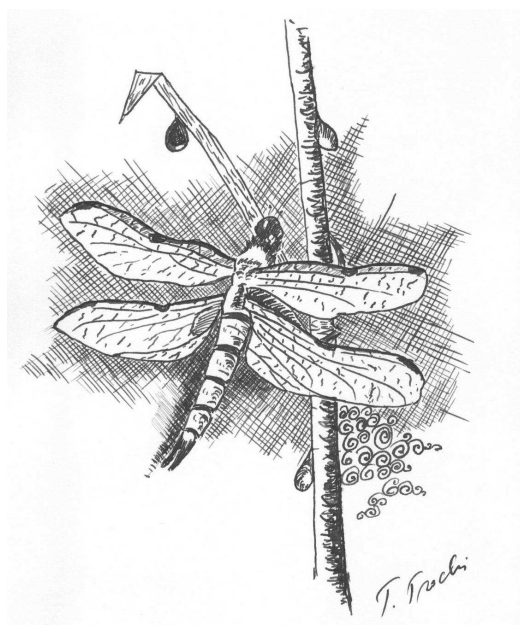
Tak więc pewnego dnia doczekałam się odpowiedzi od Boga. Przyjęłam ją z ogromną ulgą i wdzięcznością. Już nie musiałam oskarżać Boga o błąd w sztuce, bo go nie było. Wszystko wynikało z chęci pomnażania miłości i różnorodności stworzenia.

Od tego czasu moje „anielskie” życie zaczęło się powoli zmieniać w medytację. I bynajmniej nie chodzi o to, że cały dzień przesiaduję w pozycji

lotosu. Sens w tym, żeby traktować wszystko, co mi się przydarza z uwagą. Każdy moment życia jest ważny i istotny. Każda wykonywana przeze mnie czynność ma znaczenie. Znalazłam się tu na ziemi z własnego wyboru, a nie za karę. Podjęłam złe decyzje i dostałam szansę, żeby to zrozumieć i uwolnić się od wszystkich wynikających z tego obciążeń. Będę rodzić się i umierać, dopóki nie zrozumie całej mojej lekcji. Dopóki nie uwolnię się od wszystkich intencji do nieodpowiednich wyborów. A wtedy, cóż, myślę że życie stanie się dla mnie tak piękne, że nie będę już tęsknić za utraconym rajem, bo będę miała go tu na ziemi.

Powoli już uwalniam się od intencji do przeżywania smutku i odkrywam, jakie życie jest piękne. Jestem przecież aniołem. Ale to nic wyjątkowego. To tylko pewna cecha, która pozwala mi widzieć i czuć trochę więcej, niż inni. Poznałam wiele innych aniołów, bardziej lub mniej upadłych i odkryłam, że wielu z nich przyznaje się do tego, kim są, inni udają, że o niczym nie wiedzą. Mam u boku mojego kochanego anioła, który mnie rozumie i wspiera. Akceptuję jego odrębność i wolność, którą dał nam sam Bóg. Dał nam to z miłości. A im bardziej kocham innych, tym bardziej przekonuje się, że może Bóg nie jest tam gdzieś daleko, tylko właśnie tu, w nas. Tak samo jak na początku, kiedy wszyscy byliśmy jedną wielką Bożą Miłością. Może tylko powinnam pozwolić mu się po prostu kochać...

Hanna Bemke



Znak pokoju

Greifswald. Urokliwe hanzeatyckie miasto z gotycko-barokową iglicą ratusza, celującą w czarne kumulusy ciągnące tu zazwyczaj od Ostsee, czyli od Bałtyku. Wystarczy intensywnie kilka chwil wpatrzeć się w tę strzelistą wieżę, by przenieść się kilkaset kilometrów stąd, na Długi Targ do Gdańska. Podobieństwo jest uderzające. I tu i tam takie same gołębie, żerujące w symbiozie z równie licznymi mewami. Stamtąd przyjechałem, by tu wznosić Kernkraftwerke Nord - wschodniemiecką elektrownię jądrową. Tu, ponad sześć tysięcy rąk z Polski, codziennie materializowało wyjątkowo znaną niemiecką kategorię - *arbeit*. Pracowali specjaliści i robotnicy, ze Śląska i Warszawy. Z całej Polski. Był rok 1984. Orwell czułby się cokolwiek usatysfakcjonowany. W każdym miasteczku DDR, stymulujący czujnie dookolność garnizon sowiecki. Połowa narodu w służbie bezpieczeństwa STASI - popatrująca skrupulatnie drugiej połowie na ręce. Zagląjąca do łóżka i do płatów czołowych mózgu. Ja w wolnych chwilach oglądałem z siodełka roweru piękne tereny nad zatoką Greifswalder Boden. Kurort Lubmin, dach prominentów SED za drutami i za niskimi drewnianymi płotkami obozy. FDJ - Freie Deutsche Jugend - młodzież z germańską pedanterią ćwiczyła gimnastykę i pełne oddanie socjalistycznej idei. Cały szereg precyzyjnym, pionierskim skośnym ruchem prawicy w lewo do ramienia, pozdrawiał umundurowanego fuhrera. Kiedy się zmruży oczy, to popłynie cała sekwencja filmu Leni Riefenstahl o ich dziadkach, w nieco brunatniejszych koszulach, dynamicznie wyrzucających w górę młode prawice. Hitlerjugend. Nad obozem, z propagandowej tektury patrzył nań *der Genosse** Honecker, a w plakacie - monstrualna dłoń dzierżyła drzewce sztandaru z młotem i cyrklem, opisanymi wieńcem kłosów. To wszechwładna, wszechobecna i wszechmocna dłoń „klasy robotniczej”, podtrzymywana stalową ręką Wielkiego Brata. Gwarant wszechszczęścia w tej (podówczas jakby zapomnianej przez Boga) części planety.

W sąsiednim - *priwislinskom kraju*, robotnicy chcieli wziąć władzę w swoje ręce. *Wielikij* Brat pogroził palcem, a generał w ciemnych okularach wetknął w ręce żołnierzy karabiny AK 47. I dał doń ostre naboje. Mimo, iż stan wojenny został odwołany, w kraju oprócz octu, chleba i musztardy - wszystko było jak na Kubie - na kartki. Stąd praca na atomówce była dla ponad trzech

tysięcy dawców ergów - błogosławieństwem. Stąd zapobiegliwie ręce wносиły tonami „akcysie” (czekoladki za 80 *achtzich fenig*), *fruchendsaftery* (*sokowniki*) i wszystko, co za marki można było tu kupić. Jednym słowem - łupiliśmy ich jak onegdaj Wikingowie *fischkopfów* (*rybia głowa - inaczej tamtejszy Kaszub czyli Meklemburczyk*), ale dawaliśmy im w zamian coś bardziej cennego. O wiele, wiele cenniejszego. Ba! Bezcennego!!!

Niedaleko uniwersytetu, na greifswaldzkiej starówce stał, otwarty w zasadzie dla turystów, kościółek św. Józefa. Wiadomo *arbeit muss sein***, ale po pracy Polak nie zawsze pije. I w okolicach Bożego Narodzenia, w kościółku był taki tłok, że szpilki nie dało się wcisnąć. Do dzisiaj mi ciarki chodzą po twarzy, kiedy wspomnę jak kilkaset polskich, męskich gardeł, huknęło z robotniczych płuc naszą kolędą *Bóg się rodzi*. Rezonowały gromowym echem gotyckie sklepienia. Kilkaset mocarnych robotniczych dłoni ścisnęło sobie wzajemnie katolickie dłonie na niemieckiej ziemi. I zapamiętałem, że przekazując znak pokoju, ścisnąłem dłoń jakiegoś wysokiego montera czy spawacza, stojącego obok mnie. Sumiaste wąsy i coś ciemnego mignęło mi przez chwilę. Coś na dłoni, jakiś nieokreślony, acz intrygujący tatuaż... Mignął i wszystko...

Fama o „*polskich mszach u Józefa*” obiegła miasto i niebawem zaczęły pojawiać się, co odważniejsi Niemcy, by dać się ponieść ewangelizującej euforii wspólnego śpiewu. W końcu z tych stron wyszła w świat kolęda „*Stille nacht*” (Cicha noc). Ażeby te polskie msze odprawiać, zaczął przyjeżdżać sam biskup Meissner z Berlina (naturalnie wschodniego).

„*Nawracania tubylców*” na wiarę katolicką szło jak radosna bryza od Bałtyku. Nad „*misjonarzami*” z atomowej budowy unosiły się już mocne, spracowane w Hucie Solway, dłonie proboszcza tego świata - Jana Pawła II. I oni już tak jak onegdaj, nie lękali się... I tego lęku pozbawiali skutecznie, co odważniej szych Niemców z Greifswaldu. Wystarczy ruszyć jeden kamyk. On tocząc się poruszy następny...

Spałem po pracy, po nocnej dwunastogodzinnej zmianie, snem zasłużenie kamiennym w hotelu robotniczym na *Spiegeldorfer-strasse*. Jako *objektleiter**** miałem prawo do jednoosobowego pokoju. Obudziło mnie wyraźne, głośne chrobotanie w zamku w drzwiach. Pomyślałem, że pewnie sprzątaczką, nie zorientowaną się w naszych roboczych szychtach, pomyliła któryś w pęku kluczy z całego hotelowego piętra. Zgrzytanie w zamku jednak nasilało się, a moje mózgowo-włókna asocjacyjne, budząc się, zaczynały logicznie kojarzyć. Za długo to trwało, a poza tym, moje klucze w tymże zamku tkwiły od wewnątrz. Kiedy to sobie uświadomiłem klucze te nagle, z brzękiem spadły na podłogę. To już była wyższa szkoła jazdy jakiegoś „robotniczego szpicbródki”. Jednym susem dopadłem drzwi i nacisnąłem klamkę. I to był mój błąd. Drzwi były nadal zamknięte, więc rzuciłem się do wizjera. Czarno, nic. I nic z tego nie rozumiałem. Wtedy jeszcze... Potem w okamgnieniu obraz w szkiełku

wizjera pojawił się. Była to jak ujęta w zoomie dłoń, jakby świadomie zasłaniająca pole widzenia, a zza niej wyłaniające się szerokie plecy faceta, który pospiesznie kierował się na schody. I na tej, przez chwilę widzianej dłoni, zobaczyłem bardzo wyraźnie tatuaż. Ptak, i to z tych ornitologicznie socjalistycznych. Walka o pokój była ideą całego naszego obozu, a jej symbolem niewinny gołąbek, skrybnięty onegdaj ręką komunizującego artysty światowego - Pabla Picassa, zwabionego po wojnie do Wrocławia na Światowy Festiwal Pokoju. No, głowę dałbym, że ten tatuaż był taki gołębiowaty. A może to złodziejom tatuują w więzieniu takie obrazki git ludzie. Ja w każdym bądź razie miałem pewność, że udaremniłem włamanie. Widok zamka z zewnątrz świadczył, że włamywacz-partacz nie miał ręki i czucia niejakiego Kwinty z gangsterskiego hitu *Vabank*. Całe szczęście. Ale wielka szkoda, że go nie złapałem. Takich „rękodzielników” trzeba bezwzględnie tępić. Głupio się czułem jako Polak, kiedy DDR-owskie *kripo* (*kriminalpolizei*) przyprowadziła mi montera z mojego odcinka, który wyciągnął rękę w *kaufhali* - po wino turyńskie i konserwę mięsną - „*zussamen - sieben mark*” (razem - siedem marek) - jak mi triumfalnie obwieścił policjant. A wstydu najadłem się za tysiąc marek z wizerunkiem Karla Marksa, jeżeli da się to zmiarkować czy zmarkować. A tu złodziej uciekł i szlus. Złodziej, któremu ten numer nie wyszedł. W pamięci pozostał „pokojowy” tatuaż ptasi i wysoka sylwetka widziana od strony pleców.

Kilka lat później zamieszkałem w Redzie, by budować polską elektrownię jądrową. Żarnowiec. Dwa miliardy dolarów wpompowanych w kaszubskie błoto. Pamiętam, jak po triumfalnym oświadczeniu aktorki Szczepkowskiej, uśmiercającej komunizm w niedorzeczcu Wisły 5-tego czerwca 89, na budowę EJŻ nad jeziorem Żarnowieckim przyjechał ten, co własnoręcznie „obalyl” komunę. I na stołwce (nie na sali BHP) - ręczył, że „*budować trzeba, bo kraj potrzebuje energii*”. A że startował w wyborach na prezydencki stolec, następnego dnia ogłosił publicznie, że budowę trzeba zamknąć. Wiedział, że tak będzie większość rąk głosować po blamażu Czarnobyła. A poza tym postępował zgodnie ze swoją dewizą - „*był za, a nawet przeciw*”. Po wyłączeniu pomp odwadniających „trup atomowego Żarnowca” pograżył się w bagnach na obrzeżu eutroficznego pięknego, rynnowego jeziora. Wysilek pięciu tysięcy polskich par rąk poszedł na marne. No cóż?!.. W typowo polskim stylu. Nie powiem, abym do redzkiej fary chodził wymodlić, by budowę wznowiono. Tu odprawiał przed pół-wiekami pierwsze msze wikariusz Janusz Pasterb największy poeta wśród księży. Tu jako poeta, w poczuciu grzeszności żywota, obmyśliłem wiersz-epitafium po śmierci Papieża, publikowany w wielu znakomitych wydawnictwach. Tutaj... była w końcu moja parafia. Tu na Pasterkę trzeba przychodzić, co najmniej godzinę wcześniej. Ścisk, tłok i kompensująca wszystkie uciążliwości radość ze świąt Bożego Narodzenia. Wzorcowe probostwo infulata podówczas Potrackiego. Tu często ręka arcybiskupa Goćłowskiego błogosławi bogobojnych Kaszubów. Oni nawet w swoim hym-

nie śpiewają, że „trzymają z Bogiem”. I na mszy znak pokoju tutaj przekazuje się z ukłonem, spoglądając bliźniemu w oczy. Ministranci z kon-celebransami ważnych mszy czynią to bardziej uroczyście - jak onegdaj w Krzyżowej premier Mazowiecki z kanclerzem Kohlem. Ale na pasterce czy roratach wielkanocnych, pomiędzy parafianami z „jednej owczarni”, tenże znak pokoju - to tradycyjnie przyjazny ukłon, wzmocniony koniecznie uściskiem ręki sąsiada. I nagle co?..

Moja szczupła, inteligencka prawica, znika w potężnej jak z reklamy bokserskich rękawic, prawicy bliźniego mojego z lewej strony. Kiedy imadłowy uścisk puszcza, chwytaki palców rozwierają się - zdumiony widzę go... Paluchy imitują znane mi skądś pióra, kciuk - kształtną głowę, a wewnątrz dłoni, kilkoma misternymi kreskami tworzy z tych wielości, jedność pięknego rasowego rojstwanca. Krew uderza mi do głowy. To ten gołąb złodzieja z DDR-u. Facet też mierzy prawie dwa metry. I ma też lekko siwiejące sumiaste wąsy.. I jak kiedyś w Greifswaldzie śpiewamy „*Bóg się rodzi, moc truchleje...*” Razem śpiewamy.

Po skończonej mszy depcę mu po piętach. Za progiem kościoła niecierpliwie trącam w ramię i bezceremonialnie indaguję:

- *Pamiętam pana z kościoła św. Józefa z Greifswaldu.*
- *Możliwe* - odpowiada nie speszony - *robiłem tam na eneradowskiej atomówce w osiemdziesiątym którymś...*
- *Osiemdziesiątym czwartym* - dopowiadam automatycznie doprecyzowując.
- *Możliwe* - potwierdza mój bliźni i zarazem parafianin. I... *Życzy mi - Wesolych Świąt - frohliche Weihnachten* - z uśmiechem dodając po niemiecku.
- *Wesolych Świąt* - odpowiadam lekko. Bo nie mam już żadnych wątpliwości. Niebo jest tu też ciemne jak na Greifswaldem. Kobaltowo - ołowiane chmury ciągną znad Zatoki Puckiej. Wystarczy wyciągnąć dłoń, by poczuć opadające nań delikatne, gwiazdziste kryształy, które znikają, znikają... Śnieg zasypuje wszystko, zupełnie wszystko - wielkimi płatami, a my spod kościoła, jakoś lekko i radośnie, odlatujemy z tą zamiecią do rozjarzonych choinkami domów.

Tadeusz Buraczewski

- * - towarzysz
- ** - praca musi być
- *** - kierownik obiektu

Misja pokojowa

Miarowy szum silników pozwalał zapomnieć o celu podróży i odpocząć choć moment w objęciach Morfeusza. Lot trwał dopiero pół godziny. Na pokładzie tego samolotu transportowego nie miałem zbyt wielu znajomych. Ze względów psychologicznych w jedno miejsce trafiali żołnierze z różnych brygad. W razie ostrzału, czy innego „nieszczęśliwego wypadku”, szeregowym łatwiej było pogodzić się ze śmiercią nowo poznanego towarzysza broni. Nigdy nie myślałem na poważnie o tym, że służba wojskowa rzeczywiście postawi mnie w sytuacji zagrożenia życia. Nie wyobrażałem sobie, że Europa w XXI wieku mogła jeszcze widzieć zbrojne powstanie, a co dopiero konflikt na skalę całej wschodniej części starego kontynentu. Nie po takich okrucieństwach, jakich świat był świadkiem w minionym stuleciu. Nie po pokojowych traktatach o umacnianiu współpracy międzynarodowej. Nie po powstaniu ONZ, NATO, UE ...

Zaraz po maturze wstąpiłem do wojska, potem do Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu. Kierowała mną głównie myśl o wysokim stanowisku społecznym, o szybkim przejściu na wysoką emeryturę. Po 9 latach od czasu, kiedy pierwszy raz ubrałem mundur, zdecydowałem się na udział w misji pokojowej w Gruzji. Sytuacja tego kraju była, oględnie mówiąc, niegodna pozazdroszczenia. Pomimo apeli europejskiej i amerykańskiej dyplomacji, nadal nic nie można było wskórać wobec reżimu, który został tam zaprowadzony, odkąd napadnięto wschodnią część Gruzji, pod pretekstem powstrzymania band ludobójców. Razem z siłami NATO lecieliśmy zrobić coś dla ludzi ogarniętych jedną z najgorszych klęsk, jaką niewątpliwie jest, nawet ta „nieoficjalna” wojna.

Matka błagała mnie, żebym nie wstępował do wojska.

- Nie rób tego, synu. Uszanuj pamięć ojca. Będziesz zniewolony. Będziesz widział rzeczy, o jakich nie śniło ci się w najgorszych koszmarach. Będziesz musiał wykonywać rozkazy niezgodne z twoją wiarą, charakterem i ideami, których uczyłeś się od urodzenia - zaklinała mnie na wszystkie sposoby.

Jednak nie mogłem postąpić inaczej. Wiedziałem, że tylko w ten sposób uwolnię się od koszmarów dzieciństwa. W tym momencie nie wyobrażałem sobie siebie, wykonującego codziennie te same czynności w jakiejś przeciętnej pracy. Nie po tym wydarzeniu już nie słyszałem. Jej łzy spływały mi po twarzy i mieszając się z moimi, prawie moczyły nam kolana. Tej nocy nachodziły

mnie tak dziwne myśli, że bliski byłem szaleństwa. Każda chwila, każdy moment spędzony z ojcem przewijał mi się przed oczami. Bałem się, bardzo bałem się o matkę. Po tym niezwykłym wybuchu cierpienia, znów wpadła w stan pomiędzy życiem a ośpieniem. Po kilku godzinach zaprowadziłem ją do pokoju i ułożyłem na tapczanie. Nie wprowadziłem jej do sypialni rodziców, żeby nie musiała spędzić w niej kolejnej samotnej nocy. Rano leżała półprzytomna, z otwartymi oczami. Nawał myśli męczył ją tak bardzo, że niewzruszenie trwała w tej pozycji do południa. Długo nie mogłem zdobyć się na to, żeby zmienić ubranie i pójść po babcię. Wiedziałem jednak, że tylko ona może w tym momencie pocieszyć matkę. Babcia została z nami kilka dni, aż sytuacja pomału zaczęła się poprawiać. Matka miała wyrzuty sumienia, że za dużo myśli o sobie, że się mną nie opiekuje. Całkowicie ją absorbowiałem i chyba dzięki temu szybko wróciła do normalnych czynności, starała się znowu ukrywać swój smutek, zajmowała mnie różnymi zajęciami, opowieściami. Z dnia pogrzebu, pamiętam tyle, że matka była wściekła. Miała dużo trudności ze ściąganiem na pogrzeb księdza. MO najlepiej, wrzuciłoby ciało mojego biednego ojca do jakiegoś dołu, daleko stąd i zapomniało o istnieniu, tak ważnego dla mnie człowieka. Najgorszą zbrodnią komendanta „Czarnego” było chyba to, że pojawił się na cmentarzu. Nie poczuwał się chyba do winy. Starał się nawet udawać dobrego przyjaciela rodziny. Podszedł do mamy i zaczął jej coś tłumaczyć, składać kondolencje, ta jednak stanowczo go odrzuciła i tylko przez wzgląd na święte miejsce nie rzuciła się na niego z pięściami i obelgami. Pamiętam, że kazała mi dobrze zapamiętać jego twarz. Twarz mordercy mojego ojca.

Nigdy nie zapomnę nazwiska zabójcy mojego ojca. Znam jego pseudonim, stopień. Wiesław Chernichowski, komendant MO, pseudonim „Czarny”. Nie chcę zapomnieć twarzy człowieka, który widział ostatni mojego najdroższego tatę, który słyszał jego ostatnie słowa.

Oficjalnie nie było ofiar, strajki stoczniovców w sierpniu 1988 roku by-ły pokojowe... Cóż z tego, skoro za każdym razem, kiedy ludzie szli do kościoła, ulice roiły się od służbistów w niebieskich mundurach? Mojego wuja, za napis na murze „Nie ma wolności bez Solidarności” SB skatowało tak, że do dziś jest kaleką. Nie chodzi, nie rusza prawą ręką. A ojciec... „Czarny” wziął go z młodymi strajkującymi do więzienia. Oficjalnie komendant Chernichowski uznał, że ojciec stoi wysoko w Solidarności, że spiskuje przeciw SB. Robi jakieś plany ataku na jednostki i coś tam jeszcze... Tak naprawdę ojciec znał „Czarnego” z podwórka. Razem biegali dawniej po wejherowskich pagórkach Kalwarii. Bawili się w policjantów i złodziei. W Indian i kowbojów. Ta gra w dobrych i złych, wkrótce zamieniła się w rzeczywistość. W prawdziwym życiu, nadal ze sobą rywalizowali. Z tą różnicą że tym razem sprawa szła o wolność Polski i wszystkich nas. Ojciec nie mógł wybaczyć

„Czarnemu”, że za mamy grosz, emeryturę, czy coś tam jeszcze, sprzedał się komunistom. Mało tego, ludzi którzy nigdy nie życzyli mu źle, z którymi siedział przy jednym stole w dzieciństwie, teraz katował gumową pałką. Mówią że Czernichowski miał z ojcem swoje porachunki. Kiedyś to zawsze ojciec wygrywał. Szybko biegał, nie najgorzej się uczył. Kiedy dorośli ich wspólna koleżanka z osiedla - moją matką Marysia - nawet nie chciała rozmawiać z Wiesławem. Tego „Czarny” nigdy mu nie zapomniał.

Teraz to on był górą. Mógł odegrać się na Janku za całe życie. Za wszystkie swoje niepowodzenia. Przesłuchiwał ojca około 4 godzin. Nie wątpię, że dla ojca były to najgorsze i najdłuższe 4 godziny w życiu.

Po tej nocy w areszcie ojciec już nie wrócił do domu. Pamiętam, że matka chodziła do więziennego szpitala. Mówiła mi, że z ojcem wszystko w porządku, że niedługo wróci, że nie mogę go odwiedzić, bo takie jest prawo. Pomimo tych zapewnień, słyszałem jak całe noce łkała cicho w poduszkę, jak powtarzała jego imię. Byłem dzieckiem, ale nie uszło mojej uwagi to, że moja rodzina przechodzi ciężki okres, który na zawsze zmieni nasze życie. Matka, do ledwie przytomnego ojca chodziła cztery dni. Niedawno, opowiedziała mi szczegóły jej wizyt. Wiem, że ojciec nie był w stanie mówić. Czasami tylko, wzbudzony ze śpiączki, patrzył na matkę błyszczącymi w gorączce oczami. Matka jest pewna, że mimo wszystkich obrażeń głowy, mimo bólu i cierpienia ojciec poznawał ją i zwolnionym biciem serca wysyłał jej wiadomość, żeby była dobrych myśli i nie upadała na duchu.

Kiedy więc tego pamiętnego wieczoru, siedzieliśmy z matką w głębokiej ciszy, nad talerzem zimnej zupy mlecznej. Kiedy usłyszeliśmy stanowcze pukanie do drzwi naszego trzypokojowego mieszkanka, rytmy naszych serc uległy przyspieszeniu. Już wiedzieliśmy oboje, że wieści, które za chwilę usłyszymy, nie pozwolą nam na spokojny sen przez najbliższe tygodnie.

Pismo, które wystosowała Milicja stwierdzało, mniej więcej że: „Jan Placyk, lat 31, zameldowany w Wejherowie przy ulicy Puckiej 26 uległ nieszczęśliwemu wypadkowi, uciekając z miejsca nielegalnej demonstracji przy Stoczni Gdańskiej, w wyniku czego zachorował i zmarł”.

Ten stek bzdur na zawsze zawiódł zaufanie mojej matki do wszelkich władz porządkowych, w tym także do wojska. Stąd jej reakcja.

Po przylocie do polskiego obozu, przez trzy dni pomagaliśmy miejscowym cywilom. Trzeba było zapewnić wszystkim wodę, pomoc medyczną, tymczasowe schronienie.

Po trzech dniach zostałem wezwany na konsultację z majorem Jerzym Makowskim. Nie wiedziałem w jakim celu. Byłem marnym porucznikiem z Brygady Obrony Wybrzeża. Nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z majorem, który by się mnie radził. Zapytany przeze mnie podporucznik stwier-

dził tylko, że majora zainteresowało moje nazwisko i fakt, że tak jak on służyłem kilka lat w brygadzie OT, stacjonującej w Lęborku. Wszedłem do namiotu majora.

- Panie majorze melduje się porucznik Brygady Obrony Wybrzeża Damian Placyk.

Major uważnie mi się przyjrzał, po czy, przysunął swoje krzesło naprzeciw tego wskazanego mnie. Długo wpatrywał mi się w twarz. Nie za bardzo wiedziałem, co powinienem zrobić. W tym momencie poprosił, abym opowiedział mu coś o moim ojcu.

- Jesteś z Wejherowa?

- Tak jest panie majorze - odpowiedziałem troszeczkę zdziwiony.

- Od razu cię poznałem. Niesamowicie przypominasz mi Janka z czasów, kiedy był w twoim wieku.

- Pan znał mojego ojca?

- Bardzo dobrze. Byliśmy razem w wojsku.

- W wojsku? Naprawdę? Zatem, to pan mógłby opowiedzieć mi coś więcej o moim ojcu.

- Powiedz mi, czy wiesz jak zginął Janek?

- Oczywiście - nic z tego nie rozumiałem. Dawny przyjaciel taty z wojska nagle pyta mnie o jego śmierć, dwa dni przed rocznicą... Major prosił mnie jednak, żebym opowiedział mu dokładnie, co pamiętam. Zrobiłem to. Kiedy skończyłem, major jeszcze raz spojrzął mi w oczy. Potem ukląkł przede mną. Zaszokowany widziałem jak ściąga czapkę i okulary. Łzy napłynęły mu do oczu.

- Spójrz na mnie, czy przypominasz sobie, kim jestem - powiedział płacząc jak dziecko.

Teraz zrozumiałem. Jak przez mgłę prześwitywał mi pewien obraz z zakamarków pamięci. Obraz, który matka kazała mi dawniej sobie dokładnie zapamiętać. Znowu setki myśli zaczęły kołatać się w mojej głowie. Oto stałem przed klęczącym, płaczącym starym człowiekiem - mordercą mojego ojca.

- Wybacz mi, wybacz mi. Tak jak on wybaczył mi na łożu śmierci - powtarzał szeptem.

Te słowa mną wstrząsnęły. Mój ojciec wybaczył człowiekowi, który zrujnował życie jego rodziny, teraz ten człowiek, teraz na kolanach błagał o wybaczenie mnie.

- Nigdy nie spodziewałem się, że do tego dojdzie. Wybacz mi lub zabij mnie, tu i teraz. - ciągle powtarzał szlochając, po czym niespodziewanie wyjął zza pasa pistolet. Celując w swój brzuch, krzyczał przez łzy:

- Janku, nie chciałem, nie chciałem, nie chciałem...

Widziałem człowieka, do którego całe życie czułem nienawiść. Wiele

razy marzyłem o takiej sposobności. Przez tyle lat chciałem, żeby ten morderca cierpiał bardziej niż mój ojciec, bardziej niż moja matka i ja. Ale teraz, teraz moim obowiązkiem był nie dopuścić do samobójstwa tego człowieka.

Ja, wojskowy, syn zamordowanego stoczniońca. Kim bym był, gdybym w tym momencie nie zareagował i z zimną krwią pozwolił na zabicie się człowieka, który nigdy nie powinien się narodzić.

Po tylu latach wiedziałem, że ten zbrodniarz musiał pokutować za swoje winy całe życie i nadal miał żyć z ciężkim brzemieniem na sumieniu. Nie mogłem postąpić tak, jak on kiedyś. Nie mogłem zejść do poziomu tych ludzi, którzy katowali swoich własnych rodaków, a potem pod zmienionym nazwiskiem pieli się na szczyty kariery jako wielcy bohaterowie.

Wierzę, że to dusza mojego ojca - rzeczywistego dla mnie narodowego bohatera, całe życie uczyła mnie trudnej sztuki przebaczenia i wierności ideałom, które cytowałem w przysiędze, kiedy wstępowałem do służby ojczyźnie i wszystkim jej mieszkańcom, ideałom za które zginął mój ojciec. Te ideały znów pozwoliły mi odzyskać spokój sumienia. Każdy ma swoją misję...

Lidia Zdzitowiecka



Pamiętam

Pamiętam, że było gorące lato. Nie wiedzieliśmy, co ze sobą robić, więc jeździliśmy nad jezioro i spędzaliśmy tam czas. Decyzje, do której szkoły pójdziemy, podjęliśmy dawno. Nikt z nas nie pracował, a wyjeżdżaliśmy dopiero w drugiej połowie wakacji. Nie mieliśmy jasno sprecyzowanych celów, do których moglibyśmy dążyć. Wszystko w nas dopiero się kształtowało. Często rozmawialiśmy przy ogniskach. Rozmowy były różne. Te błahe i te poważne. O życiu, miłości, filozofii, o akcjach, które robiliśmy w szkole, o koncertach, ludziach i o muzyce. Mogłabym wymieniać dalej, ale tematów było tyle, że nie sposób ich opisać. W tych rozmowach kryły się nasze lęki, marzenia i uczucia. Była z nas zgrana grupa. Mateusz, Amanda, Grażka, Tomek, Karol i ja - Matylda. Często tak mnie nazywali, choć naprawdę mam na imię Kamila. Mówili, że jestem jak ta niania Matylda. Im bardziej się mnie poznaje, tym robię się ładniejsza. Mieli na myśli moją osobowość. Jestem z natury skryta i muszę kogoś dobrze poznać zanim pokażę, na co mnie naprawdę stać. Niektórzy uważają mnie za wyniosłą. Szczególnie nowi ludzie, ale po prostu taka jestem. W grupie byłam inteligentką. Zawsze wszystko wiedziałam, czytałam najwięcej książek, na każde pytanie miałam gotową odpowiedź. Jeżeli czegoś nie wiedziałam szukałam tak długo, aż znalazłam wszystko na ten temat. Lipiec był dla nas miesiącem przełomu. Później nasze drogi miały się rozejść. Nie wiedzieliśmy o życiu nic. Byliśmy normalnymi nastolatkami i nie wiedzieliśmy, że to, co się niedługo miało zdarzyć wyciśnie na nas piętno, które pozostanie nam na całe życie. Ja i Amanda poszłyśmy w kierunku hotelarstwa i turystyki. Mateusz i Grażyna do liceum na kierunek matematyczno-fizyczny, Karol na humanistyczny, a Tomek do technikum informatycznego.

Był kolejny gorący dzień. Jak zwykle pojechaliśmy na jezioro skuterami. Tylko ja nie miałam swojego i musiałam się z kimś zabierać. Przeważnie jeździłam z Grażką. Karol pędził i popisywał się. Zawsze taki był. Musiał się popisywać zawsze, wszędzie i wszystkim. To on najbardziej z naszej paczki cieszył się życiem. Umiał je umiejętnie wykorzystywać. Nigdy, żadne z nas nie umiało mu dorównać. Wiecznie szczęśliwy, wesoły. Tak można go było scharakteryzować. Wyjechał za zakręt i usłyszeliśmy tylko pisk hamulców. Przyspieszyliśmy. Naszego kolegę odrzuciło na 10 m. Z auta wychodził zdenerwowany kierowca. Pobiegliśmy w stronę Karola. Mimo kasku miał rozciętą głowę

i dziwnie wykręconą nogę. Szybko zadzwoniłam po karetkę. Nie musieliśmy na szczęście na nią długo czekać. Pojechałam z nim do szpitala i już z karetki zadzwoniłam do jego rodziców. To było straszne. Karol stracił przytomność. W szpitalu nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Nie chcieli mi nic powiedzieć. Po pół godzinie przyjechała mama chłopca. To od niej dowiedziałam się, że Karol ma silny wstrząs mózgu i nogę złamaną w trzech miejscach. Nie można było do niego wchodzić. Zrezygnowana poszłam do domu. Nawet nie chciało mi się czekać na autobus. W połowie drogi znalazła mnie Grażyna. Opowiedziałam jej wszystko i puściły mi nerwy. Rozpłakałam się. Siedziałyśmy chwilę, a ona mnie tuliła. Nadal spotykaliśmy się nad jeziorem. Niby było tak samo, nic się nie zmieniło, ale to nie było to samo! Nie było z nami największego pozera. Odwiedzaliśmy go w szpitalu, ale... sami wiecie jak to jest.

Pewnego dnia odwiedziłam go sama. Płakał i wcale się z tym nie krył.

- Nie mam już siły - powiedział.

- Co ty mówisz przecież niedługo będziesz w domu i jeszcze nie jedne wakacje spędzimy razem.

- Mylisz się Kamilo - pierwszy raz odezwał się do mnie po imieniu. - Nie będziemy już spędzać żadnych wakacji. Mam guza mózgu. Ja umieram.

Powiedział to tak spokojnie. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Po prostu mnie zatkało. Ten wiecznie wesoły chłopak nie może mieć guza mózgu. To było wprost nie możliwe.

- Co ty wygadujesz? Opanuj się człowieku. Przecież nic ci nie dolega. Powiedz, że to nie prawda!

Powiedz, że stroisz sobie ze mnie żarty!

- Kamila uspokój się! To prawda i nic na to nie poradzisz. Lekarze dają mi jeszcze góra dwa miesiące.

- Od kiedy wiesz?

- Od zeszłych wakacji.

- Nie mogę w to uwierzyć. I nic nam nie powiedziałeś?

- Nie chciałem żebyście traktowali mnie jak inwalidę. Nie mów innym. Proszę cię.

- Dobrze. To będzie trudne, ale nic nie powiem.

- Wiesz... Zawsze ceniłem cię najbardziej z całego towarzystwa. Nie jestem taki mądry jak ty. Zawsze stawiałem tylko na zabawę. Przechodziłem tylko z klasy do klasy. Podziwiałem cię, że umiesz tak konsekwentnie spełniać swoje marzenia, dążyć do wyznaczonego celu... Trudno mi to mówić, ale nie miałem odwagi żyć dla nauki. Dziękuję ci za wszystkie podpowiedzi i ściagi i... za wszystko.

Teraz to ja się rozpłakałam. Nie wiedziałam, co powiedzieć. W końcu odezwałam się.

- A ja zawsze podziwiałam cię za niezmaconą radość życia. Za to, że umiałeś się bawić i nie przejmować niczym innym. Za to, że umiałeś korzystać z życia i ze wszystkich jego aspektów, za to, że nie wyłamałeś się z naszej paczki i nie spróbowałeś żadnych używek.

Tego dnia wyjaśniliśmy sobie wszystko. Chyba oboje przeczuwaliśmy, że koniec jest już blisko. Wszystkie słowa, które padły między nami wpływały z głębi naszych dusz.

Niedługo potem wyszłam. Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam. Następnego dnia nie czułam się najlepiej i nie mogłam do niego wejść, a dwa dni potem nie było go już wśród nas. Nawet nie dane było mi się z nim pożegnać. Na pogrzeb przyszła cała szkoła. Niebo płakało razem z nami. Pierwszy raz tego lata. Pierwszy i ostatni raz. Jak na złość mi lato było piękne. Moja dusza płakała. Nie wiedziałam, co z sobą robić. Siedziałam zamknięta w domu i wpatrywałam się w sufit. Potem wyjechałam. Poznałam nowych ludzi, uczyłam się języka. Żyłam z dnia na dzień. Zwiedzaliśmy Londyn. Trzymałam się z Amandą. Jej i resztę naszej paczki nie ruszyła śmierć Karola tak jak mnie. Może, dlatego, że go kochałam? Nie wiem. Zawsze był dla mnie najważniejszą osobą w naszej grupie.

Cieszyliśmy się wolnością. Wieczorami chodziłyśmy na dyskoteki, ale bez niego to nie było to samo. Też miał jechać na tą wycieczkę. Wróciliśmy pełni wrażeń. Zaraz potem zaczęła się szkoła, obowiązki. Nie miałam na nic czasu. Nie chciałam go mieć. Nie chciałam myśleć i ciągle żyłam z dnia na dzień. Inaczej nie wyobrażałam sobie życia. Nie miałam żadnych planów. Nie widziałam przed sobą celu. Żeby zagłuszyć myśli - zaczęłam się modlić. Nigdy tego nie robiłam. Chodziłam do kościoła to fakt, ale żeby coś więcej? Wybaczcie, ale to nie było dla mnie. Znajomi mnie nie poznawali. Obcięłam włosy. Nikt się tego nie spodziewał. I żyłam. Musiałam żyć, chociaż Bóg jeden wie, jakie to było cholernie trudne. Musiałam wszystko poznać za niego. Zrobić to, czego on nie zdążył zrobić.

Wtedy poznałam Pawła. Mój świat odrodził się jakby feniks z popiołów. Znowu widziałam kolory. Ustaliłam cele, do których chciałam dążyć. On mi w tym pomógł. Wspieraliśmy się nawzajem. Niedawno stracił siostrę, której wcale nie znał. Zmarła, przy urodzeniu. Potrafiliśmy godzinami siedzieć i milczeć. On rozumiał mnie, a ja go. Żyję dalej. Nie zapominam, bo chociaż wspomnienia często są bolesne, to są bardzo ważną częścią naszego życia. Mam osobę, która mnie rozumie, żyję i to jest najważniejsze. O Karolu nigdy nie zapomnę, bo był bardzo ważną częścią mojego życia i zawsze będzie obecny w moich myślach.

Karolina Rost

Wejherowo blues ...

Szły tędy ongiś reaktory
na atomową elektrownię,
i drogę im zajęchał konik
co ciągnął furę z gnojem... ☹
Fatum? „Atom” porósł krzakiem
(i gdzieś się prze-wiózł)
Koń się kiwał - wystukiwał -
- Wejherowo - blues....

Cedron płynie jak melodia,
z czasem - zmiennym, który...
Tam gdzie ongiś była partia
dziś WCK - dom kultury.
I teatrzyk Prawie Lucki
Różewicza z Mrożkiem wniósł.
Melpomena - czysto nuci -
- Wejherowo blues...

Kwadrat rynku skrzydłem objął
gdzie starcy i dziatwa,
ten co zmyślił piękne miasto,
a dziś zwą go - Batman...
Pan nad pany - od Kalwarii...
Mruczy - czytaj z ust...
(groźna mina - peleryna) -
- Jakub Wejher blues...

Toczą ciężką wojna o czołg!
(pisze skryba szczery)
tłuką się pancerne czaszki
o - T- 34- ry...*
Tank(!) - kaplica(?) - wie „ulica”
„Rudy” - w pejzaż wrósł,
wiatr historii gra na lufie -
- „czterech i psa” - blues...

No nareszcie - grają Leszcze
- spytasz - „jaka to melodia?”
zdolnych - całe chóry - jeszcze
miewał morski powiat.
Na estradach jest...
Stąd niejedyn tuz...
Tedy jo!!! Ooo yes!!! Ooo
- Wejherowo blues...

A do Wejherowskiej Pani
(czasem nowe i te same)
- niosą troski Jej poddani
przez klasztoru bramę...
Franciszkański już odwieczerz
na Kompletę pora - już...
Spłynie - gregoriański chorał
w - Wejherowo - blues...

Tadeusz Buraczewski

* T-34 - typ czołgu

* * *

spróbuj przejść na drugą stronę
zamień się z cieniem
podejdź od zawietrznej
to że wiatr - klawisze drzew
to tylko pretekst
do twojej essay-fonii
- intencja i batuta...
to było tak proste
jak meta - linia horyzontu
do której przyszło ścigać się
do utraty tchu, czci, wiary etc.
tak banalne że aż zakrzywiało przestrzeń
ale na tyle by dało się widzieć
iż tam stroją w szarfy, ordery i laury
- przesłanie i katz
- galaktyka i... mucha na dnie literatki
przypadek czy rzeźba słów
osmoza czy semafor semantyki
od kiedy wolność jest powszechna
jak kaszanka
a rola poety to cierpieć
przy obieraniu doń cebuli
łuskaniu fasoli
poezja w gazetach jest tylko w klepsydrach
i... newsach: „...arszawie przyszło na świat
dwugłowe dziecko. Matka znana poetka
i krytyk literacki... ”
będzie
poeta i krytyk
w jednym
każda smycz ma dwa końce
spróbuj przejść na drugą stronę

Tadeusz Buraczewski

Listopad - nocą

...z góry dalej
z dołu - źle
łuski światła
stalagmity wież
wielka ryba nocy
przepływa przez szarość
a od ziemi gotyk
w górze chmur cny barok
wilgoć, proza, słoty
i jeszcze nie biel
listopada cel
średnia
średnich odpowiednia
prognozy i gnozy
hula naga jesień
po bukowych wzgórzach
nocy tajemnica
górne C - księżycyca
wynurza - zanurza
- naga jesień - opadł liść
z góry pięknie
i wiem
z dołu - dół
- nie policzę
- cumulusów ołtarze
miasta płoną jak znicze
na globalnym cmentarzu...

Tadeusz Buraczewski

II nagroda w kategorii dorosłych

*Gorzki ciężar egzystencji
przytłacza nie tylko słabszych
M.M.G*

I cóż sobie robimy z rozmyślań
Nad zagadką czasu i przeznaczenia
Nie możemy się wyrwać
z klatki swoich myśli
Które kąsają jak sęp Prometeusza
świecidełko tańczące w ciemności
Wskazują nam krętą drogę
Gotowość do znoszenia trudów istnienia
zapada się jak zwodzony most
łudzące nas pozory życia wyszeptają Ave Maria
balansujemy między obecnością a nieobecnością
boimy się utonąć w cichym morzu rezygnacji
podszepty wiatru szalejącego za oknem
uświadamiają nam że ptaki tracą swoje schronienie
wrażliwe serce stanie w płomieniach i wykrzyczy
że zagłębienie w głąb czarodziejskiego zwierciadła
to ułuda - pogromczynie dusz
pragniemy wymknąć się z żelaznym bram obojętności
otoczeni szelestem złotawych liści i cieniem odlatujących kormoranów
Może zdążymy na pociąg do Lepszego Jutra

Maria Grzezińska

Pozory umierają szybciej niż myślimy
M.M.G.

* * *

Zrobiłam rachunek sumienia
Sumienie mam czyste
Zważyłam na szalkowej wadze radości i smutki
wyszło pół na pół
myślę, że waga nie jest dokładna
gdyż według moich obliczeń
smutków jest trochę więcej
niż radości
ale czyż warto się bić o dekagramy
Zajrzałam w oczy Przyjaźni
dostrzegłam srebrną nitkę chłodu
posmutniał mój świat
zrozpaczona łza zawisła na rzęsach
jest zawstydzona, że trwa dłużej
niż jedno tchnienie
nie ma odwagi
zrosić udeptanej ziemi

*Czy wiemy co jest na końcu drogi,
gdy zaczynamy iść*

Maria Grzezińska

* * *

W moim mini ogródku,
ostatnie róże przygotowują się na śmierć
w gloriach jesiennego szronu
czarne poszarpane obłoki odsłaniają księżyc
niewyczerpana studnia czasu
okazuje mi zrozumienie
nieprzenikniony cud istnienia
otwiera klamrę natchnionych myśli
bo przecież mam jeszcze
kawałek drogi do przebycia
i choć jest szara jesień
ja widzę wciąż wiosnę
i przebudzone ze snu zdziwione pierwiosnki
jeszcze tylko zapalę cynamonową świecę
której płomień spłoszony wirowaniem ćmy
drga jak moje serce
pobudzone tchnieniem wiatru znad Parsenty

Maria Grzezińska

III nagroda w kategorii dorosłych

Chrystus Frasobliwy

Chrystus Frasobliwy na rozstajach siadł
Niepewny dróg, niepomny lat
Braci nie poznawał, choć go krzyżem witali
Kwiatów nie czuł, przystrajany kwiatami
Deszczem płakał, gdy w wielkiej boleści
wieścił
trud, ból... i takie tam...
Modlitw nie słuchał
Próśb nie spełniał
Zdrewniał

O smutny Jezusie
uśmiechnij się

Zapomniawszy, czemu świat miał zbawić
Sam dopraszał naprawy
Z pozłoty odarty, kornikiem stoczony
W muzeum zmartwychwstał odrestaurowany
Zasiadł po prawicy świętków jedenastu
Westchnął i zasnął
Bo nikt już
Modlitw nie wznosił
Nie prosił

O smutny Jezusie
uśmiechnij się

Piotr Skurzyński

Cmentarz w Kostkowie

Pan tam nie idzie...
Tam kostuch w pruskim palcie
straż trzyma -
mówili we wsi
wskazujcie drogę
wbrew sobie
Na przekór poszedłem
W górę
W mrok
gdzie las rósł
Pomiędzy pniami Anieli
kruszeli
Jeden płakał
„Was willst du?
Kaine Lebewesen. Kaine hoffnung...”
i wskazał płyty gotykiem spisane
Anton Kreft -
poczytałem
Jarosz Konkel...
i Kasza Gniech...
Po kaszëbskô gadôj, knôpku -
krzyknąłem chwytając Anioła
bo jakby skrzydła rozkładał
Nie odleciał
Ironicznie rozpadł się w gruz
a żartoczne jagodziny
otuliły kolejne serce
z kamienia

Piotr Skurzyński

Ulotność wg Trzechetki

Trzechetko zmarł kwadrans po
Noc była jasna
sierpniowa
Jak obłok kurzu się wznosił
a gwiazdy spadały

W pół drogi do nieba
dosiadł chmury
w dół spojrział
i zawahał się

Jaka ziemia jest piękna
westchnął
i strzepnął z ramienia kłęb pierza
(a to był Anioł Stróż)

Wtem wiatr dmuchnął
rozproszył kurz
i już Trzechetki nie było
A pierza puch opadł na noworodka

Dziecko przestało płakać
i się uśmiechnęło

Piotr Skurzyński

Wyróżnienie w kategorii dorosłych

Muzyka co w duszy gra...

Starannie układam słowa w korowód zdań,
Zbyt dokładnie przemyślane decyzje,
Nie pozwalają na chwilę szaleństwa.

Tylko muzyka w głębi duszy wciąż gra...

Nie wiem,
Czy demonem ją nazwać?

Przywołuje opuszczone marzenia co kwitną na nowo,
Wydziera ze wspomnień kawałki radości,
I wciąż namiętnie wiruje myślami,
Otwierając puszkę tęsknoty.

Jak dla świata przekleństwem Pandora,
Dla mnie przekleństwem muzyka co w duszy wciąż gra...

Nie wiem,
Czy boginią ją nazwać?

Co w szarości dnia rozjaśnia iskierki wiary
Przybladłe w wyniku niezrozumienia.
Jej kojąca moc rozkrusza bruzdy wyobraźni,
Niczym zjawiskowy meteoryt rozwała świątynie zwątpienia.

Jak dla świata wybawieniem Prometeusz ,
Dla mnie wybawieniem muzyka co w duszy gra....

Lilia Wilczyńska

Portret...

Marzenia - relikwie mego istnienia,
trwają żeby je wielbić
i... tęsknić.
Wzdychać nocami,
że mogło być inaczej,
gdyby tylko inna pora,
inni ludzie na mej drodze.
Serce - świątynia w której bóstwem
jesteś ty,
Herosie mego bycia,
a wyznawcą
zwyczajna - ...
Moje oczy to nie głębia błękitu,
ani piękne jeziora.
Usta...
wciąż zadają te same pytania.
Nawet wiara
odwróciła wzrok,
gdy ciskałam w nią słowami.
Przekleństwo czy ironia?
...zamilkły dzwony w kaplicy
z marzeń.
Pomiędzy pustką
co rajem dla wiatru,
a labiryntem nie odkrytych ścieżek,
los rozwiesił pajęczynę,
w którą chwyta,
tak ładnie naiwnych...

Lilia Wilczyńska

Starość

Porozmawiajmy chwilę o starości...
Tej bezwstydnej
Nieproszonej ladacznicy!

Porozmawiajmy...
Bo kiedyś zapuka do naszych
drzwi.

Jak ją przywitać?

Albo nie witać wcale,
Po prostu udać obojętność
Lub niezadowolenie.

Być może przyjdzie nieco później.

Za parę dni,
Miesiący,
Lat...

Trochę brzydsza,
Słabsza,
Chudsza,
Ale nadal niechciana...

Lilia Wilczyńska

I nagroda w kategorii młodzieży

Antidotum

Często nad ranem
I przed nad ranem
odczuwa bolesne duszności

Zanosi się grobową bezsilnością
dlaczego?

Cząsteczki samotności niebezpiecznie
zagęszczają w niej chaos

Uczulona na każdy ruch jego powieki
Uczulona na mahoniowy krem
Jego spojrzenia

nie uodporni się nigdy
Na zawsze pozostanie w grupie ryzyka

Co mówisz?
Ma sobie poszukać antidotum?
Zielone łąki wejrzeń i bałtyckobłękitne okna duszy
też są niczego sobie?

Za późno

Skutki uboczne już dają jej po kościach
Do samych kości
przenika ją ciepło Tego serca

Jaka szkoda że wspólna wspólność ich dwojga nigdy nie będzie
rzeczywistością

Luiza Czupajło

Bądź

Zegar podstępnie pozbawia mnie
kolejnej drobinki życia
chowanej pieczołowicie
w skrzyni już-nie-samotnego serca

Staram się zrozumieć
kto zburzył moje rusztowanie szarych dni i nocy
kto tańczy ze mną w chaosie z którego rodzi się gwiazda gwiazd

To ty który rozlałeś mleko moich przyziemnych myśli
doprawiłeś nutką cynamonu miodu i życia

Ty który nie bałeś się nasączyć swe rozumne
czekoladowe dłonie moimi łzami

Mogę przeglądać się do woli
w Twoich hebanowych lustrach duszy.
Już umiem odróżnić szarość dnia od szarości serca -
od teraz mój świat zawsze będzie pachnieć różami.

Niech nigdy nie skończy się ta podróż.

Marzę by w anielskim rydwanie kroczyć z Tobą po naszym
widnokręgu przemijania.

Spod zmrużonych magicznych powiek
kapie czarna kawa spojrzenia pełnego blasku

bądź-ja jestem
bądź-ja będę
bądź - ja kocham

Luiza Czupajło

Razem

O czym myśli opuszczona dusza?
O czym myśli opuszczony człowiek?
O czym myśli opuszczone ja?
Opuszczone przez tych co byli - przebyli – wybyli
zamyka się w sobie aby przestać czuć
aby przestać doświadczać?
Nie - nie robi sobie takiej krzywdy
Szuka sobie miejsca pod jednym z neonów bezsensu?
Ubiera wyświechtany uśmiech i staje w wyświechtanym szeregu
szczyjących się szarą szarością?
Nie - kocha wolność i oszczędzi Ziemi kolejnej księżniczki
duszącej się w za ciasnym życiu.
Opuści siebie - spojrzysz z boku
strząśnie z siebie opary udawania
że jest tak jak jest
i inaczej być nie może
Nie zamigocze nowym pomysłem
z Promocyjnej Wyprzedaży na Bycie Sobą Bez Siebie
Będzie dbać o zdezelowane skrzydło swego wnętrza
Jeśli znajdzie właściciela podobnego nielota
to razem -
czekoladowy pół-anioł ciszy
poszukujące pół różanej duszy
wyruszą w rejs po nowej rzeczywistości
Niech im się uda -
wtedy w bezchmurny dzień
spozregawcze dziecko ujrzy dwa promienie
Uśmiechnij się mały człowieku i też poszukaj swego szlaku życia...

Luiza Czupajło

Samotność

Rodzi się w ciszy własnego sumienia...
Odzywa się w nieodpowiednim momencie
Wtedy, gdy jesteś sam jak rozbitek na samotnej wyspie...

Samotność...
Rodzi się, gdy marzysz o kimś kogo nie możesz mieć...
Dokwiera, gdy widzisz JA z innym
Jest nieodzownym współnikiem goryczy

Samotność jest Twą towarzyszką...

W słońcu....

W deszczu...

Na plaży

I w szkole

Na przystanku

I w ciszy własnego domu...

Widzisz ją w innych

I w sobie

Samotność Ci towarzyszy

Samotność

Widzę ją w Twych oczach...

Gdy marzysz o czymś czego nie możesz mieć

Wtedy patrzę na Ciebie tak byś nie widział

Z ukrycia...

Zastanawiam się czego brakuje Ci do szczęścia

Odpowiedź jest jedna:

Spełnienia Twych marzeń

Samotność nie jest zamkniętym kręgiem wydarzeń...

Można temu zaradzić

Potrzebna jest tylko życzliwa dłoń...

Zastanawiam się teraz: jak mogę spełnić Twe marzenia?

Odpowiesz?

Aneta Fuhrmann

Wspomnienia

Spojrzenie uchwycone w locie
Przelotny uśmiech
Zwykłe cześć na gadu
Nasze wczorajsze spotkanie
Ukradkowe spojrzenia
Rozmowa o niczym trwająca tyle
Uśmiech, który tylko Ty wywołać możesz
Dotyk, który czujesz przez cały dzień
Pan w parku, który do złudzenia przypomina Ciebie...
Twoje słowa gdzieś w głowie słyszane
Spojrzenie w gwiazdy z myślą o Tobie
Śmiech Twój słyszany w innych ustach
Wspomnienie tego roweru
I tego spaceru
Wszystko nabiera jakiegoś dziwnego blasku
Sama nie wiem czemu
A jednak się boje
Konsekwencji tego czego byś chciał
Spojrzeń złowrogich
Słów jak nóż w plecy wbijanych
Reakcji innych...
Marzę by wszystko się dobrze skończyło
Czasem marzę po prostu żeby być chłopcem
Wtedy zupełnie inaczej patrzyłabym na świat...
Zielona gałązka na drzewie byłaby inna
I kosmyk włosów opadający na czoło
Przedem wszystkim Ty byłbyś inny
Więc pozostanę sobą
Zamknę się tylko trochę w sobie
I będę udawać, że żaden problem mnie nie dotyczy...

Aneta Fuhrmann

Słowa

Z głębi duszy płyną śpiewająco,
Słysząc gdzieś ósemki i szesnastki
Czasem wepchnie się półnuta...
ONA jest mym powiernikiem,
a gdy światło na nią padnie
kolorami się mieni
Żółty
Fiolet
Czerwień
Bordo
Istna tęcza

Mieni się, gdy słowa płyną...
Mieni się, gdy milknę czasem
Lecz najbardziej mnie nie lubi
gdy ją zamknę w szafie

Aneta Fuhrmann



II nagroda w kategorii młodzieży

* * *

W niedzielę rano wstałem
A obok nikogo
W niedzielę rano wstałem
A jednak nikt nie pociesza
Nie szepcze miłych słów na pocieszenie
Nie robi spalonej grzanki z dżemem
Nie porozmawia o życiu i śmierci
Nikt nie robi zakupów na wyprzedaży
Nikt nie kupi czegoś niepotrzebnego
Nikt nie powie banalnych i mało oryginalnych słów:
„Martwię się o Ciebie” lub przynajmniej „Bądź zdrow”
Na ścianie wisi niepotrzebny zegar
Tik tak tik tak
Wskazuje czas
Którego nie widzę
Nic się przecież nie zmienia
Wskazówka w górę
Wskazówka w dół
Ja zaś tylko wegetuję
A ja w niedzielę rano
Snuję się wśród swych obłąkanych myśli
Nie wiedząc, co mnie czeka
Co wypada
Co poczeka
Pada deszcz
Czuję dreszcze
Oraz dotyk wiatru na mojej delikatnej skórze
Niebo się zachmurza
Będzie padać
AAACH. Czuję, że moja dusza umiera
Ciemność nastąpiła
Szum wiatru słyszę
Szum wichru słyszę
Szumiące liście
Czuję ciepło i ulgę
Szumy zmieniające się w głosy i słowa
Szepczą głosy
Uchylając ucho
Słyszę ledwo słyszalne dźwięki
Niewiedząc jednak, kto
Niewiedząc też skąd
Ujrzałem anioła

Anioła z przesłaniem
Który niesie dla mnie
wiadomość:
„To już konie...
Twój czas się skończył”
Bez żalu i pretensji
Mogę z nim odejść
Słyszając jednak w tle piosenkę:
„I love my people”.

Marcin Pelcer

* * *

Widzę wszędzie krew
Czerwoną i płynącą jak lawa po chodniku
Widzę wszędzie krew
Cel osiągnięty
Dawno już zaplanowany czyn spełnił się
Nie jest niewinny
Nie zasługuje również na pochwałę
Ale uwalnia od cierpienia
Które niszczy moją psychikę
Widzę pełno krwi
Na mojej dłoni, która
Kurczowo trzyma nóż
Z nogi, gdzie jest głęboka rana
Z szyi, której właściwie już nie ma
Z uda i stopy
Wyływa pełno krwi
Chwiejąc się upadam na ziemię
Tracąc zmysły i świadomość
A krew leje się dalej
Z mojego młodego ciała
Które będzie się później rozkładać
Szumiący wiatr
Powiał lekko
Oznajmiając oderwanie się duszy od nędznego ciała
Nareszcie złudna wolność
Ale jakże upragniona i wyczekiwana
Bez uczuć i doznań emocjonalnych
Bez drugiej duszy, aby było różniej
A teraz chodzę o północy po cmentarzu
Trochę fosforyzując
Straszę przechodniów
Sprowadzając ich na właściwą ścieżkę życia
Aby omijali nagrobki
Chcąc być z dala ode mnie
Modlą się
Aby mnie więcej nie zobaczyć
Mówią, że patrzeć na mnie to jak
Wykapać się we wrządku
I wydłubać sobie dwoje oczu
No cóż
Przestroga to najlepsza kara.

Marcin Pelcer

III nagroda w kategorii młodzieży

Słowa

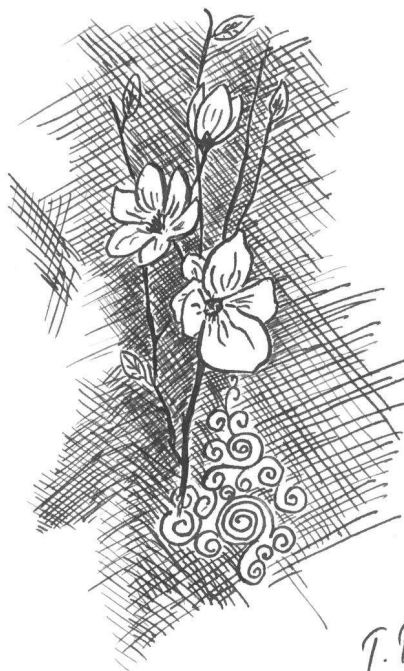
pod moją skórą
kryją się słowa:
słone słowa smutku
trujące słowa nienawiści
czarne słowa bólu
gnijące słowa zawiści
gorzkie słowa żalu
słodkie słowa miłości
błękitne słowa szczęścia
bezbarwne słowa obojętności
dławiące słowa tęsknoty
drażniące słowa bezsilności
obezwładniające słowa strachu
uśmiechnięte słowa radości
słowa które kłują
które pocieszają
które ranią
które zabijają
które kochają
które leczą
które przytulają
które koją
które ogrzewają
ludzkie serca
jak słońce jak noże
jak wiatr jak róże
jak niebo jak morze
jak deszcz jak burza
słowa które czasem uciekają
przez niedomknięte drzwi
przez szeroko otwarte
oczy usta dłonie
pod moją skórą
kryją się słowa -
- cegły mojej duszy

Izabela Jagła

Z głębin

płynę łódką
po odmętach mojej duszy
wyławiam z niej słowa
błyszczące jak perły
to właśnie te słowa
uczucia marzenia nadzieje i wiara
są wiatrem w moich żaglach
dzięki nim płynę
po nowych morzach
dzięki nim fruвам
pod nowymi gwiazdami
dzięki nim stąпам
po nowych ścieżkach
dzięki nim mam siłę
by iść dalej
by wciąż wstawać
gdy los zadaje mi cios
dzięki nim żyję
tysiącem barw

Izabela Jagła



Duszy

zamknęły mi usta
związały ręce
na szyję założyły kamień
splątały ciemnością
kazały biec
boso bez tchu bez snu po omacku
potykając się o kamienie
raniąc stopy kolana dłonie
kazały umierać powoli
chcę się zatrzymać
zerwać pęta
rozproszyc ciemność
otworzyć usta
i krzyczeć krzyczeć
najgłośniej jak umiem
chcę poczuć smak wolności
chcę wreszcie je zdjąć
chcę zdjąć moje maski
i zobaczyć w lustrze
swoją prawdziwą twarz

Izabela Jagła

Miłość przed wojną

Mieszkam w Wejherowie, w kamienicy, którą przeszło sto lat temu wybudował mój dziadek, który pomagał ludziom - podobnie jak ja to robię - ze wszystkich sił. Chyba przekazał mi to w genach. Pokochałam to miasto - za jego energię, stale nowe oblicze, blask słońca na chodniku deptaka, za wyniosłą sylwetkę Jakuba na Rynku, który niejedno widział (rynek, bo posąg jest niedawno na rynku). Kiedy przyszło mi tu zamieszkać 10 lat temu, myślałam, że to kompletny zaścianek, a tu proszę... żeby przejść na drugą stronę ulicy w godzinach szczytu trzeba postać parę minut, taki ruch.

Kocham więc te ulice i parki, ale najbardziej lubię przebywać w moim mieszkaniu, siadywać przy tym samym dębowym stole, przy którym niegdyś siadywał dziadek i - przy tykaniu wielkiego zegara-oglądać stare fotografie, szczególnie tę jedną...

To zdjęcie z 1938 roku. Osoby, widoczne na zdjęciu już nie żyją, ale nadal bije ze zdjęcia ogromna energia. To moja śliczna ciotka Erna (siostra ojca) i jej narzeczony - chorąży Józef. Trwa właśnie śledzik oficerów rezerwy w miejscowej Strzelnicy, najpopularniejszym miejscu spotkań wejherowian.

Dzieje ich tragicznej, niespełnionej miłości znam z opowiadań kuzynki Ireny, gdyż ciotka Erna była osobą skrytą. Kochali się bardzo. Łatwo było pokochać moją ciotkę Ernę. Była osoba nowoczesną i przebojową, grała w tenisa, wspaniale tańczyła i miała w sobie to „coś”.

Józef był przystojnym, niebieskookim blondynem, wpatrzonym w jej oczy koloru spokojnego morza, i rzecz niezwykła - nie ograniczał jej i aprobował ekspresyjny, emocjonalny sposób bycia. Dużo z sobą rozmawiali, co jest gwarancją dobrego związku. W każdym, także naszych czasach. Na święta 1939 roku planowali wziąć ślub. Miał go im udzielić jego kuzyn, ksiądz z Pelplina. Lecz wybuchła wojna. Józef, wraz ze swym oddziałem brał udział w kilku bitwach, po czym dostał się niewoli. Erna słała mu listy i paczki. Po wojnie wrócił, lecz tylko po to, by zapytać, czy ucieknie z nim do Anglii, a potem gdzieś dalej, gdyż obawiał się kłopotów ze strony ówczesnych władz.

Erna nie mogła i nie chciała zostawić samych, starszych już rodziców, a poza tym Józef miał większe szanse przedostania się w „pojedynek” przez „zieloną granicę”. Jakie padły słowa i co się działo w ich sercach, wiedzieli tylko oni i drzewa w parku, które nad nimi szumiały w tę letnią noc... Nad

ranem dopiero wróciła moja ciotka z przechadzki z narzeczonym, który w tę noc narzeczonemu być przestał, gdyż jadąc w świat musiał być wolny, by przetrwać. Erna zwróciła mu więc dane sobie słowo, jakby to był jakiś cenny przedmiot lub amulet. I tylko to z nich, które go otrzyma, będzie spełnione. Serce jej skuliło się tak, że nie wiadomo było, czy jeszcze jest na swoim miejscu. Matka jej - babcia Otylia, nie udzieliła Jej reprimendy, ani nie zapytała o nic - wyraz twarzy córki powiedział jej wszystko. Na pewno dostrzegła też, że na palcu córki nie lśni już zaręczynowy pierścionek.

Erna nigdy nie przestała kochać tego wysokiego, pięknego oficera, który tamtej nocy mógł sobie wziąć od niej wszystko, lecz nie chciał ranić ich serc. I nigdzie nie mógłby potem odjechać. Więc tylko gorące, słone pocałunki musiały im wystarczyć. Płynął czas. Rodzice Erny martwili się, że zostanie sama na świecie, gdy ich zabraknie.

Więc, kiedy dwa lata później poznała żwawego, miłego urzędnika celnego, który był także skrzypkiem i później grał w stoczniowej orkiestrze, nie odmówiła mu swej ręki. To właśnie po ich weselnej uczcie - rankiem zmarł na serce mój wspaniały dziadek. Mówili, że za dużo cygar wypalił i zbyt wiele wychylił kieliszków koniaku, ciesząc się, że wreszcie wyszła za mąż jego najmłodsza (choć już nie najmłodsza) córka. Myślał, że nigdy nie otrząśnie się ze smutku po rozstaniu z młodym oficerem. Trzydzieści dwa lata przeżyła z mężem (też Józefem) moja słoneczna, dobra ciotka Erna. Józef nr 2 umarł w marcu 1980 r. na zawał serca, w momencie, kiedy miał opuścić szpital. Żona czekała na niego przed szpitalem, on tylko poszedł na oddział po swoje rzeczy. Schylił się, aby zawiązać buty. I tak już został... Do ostatniej godziny prawie prowadził swój pamiętnik, gdzie spisywał najdrobniejsze nawet wydarzenia, taki był z niego pedant. Erna została więc sama, podupadająca na zdrowiu, niemłoda już, ale wciąż niepokorna.

I oto stanął któregoś dnia pod jej drzwiami ten, o którym nigdy nie zapomniła, którego miniaturkę, zrobioną ze zdjęcia znalazłam potem w jej dokumentach, taka jej mała tajemnica... Przyjechał do niej ze swoją siostrzenicą, sam nie miał odwagi, a może zobaczył, że jej już nie ma... W pierwszym momencie, choć głupie serce skoczyło jej do gardła - nie poznała go, gdyż czas zmienia wszystko. Lecz nie zmienił tych niebieskich oczu, w których odbijało się niebo.

- Czy to Ty - wyszeptała, zbielełymi wargami. A on tylko wziął jej rękę w swoje i obsypywał pocałunkami, mokrymi od łez, bo oficerowie płaczą, gdy płaczą ich serca. Dwa tygodnie włóczyli po chaszczach i krzakach wymęczoną kuzynkę w roli przyzwoitki. Szukali śladów miłości sprzed - bez mała - pięćdziesięciu lat. Przecież wyciął na drzewie serce z ich inicjałami, tylko gdzie... Opowiadał, że ma dwie córki w Australii, że jest wdowcem i ją do siebie zaprasza, choć oboje wiedzieli, że słabe zdrowie nie pozwoli jej na tak długą

podróż. Ale starczyło jej sił, by pichcić dla niego ulubione potrawy, bo wiadomo, że przez żołądek do serca, teraz i zawsze... Potem już musiał wracać do tych swoich kangurów...

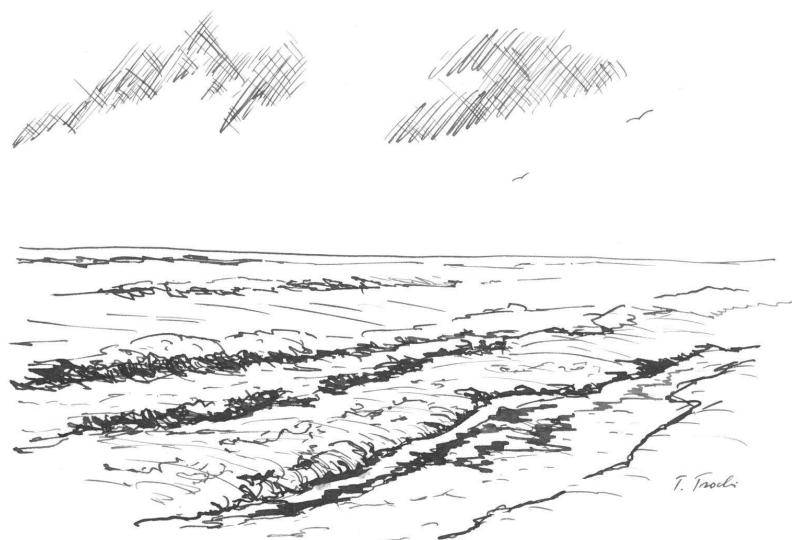
Któregoś dnia usłyszał mocne uderzenie w ścianę swego bungalowu, gdyż takie domki stawia się w Australii.

- To chyba Erneczka przechodzi na drugą - stronę - powiedział do siostrzenicy, która przebywała u niego w gościnie.

Na pogrzebie Erny, zaraz za jej trumną szedł młody człowiek (krewny Józefa z Australii) z ogromnym wieńcem z łososiowych róż – ulubionych kwiatów Erny. Parę lat później, w dalekiej Australii, starszy człowiek układa się do snu. We śnie tym widzi młodą dziewczynę z dołeczkami na policzkach i oczami jak morze w słoneczny dzień. Sam też jest młody.

Na strzelnicy odbywa się przyjęcie - śledzik oficerów rezerwy. Jest piękna mroźna noc, kończy się 1938 rok. Orkiestra zaczyna grać. I on prosi tę dziewczynę do tańca, gdyż już teraz, natychmiast musi się przekonać, czy atlas jej skóry jest taki, jak w jego marzeniach. Rzeczywistość jednak je przewyższa. Jest gładsza, jak skrzydła aniołów. Toną w swoich objęciach. Miłość ogarnia wszystko. Wokół wszystko oblane jest jej złotym blaskiem. Wtuleni w siebie odpływają w wieczność...

Anna Wiśniewska



Szept cywilizacji

Obudziłem się nagle. Raptownie usiadłem na łóżku - zaskrzypiało upiornie. Naraz poczułem chłód; sączył się szczelinami starych drzwi i okien... Ciutkę później złowiłem uchem warkot telefonu...

- He? No jasne, nno ... jak w czeskim banku szwajcarskim, na pewno; za tydzień, cholera, najpóźniej ...

Głośno splułem w kąt, założyłem czarne kalessony i wczorajszą koszulę, trąc sklezione, spuchnięte, zaropiałe oczy... Ech, popiło się wieczór z Arturem... Kac co najmniej jak wół.. Chata najmniej jak chlew... W głowie dudni jak w studni ... Wszędzie dudni jak w studni! Siadłem na taborecie w ciasnej, ślepej kuchni - piję kawę plus wódkę ... Szaro, że aż boli...

W płaską, dymną szklanicę wlałem resztkę coli i podryfowałem gładko do pokoju. Mój obolały mózg rejestruje niechętnie głucho pluśnięcia dżdżu i piskliwe ślizganie się po szybie gałązek topoli Nie próbuję się skupić... Sączę colę i jest mi teraz wszystko jedno!

O bogowie, jak rypló!!! O wszyscy bogowie!!! Aż podbiegłem do okna - eee..., na parapecie kopci się jakaś... niewielka metalowa płytką... Widzę ją poprzez mgłę w oczach,.. Szczęściem to głupi sen..

Pocałujcie mnie w dupę!!!

Nim zawlokłem się z jękiem do łóżka, zajrzałem do łazienki, łypnąłem chyłkiem w lustro - rety, to... moja mordą?! Matko jedyna, rany ...!!! Że musiałem się upić....

Szperałem w Internecie.. Teraz piszę. Piszę i piszę sam wstęp już od ósmej - a dobiega trzynasta; normalnie mam dosyć! Jestem głodny, zmęczony i bardzo znudzony. O szesnastej mam wywiad z tym trzepniętym idiotą... Muszę zebrać się w sobie.

Obiecałem - dostarczę ; wyrzygam im, dupkom, tę pieprzoną historię... A dlaczego? Bo... nie śmierdzą kasą, bo... by przeżyć i tworzyć to, co chcę i lubię, muszę pisać te gówna... Zatem tak: o szesnastej randka z ufologiem, potem chwila w redakcji, następnie śniony obiad, jutro... będzie jutro!

Wygląda jak ogromny, rachityczny owad. Garbi się. Prawie tonie w paskudnym prochowcu. Pochylony nad stołem ostrożnie przełyka kawę. Raz po

raz bębni palcami w poręcz. Rozgląda się na boki. Pełna konspiracja! Ukrywam rozbawienie. Czuję ssanie w żołądku. Hmmm...

- Więc twierdzi pan, iż owa... eee... cywilizacja oddalona o kilka miliardów lat świetlnych, ma nas ciągle na oku. Obserwują, lecz nie chcą, bądź też nie potrafią nawiązać kontaktu...

- Chcą i nie chcą....

- Ma pan na to dowody?

Teraz sprawia wrażenie kompletnego półgłówka. Pomasował podbródek. Starannie przyczesuje rzadkie, ulizane włosy albo dłubie za uchem.

- He, dowody... ? Oczywiście. Mam niezbite dowody...

Desperacko próbuję stłumić nerwowy chichot. Udaję, iż kaszlę, kryjąc w dłoniach usta....

- Zechce pan coś przybliżyć...?

- Co?!

- Dowody. Wspomniał pan o dowodach.

- A, tak....

Grzebie w kieszeniach spodni. Wyciąga jakieś świstki, zapiski, szpargały i inne duperele. Wsuwa je skrupulatnie pod gazetę leżącą na stole. Wtem nachyla się ku mnie - czuję jego oddech. Unosi róg gazety - machinalnie zerkam...

- Proszę! - dyszy mi w ucho. - Widzi pan? Są! O, proszę!!! Jednak od początku....

Środkiem dusznej kawiarni kroczy młoda kelnerka. Ma obcisły sweter i szelmowski uśmiech. Jej szerokie biodra kotłyszają się rytmicznie. Pod obcisłą spódniczką dostrzegam linię stringów. Myślę - niezła dupa...

- ... w siedemdziesiątym pierwszym. Tak, pamiętam dokładnie. Gigantyczny nadajnik! - klarnet bębni palcami. I ma błędne oczy.

- E?

- Finansowało NASA. Projekt zwał się Cyklopis... Niebawem padł na pysk. Pojechałem do Polski; Irma była w ciąży...

- Irma?

- Tak. Była żona. Poroniła. T wtenczas rozleciał się związek.

- Przykro mi...

- Wie pan, wtenczas w Berkeley miałem dom z ogrodem oraz Yasmine, fajną, milczącą dziewczuchę... Byłem gniewny, narwany, genialny i młody... Po rozwodzie wróciłem i dałem się kupić. Pracowaliśmy ostro. Powstał SENDRIP... No, a jeszcze potem robiłem z Horowitzem...

Wyjął chustkę i długo, cierpliwie w nią dmucha. Ostentacyjnie dopiłem resztkę kawy.

- To był analizator widma radiowego. Inny niż tradycyjne, znacznie ulepszone... Suitcase SETI, całkiem niezły skurwiel...

Przed spotkaniem z tym dupkiem zajrzałem w Internet, przeczesałem solidnie rozmaite strony, wynalazłem o SETI wszelkie dostępne informacje, wyskrobałem wstęp do artykułu, jednak teraz, prócz tego, że gość ma kukułę, stwierdzam wtem, iż niestety niewiele rozumiem. Robię minę do gry...

- Chce pan przez to powiedzieć, iż dzięki użyciu radioteleskopów nawiązaliście państwo jakiś kontakt z Ufo?

- Nie.

- Nie?

- Nie. A przynajmniej nie wtenczas.

- A czy widział pan Ufo?

- Pan tak myśli, jak się myśli powszechnie. Większość sądzi, że Ufo to płaskie, latające spodki, brzydkie zielone ludki, które pstrykną palcami i są kręgi w zbożu...

- Zatem?

- Chodzi o to, że wtedy, kiedy w Kalifornii pracowałem nad owym projektem, prowadziłem też inne... prywatne badania...

- To... interesujące...

- Frapujące!

- Rozumiem, iż wtenczas pan odkrył...

- Ale to było potem! Wie pan, w ramach współpracy latałem do Ohio... W sumie nic to nie dało, jednak całkiem przypadkiem zaczepił mnie człowiek.. Kiedyś, w trakcie podróży. Na lotnisku. Więc zwyczajnie... podszedł, dał, no i odszedł. Naraz zniknął w tłumie... Chyba jakiś farmer. Widział mnie w telewizji, pewnie uznał, że właśnie mnie należy powierzyć coś, co panu pokażę. Znalazł to w kukurydzy... A tam są, drogi panie, istne bezkresy pól kukurydzianych! Kukurydziane dżungle!! To był... normalnie cud!!!

Zamówiłem dwa piwa za ostatnie grosze. Facet wypił duszkiem. I zamówił kolejne. Cizia w ciasnym sweterku właśnie je przyniosła...

- Proszę, niech pan dotknie... Patrzę - jego palce nurkują w tunelu gazety i... wnet się wynurzają. Rozwierają nabożnie... Widzę niewielką płytkę błyszczącą na dłoni; wygląda jak miniaturowa, popielata trumna. Lekko fosforyzuje...

- Co to?

- No, niechże pan dotknie!

Dotykam - czuję... Czuję, jakby przenikał mnie dziwny, drgający strumień... I gdzieś, w głębi sekretnych zakamarków mózgu, coś znajomo mi dzwoni...

- Pulsuje, nieprawdaż? Drgnąłem, porwałem rękę.

- Tak...

- Właśnie!

- Co... Co to jest?!

- Zapis danych. Kronika. Szept Cywilizacji...

* * *

Robię korektę tekstu - czuję; będzie bomba!

Doprawdy dziwny gość, ten ufolog... Zgodnie z naszą umową, wszelkie tajne notatki odesłałem mu priorytetową poleconą pocztą. Przez trzy dni próbowałem się do niego dodzwonić - „abonent niedostępny” gadała małpa z taśmy...

Pojechałem doń wczoraj ... Nie wiem jak to powiedzieć - wcale nie ma takiego adresu... Co dziwniejsze, przesyłka nie wróciła, a przecież... była polecona. Tak więc musiała jakoś dotrzeć do odbiorcy...

* * *

Ukończyłem. Oddałem to cacko - naczelny podwójnie zapłacił, na rzeczach staję; zostałem redakcyjnym guru! A zatem koniec problemów z kasą! Wiem, wiem, to jest tylko chwilowe, jednak wreszcie swobodnie oddycham... Przyszłość widzę różowo. Otrzymałem już kupę zamówień, może wydam eseje...

Zaprosiłem dziś Baškę do mojej samotni! W naszej drogiej redakcji mówią na nią „Osa”. Kręcę z nią od tygodnia... Właśnie spaliła w kuchni karczek po hetmańsku. Zwęglił się drań na amen! Swąd buszuje po całym mieszkaniu!

- Rety! - drę się. Uchylam drzwi na klatkę. Baška wybiega z kuchni, wpada do pokoju. Otwiera okna na oścież. Kaszlę. Łzawią mi oczy.

Przejaśniało. Resztki dymu fruwały wokół żyrandola niczym półprzezroczyste, popielate wstążki... Parzę, patrzę jak suną, rozmywają się, nikną... Barbara siadła na mym parapecie; ścisła pięści ze złości, łyka hausty powietrza. Wygląda odlotowo.

Gdzieś, niegdyś wyczytałem, iż... gniew jest prawdziwej kobiety najcenniejszą ozdobą... Żal mi karczku jak diabli! Ech!...

* * *

Poczłapałem do kuchni po pudełko zapalek. Nie znalazłem. Nos zatykam, cholera! Nadal ten żrący smród!!! Szlag mnie trafił. Holender! Muszę papierosa!

- Słowiku, dasz mi ognia...?

Baška trąca mnie palcem, chrząka i niespodzianie podsuwa pod oczy drobną, ściśniętą piąstkę. Ma dziwny wyraz twarzy...

- Są, kochanie, zapaliki?

Milczy. Widzę, jak bardzo wolno rozcapierza palce. Jej dłoń się rozwiera niby żywa roszcizka o krwawiących, purpurowych płatkach - jaskrawych paznokciach... Widzę...

- Basia..., a co to? - pytam mimo woli, chociaż... Serce mi pika, jakby chciało wyskoczyć.

- Było na parapecie.

W różowej garści Bachy lśni, fosforyzuje metaliczny prostokąt. Tak znajoma mi „trumna”...

Anna Piliszewska

Opowiadanie z cyklu „Świat mojego dzieciństwa”

Zwierzyniec Stasi

W kościele trwało majowe nabożeństwo. Siedziałam w ławce obok mamy. Ksiądz odmawiał litanie, klęcząc u stóp ołtarza a nieliczni wierni powtarzali „Módl się za nami”. Nagle monotonię modlitwy przerwało jakieś zamieszanie, słychać było szepty, szuranie. Odwróciłam się.

Środkiem kościoła szła szczupła, schludnie wyglądająca kobieta. Nie trudno było rozpoznać w niej wariatkę Stasię, znaną wszystkim w naszym miasteczku. Jednak to nie ona wywołała poruszenie. Obok niej, pochrzając, dreptała niewielka świnka. Wszyscy z osłupieniem obserwowali, jak dziwna para spokojnie zdąża do pierwszej ławki. Ksiądz nie dostrzegł zamieszania i modlił się dalej.

Przez chwilę wydawało się, że tak dotrwamy do końca nabożeństwa. Niestety, kolejne, coraz głośniejsze kwiknięcia oznaczały, że prosiaczek najwyraźniej czuje się znudzony. Stasia siedziała nieporuszona. Jednak podejrzanego odgłosy zwróciły uwagę księdza i dopiero wtedy energiczna perswazja kościelnego i jednego z wiernych sprawiły, że Stasia ze swoim towarzyszem opuściła kościół.

Jak pamiętam, jeszcze dwu lub trzykrotnie Stasia wywoływała sensację, zjawiając się na nabożeństwach, tym razem ze swoją oswojoną kózką. Ale to nie wszystkie zwierzęta, z którymi się przyjaźniła. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni Stasia mieszkała w polu za rzeką. Często z koleżankami spacerując nad Wartą lub w ciepłe letnie dni w drodze na kąpielisko przechodziłyśmy w pobliżu. Podglądałyśmy ukradkiem gospodarstwo Stasi, ale z bezpiecznej odległości. Tkwił w nas lęk przed „nienormalnymi”, podsycany często przez dorosłych, straszących nimi młodsze dzieci.

W czasach mojego dzieciństwa, w trudnych latach powojennych w naszym otoczeniu wiele było kalek i psychicznie chorych a ich życie to najczęściej prawdziwy dramat. W prowincjonalnym środowisku spotykali się z obojętnością, niechęcią, a nawet z okrucieństwem ze strony dzieci, tolerowanym przez dorosłych. Nieszczęście bliskich kładło się cieniem także na ich rodziny, żyjące trochę na uboczu „normalnej” społeczności.

Dziwnie fascynował mnie świat tych ludzi, otaczała ich jakaś tajemnica, którą tak bardzo chciałam zgłębić. Zameczałam bliskich pytaniami w rodzaju: „A dlaczego ona zwariowała?” Niestety, dorośli zbywali mnie zdawkowymi

odpowiedziami i wzruszeniem ramion. Głupia to głupia i tyle, czym tu sobie zawracać głowę.

W ten majowy słoneczny dzień w czasie spaceru z koleżanką nie wahałam się więc długo, gdy zwykle stroniąca od ludzi Stasia niespodziewanie przywołała nas do siebie, Mirka z ociąganiem, ale poszła za mną. Szybko zrozumiłyśmy, jaki był powód tak nieoczekiwanego zaproszenia. Stasia z radosnym uniesieniem pokazała nam swojego nowego przyjaciela - małą owieczkę. Tak bardzo chciała się z kimś podzielić swoją radością!

- Nazwałam ją Mecia. Dał mi ją sąsiad mamy, bo myślał, że zdechnie, była ledwo żywa. Ale ją wy chuchałam, napoiłam ziółkami i udało się, jest już zdrowa jak rydz.

Zupełnie szczerze podzielałyśmy zachwyt Stasi, bo owieczka była prześliczna. Naszym zachowaniem wyraźnie zdobyłyśmy zaufanie właścicielki osobliwego gospodarstwa, które z zaciekawieniem oglądałyśmy. Oprócz prosiaczka i kozy, sprawców zamieszania w kościele, było tam kilka kur, wśród których do stojnie przechadzał się okazały kogut a pod krzaczkami (!) kicało parę królików. Do każdego przedstawiciela tego zwierzyńca Stasia zwracała się po imieniu a na dźwięk jej głosu całe towarzystwo pędziło do swojej pani, wyraźnie okazując swoje przywiązanie. Gospodyni była tak szczęśliwa, że pochwaliła się nawet „domem” swej niezwyklej rodziny. Odsunęła słomianą pokrywę i z dumą pokazała nam dość głęboką norę wykopaną w ziemi i wyściełaną sianem. Okazało się, że sypia tu ze swoim zwierzyńcem aż do pierwszych przymrozków.

Czasem odwiedzała swoją matkę mieszkającą w rynku miasteczka. Można wtedy było zobaczyć ciekawy pochód - przodem kroczy Stasia a za nią beczące, kwiczące i gdaczące towarzystwo. Mieszkańcom znane były jej konflikty z matką, gdy przenosiła się na zimę do domu. Robiła to zresztą niechętnie, najczęściej przeprowadzana siłą przez rodzinę. Najchętniej trzymałaby wtedy swoich przyjaciół w mieszkaniu i nie rozumiała, gdy matka umieszczała zwierzyńiec w szopie na podwórku.

Swoją miłością Stasia otaczała nie tylko zwierzęta, ale też wszelkie roślinki. Na swoim skrawku pola siała i sadziła, co tylko udało jej się zdobyć. Wyglądało to, co prawda, jak przysłowiowy groch z kapustą, ale rosło z niezwykłą bujnością. Trudno było się dziwić, widząc, z jaką czułością Stasia pochylała się nad każdym kwiatkiem i warzywkiem, przemawiając doń pieszczotliwie. A jak pięknie potrafiła opowiadać o świecie zwierząt i roślin! Słuchałyśmy jej z prawdziwą przyjemnością, nie dziwiąc się zbytnio, bo wiedziałam od babci, że to przedwojenna nauczycielka biologii.

Ta pierwsza wizyta na działce Stasi minęła bardzo przyjemnie. Tylko chwilami jej zachowanie wydawało się dziwaczne, ogólnie robiła wrażenie miłej, sympatycznej osoby. Pożegnaliśmy się grzecznie, obiecując, że wkrótce przyjdziemy.

- Mamo, byłam z Mirką w polu, u głupiej Stasi - opowiadałam podniecona po powrocie do domu.

- Ty chodź za tymi wariatami, to się doigrasz - mama była wyraźnie niezadowolona.

- Ale przecież była całkiem normalna. Chcemy jej zanieść nasiona i sadzonki. Czy mogę wyrwać z ogródka trochę astrów i lewkonii? A może wezmę jakieś jedzenie?

- No już dobrze, weź, co chcesz, ale uważajcie, bo możecie od niej obebrać, jak jej się coś nie spodoba. Czasem jest niebezpieczna.

Nic sobie nie robiłam z przestróg mamy i wkrótce maszerowałam z koleżanką za rzekę, na pole Stasi. W pierwszej chwili przyglądała nam się podejrzliwie, ale gdy zobaczyła nasze dary, rozpromieniła się. Zaczęłyśmy zgodnie sadzić przyniesione roślinki.

Wydawało się, że nic nie zakłóci spokoju tego pięknego majowego dnia. I wtedy, gdzieś daleko, spod lasu dobiegł nas odgłos wystrzałów, zapewne z myśliwskiej broni. Stasia wyprostowała się nagle i czujnie nadłuchiwała. Gwałtownie zmieniał się wyraz jej twarzy, pojawił się na niej dziki, obłąkany grymas. Gdy powtórzył się wyraźniejszy odgłos wystrzału, z jej gardła wydobyło się rozpaczliwe wycie. Z trudem dotarły do nas słowa.

- Morduuuuuj! Morduuuuuj!

Obserwowałyśmy to wszystko z przerażeniem, ale gdy wzrok obłąkanej zatrzymał się na nas, rzuciłyśmy się zgodnie do ucieczki. Czas był najwyższy. Stasia chwyciła motykę i popędziła za nami. Na szczęście zatrzymał ją popłoch, jaki wybuchł wśród zwierząt. Pędziły jak oszalałe za swoją panią, wszczynając nieopisany hałas.

Zatrzymałyśmy się dopiero przy moście, zziębnięte, z mocno bijącymi sercami, nie tyle ze zmęczenia, co z okropnego przerażenia. Z daleka widać było szaloną, jak wygraża motyką niewidzialnemu wrogowi.

Po tej historii już nigdy nie odważyłyśmy się odwiedzić Stasi a jej działkę obchodziliśmy szerokim łukiem. Jednak tak długo męczyłam babcię, aż opowiedziała mi o dramacie nieszczęśliwej kobiety. W czasie okupacji jej mąż ukrywał w ziemiance w polu żydowską rodzinę swojego kolegi. Przed wojną jedną trzecią część mieszkańców naszego miasteczka stanowili Żydzi. Wkrótce po wkroczeniu Niemców prawie wszystkich wywieziono w nieznanym kierunku, ale nieliczni ukrywali się jeszcze długo w okolicznych lasach i ziemiankach zamaskowanych zaroślami nad Wartą.

- Musiał ktoś donieść na Stefana, bo żandarmi z patrolem niemieckim przysłanym z powiatu przyczaili się o świcie nad Wartą. Wyśledzili go, jak niósł jedzenie i schwycili wszystkich. Tę żydowską rodzinę rozstrzelali na miejscu a Stefana zawlekli do domu. Wyciągnęli na podwórko jego matkę i ra-

zem ich zastrzelili. Stasia pracowała wtedy w Częstochowie w sklepie kuzyna i przyjeżdżała tylko na niedzielę. Na pewno też by zginęła, ale może tak byłoby dla niej lepiej. To od tamtej chwili pomieszało jej się w głowie. Wszystko z tej rozpacz, przecież byli świeżo po ślubie, zakochani. Szkoda jej, bo była dobrą nauczycielką, ale niejednego zniszczyła ta wojna. Nie daj Boże, dziecko, przeżywać takie okropności.

Babcia zakończyła ze smutkiem swoją opowieść i zamyśliła się a mnie ogarnęło współczucie dla Stasi i w duchu wybaczyłam jej chwilę naszego przeżycia.

Wanda Kantecka



Pieśń o Rolandzie

Kwerenda

Właściwie nazywał się Jan Walesko Miotk. Mało kto we wsi znał Go pod takimi imionami, mówili mu po prostu Roland, ale nie każdemu na to pozwalał. Tak mogli się do Niego odzywać jedynie najbliżsi, sąsiedzi i ksiądz proboszcz. Był człowiekiem bardzo szanowanym we wsi i tylko ignorant mógł popełnić gafę, nazywając go Rolandem. Więc dla ostrożności tytułowali Go ze zwykłym szacunkiem - Panie Janie ! - lub - Panie Miotk !

Janów na Kaszubach było i jest pełno, a Miotków chyba mniej, ale Walesko? W Luzinie i okolicach forma żeńska tego imienia, czyli Waleska, występuje do dzisiaj, choć trzeba przyznać - dość sporadycznie.

Więc skąd się wziął ów Roland? Dorosłe pokrewieństwo już pomarło, a młodzi nie potrafili mi na to pytanie odpowiedzieć. Więc, aby łatwiej odróżnić Miotka od Miotka lub Dampca od Dampca w tej samej wsi, nadawano im po prostu ragadła, czyli przezwiska. Innych Rolandów w Luzinie nie było.

Słyszałem o Nim, że pochodził, gdzieś spod Łębna, prawdopodobnie z Różnego Dębu, małej osady położonej na południu powiatu wejherowskiego, graniczącej z powiatem kartuskim. Był bardzo blisko spokrewniony z Antonim Miotkiem, kupcem z Pucka, znanym działaczem niepodległościowym i społecznym, w jednym z głównych twórców i organizatorów powitania generała Józefa Hallera i zaślubin Polski z morzem w tym mieście, 10 lutego 1920 roku. Był również spokrewniony z Pawłem Michałem Miotkiem z Luzina - poetą kaszubskim.

Dowiedziałem się o nim również, że był jeńcem wojennym i przebywał na Syberii, gdzie pracował przy wyrębie drewna. Z pierwszej wojny światowej wrócił na koniu i zaraz po powrocie zatrudnił się w Nadleśnictwie Góra pracował przy zrywce drewna w lesie. Po kilku latach pracy w lesie zarobił tyle, że był w stanie zakupić dwa i pół hektara ziemi od młynarza Jana Kotłowskiego w Luzinie, przy obecnej ulicy Kościelnej, tuż obok karczmy Reinholza, brata organisty ks. Machalewskiego. Karczmę później ofiarował krewnemu Wiktorowi Miotk, sobie wystawił dom mieszkalny i zabudowania gospodarcze. Ożenił się z Anną Kiedrowską z Mścisiewicz, z powiatu kartuskiego. Byli małżeństwem bezdzietnym. Miotkowie przysposobili do rodziny swoją chrześniaczkę Helenę - córkę Wiktora Miotki, której zresztą zapisali swoje gospodarstwo Po

jakimś czasie adoptowali spoza rodziny niejakiego Pawła, któremu po uzyskaniu pełnoletniości zakupili ośmiohektarowe gospodarstwo rolne w pobliskim Barłominie. Niestety, Paweł zginął w pierwszych dniach września 1939 roku podczas Obrony Kępy Oksywskiej i to pod samym dowództwem pułkownika Dąbka.

Rodzice Heleny zginęli w wypadku samochodowym, w pierwszą niedzielę adwentu 1927 roku. Zanim Helena osiągnęła pełnoletniość, Roland gospodarzył na swoim jak gbur pełną gębą - tak o nim tu mówiono. Chrześcianka wyszła za Jana Langego, a nasz bohater doczekał się aż pięcioro wnuków - Ankę, Zosię, Jasia, Elę i Wiesia.

Autopsja

Prawie jak każdy dorosły mężczyzna we wsi, był strażakiem Ochotniczej Straży Pożarnej w Luzinie. Straż mieściła się w dawnej kuźni dworskiej, na rogu ulic Kościelnej i Starowiejskiej, na obecnej działce Pana Ryszarda Kryży. W sezonie letnim odbywały się dwa razy w tygodniu praktyczne ćwiczenia, które zawsze kończyły się musztrą, by potem pododdziałem w sile plutonu, maszerować dookoła podwórka, śpiewając przy tym patriotyczne pieśni. Na każde ćwiczenia, w sześciu chłopów nosili motopompę z remizy aż pod staw dworski i stamtąd, na sygnał wyznaczony ręczną syreną, trzy sekcje rozciągały w trzech różnych kierunkach swoje węże podłączone pod motopompę. Byłem jednym z wielu gapiów, usadowionym na dachu naszego szurka lub zdezelowanej konnej cysterny. Emocje były jak na meczu piłkarskim.

Gdy motopompa zaczęła już wyć na pełnych obrotach, to my, niby sędziowie obserwowaliśmy, z której sikawki popłynie pierwszy strumień wody. Głośne huraaaa ! - i już było wiadomo, która z sekcji wygrała ten emocjonujący nas wszystkich, zacięty mecz. Zwyczajowo, mistrzowie ćwiczeń oblewali przegranych wodą, dopóty tamci nie osiągnęli stanu bojowości. Wówczas komendant Leon Sirocki wydawał rozkaz wyłączenia pompy. Za komendantem, w mundurze strażackim, siedział przeważnie na swojej furmance nie kto inny jak sam Roland. Tak do niego się wtedy strażacy zwracali, trzymał mocno w ryzach dwa czarne konie. Był zdecydowanie starszym wiekiem od pozostałych strażaków. Zastanawialiśmy się zawsze - po co On z tymi końmi przyjeżdża na ćwiczenia - nie biorąc w nich praktycznego udziału. Okazało się jednak, że się myliliśmy. Kiedy samochód strażacki, ciężarowy Star-20 był w remoncie to Pan Walesko był wraz ze swoimi końmi i furmanką, zawsze w gotowości bojowej. Straż już nie miała ręcznej sikawki, a motopompę trzeba było bardzo szybko przewieźć furmanką lub zdezelowanym Starem, na miejsce pożaru. Poznałem ich wszystkich z nazwiska i imienia, a miałem wtedy sześć-siedem lat, ale to była ich cała moja znajomość.

Kiedy w pierwszej klasie zostałem ministrantem, spotkałem się pierwszy raz oko w oko z panem Miotkiem. Przed każdą sumą siedział na ławce

w zakrystii, przeznaczonej dla członków Rady Parafialnej. Później dowiedziałem się, że był gburem pełną gębą. Nie chcę w tym miejscu nikogo z luzińskich gburów obrażać, ale uczciwie przyznać należy, że para czarnych, jak smoła koni Rolanda wyróżniała się na tle innych we wsi.

Pamiętam dobrze zimę z lat 1952/1953. Śniegu nasypało po pas, a mrozy w lutym dochodziły nocami do minus trzydzieści stopni Celsjusza. Pojechałem z księdzem dziekanem Sumińskim na kolędę do Ustarbowa, które obecnie przynależy do parafii Gowino. Na każdą kolędę, gdzieżby ona nie była, ksiądz proboszcz zawsze wychodził z plebani punktualnie o godzinie czternastej. Zaszedłem wtedy, tamtego dnia pod plebanię prawie kwadrans przed, a tuż po mnie, saniami pod plebanię nie zajechał nikt inny, jak sam Jan Waleśko Miotk. Był zapobiegliwy. Na tylnym siedzeniu leżały dwie skóry baranie i dosyć okazały pęk słomy. U siebie na koźle, nakrył swoje kolana grubą skórą, a głowę nakrył letnim kapeluszem. Nie pamiętam już u kogo było zakończenie kolędy w Ustarbowie, ale pamiętam, że trafić tam było bardzo trudno. We wsi były tylko polne drogi, wszystko było zawiane po pas. Pługi wtedy nie kursowały, a uroczyste zakończenie kolędy miało miejsce, gdzieś daleko za wsią. Miotk, niby to się orientował dokąd jechać, ale ze względu na zawiane i niewidoczne drogi, postanowił pojechać na skrót. Było gdzieś około dwudziestej drugiej, niebo się iskrzyło, a siarczysty mróz dawał się we znaki. W pewnej chwili usłyszeliśmy wyraźnie jak lód trzeszczy i pęka pod nami. Roland natychmiast zerwał się z koźla na nogi, z całej siły świsnął batem nad końmi, a te z kolei tak szarpnęły saniami, że cudem z ks. dziekanem z nich nie wypadliśmy.

- Niech diabła szlag trafi ! - zaklął Miotk.

- Przestań kląć ! - huknął na niego dziekan.

Roland przez cały czas mocno ścisnął lejce w dłoniach i po chwili ponownie, siarczyste zaklął, usiadł na koźle i po długiej chwili odpowiedział dziekanowi.

- Nie wiem, kto nam pomógł, Pan Bóg, czy purtk, ale wesoło z nami nie było. Proboszcz przemilczał to bluźnierstwo, chyba z tego względu na to, że w tej samej chwili ukazały się domostwa gospodarzy, a przed nimi sami właściciele i zaproszeni goście.

Jako mały chłopak, chyba nie zdawałem sobie sprawy z powagi i grozy zaistniałej przed chwilą sytuacji, gdyż zapytałem furmana z głupia frant:

- Dlaczego Pan nie uderzył batem koni, a jedynie tym batem nad nimi świsnął ? Proboszcz zaczął się śmiać, a Roland długo milczał, zanim mi odpowiedział tymi słowami:

- Synku! Zapamiętaj sobie raz na całe życie, że człowieka można uderzyć, jeśli na to zasłużył i ja to uczynię z wielką ochotą, ale konia mój synku, nie bije się nigdy, bo koń nie myśli, a człowiek zdaje sobie doskonale sprawę z swoich poczynań.

W tamtych czasach kolęda mogła trwać jedynie do północy, gdyż ksiądz po północy musiał zachować wszelką abstynencję, do pierwszej mszy świętej. No i jak to miał w zwyczaju ks. dziekan Sumiński, punktualnie o północy wstawał od stołu uczujących i po wspólnej modlitwie żegnał się z gospodarzami i zaproszonymi gośćmi.

Ustarbowo było wtedy najdalej oddaloną wsią od kościoła. Droga do Luzina była daleka, kilkanaście kilometrów saniami, w rytm dość głośnych monotonnych dzwonków, a mi nie pozostało nic innego, jak obserwowanie gwiazdzistego nieba, które lśniło tak przejrzysto, że aż prosiło się, aby na nim układać wirtualne figury, bo wtedy nie znałem jeszcze nazw planet, gwiazd i gwiazdozbiorów. Byłoby idealnie; gwiazdziste niebo, żadnego wiatru, pełna cisza wokoło, gdyby nie ta niska temperatura powietrza. Nie dawała nam spokoju i pierwszy nie wytrzymał Roland.

- Ne! To ju signało trzedzesce gradów! - zaczął po kaszubsku.

- Uszy Ci nie marzną? - zapytał furmana ksiądz dziekan, kociewiak urodzony w Świeciu.

- Mnie nigdy uszy nie marzną ! - odpowiedział Miotk.

- A to niby dlaczego? - zapytał proboszcz. Miotk odwrócił się na koźle i odpowiedział:

- Podczas pierwszej wojny światowej musiałem służyć w armii niemieckiej, a jak ksiądz wie, całe Kaszuby były pod zaborem. Gdzieś na Mazurach Rosjanie wzięli nas do niewoli i wywieźli nas aż za Ural, w sam środek Syberii. Pewnego dnia pracowaliśmy przy karczowaniu lasu, nie wiem ile było stopni mrozu, ale wiem jedno, kiedy tego dnia przyszedliśmy do baraku, moje uszy spuchły mi do wielkości jabłek. Wcale nie czułem bólu, pamiętam jedynie, że nie kazano nam uszu nacierać i to wszystko. Opuchlizna po kilku dniach zeszała, ale moje małżowiny stały się dla mnie drętwe. Podczas dotykania ich nie czułem po prostu nic. Podczas mrozów zakazano nam je nacierać. Nie czując bólu, łatwo można podczas mrozów zwyczajnie ucho odłamać. Dlatego chodzę w kapeluszu, bo przy innych czapkach musiałbym czasami ucho nagiąć, a co by z tego wynikło, tego nie wiem ?

- To znaczy, że gdybym teraz uderzył Cię w ucho, to ono odpadnie, a Ty nie będziesz czuł żadnego bólu? - zapytał ks. Sumiński.

- Dokładnie tak! - odpowiedział Miotk.

Ze względu na siarczasty mróz, do plebani w Luzinie nikt się już się nie odezwał.

Moi rówieśnicy i starsi wiedzą, że zaraz po zakończeniu drugiej wojny światowej, na terenie Polski panowała niesamowita bieda. Moja rodzina żyła w tym czasie, w dość szczególnych warunkach. Ojciec mój z zawodu nauczyciel, jako sekretarz Sądu Grodzkiego w Wejherowie zmarł w styczniu 1945 roku. Renta po ojcu mamie się nie należała, ponieważ zmarł on jako urzędnik sa-

nacyjny o dwa miesiące za wcześniej. Mama dorabiała szyciem i gotowaniem na weselach. Była mistrzem w tych dziedzinach, ale nie zawsze starczało. Brakowało przede wszystkim na opał. Starsze rodzeństwo, podczas urlopu latem wycinało drzewa i chrust, ale na początku jesieni trzeba to było zwieźć do domu. Kto to miał zrobić i za jakie pieniądze ? Nie wiedziałem wtedy, dlaczego moja mama wysyłała mnie zawsze w takich przypadkach do Pana Miotka z zapytaniem, czy nie zechciałby przywieźć tego drzewa i chrustu z lasu. Byłem wtedy uczniem piątej klasy szkoły podstawowej i o dziwo! - nigdy mi nie odmówił. Stawiał jednak warunek, że mu sam w tym całym przedsięwzięciu pomogę, ze względu na wiek, nie jest w stanie sam podjąć się tego zadania. Oczywiście, bardzo chętnie na to przystawałem. W lesie jednak cała moja robota polegała na tym, że trzymałem lejce koni i od kupy do kupy drewna nimi powoziłem i to tak, że Pan Miotk często musiał dosyć ostro reagować, ale nigdy nie zwrócił mi uwagi. Wszystko układał sam na wozie i harował jak wół, ale po pracy podał mi rękę i dziękował za współpracę.

- Panie Miotk! Mama się pyta, ile to wszystko kosztuje? - zapytałem dumnie. Podniósł kapelusz i tą samą ręką podrapał się po spoconej głowie.

- No ile to może kosztować? - zapytał sam siebie.

- Aha! Ty mi przecież pomagałeś - powiedział po chwili.

- No, to ile mam wziąć pieniędzy? - pytał sam siebie.

- Już wiem! Cały czas mi pomagałeś, więc to nie może tak dużo kosztować. Spojrzał mi w oczy, podał rękę i dość podniesionym głosem zapytał:

- Ile masz lat?

- Jedenaście! - odpowiedziałem .

- Hmm? Jedenaście powiadasz. To za siedem lat już będziesz dorosłym, a ja będę już staruszką i wtedy przyjdiesz mi ten jeden dzień odrobić i będziemy kwita.

Kiedy odjechał, szybko pobiegłem do mamy pochwalić się takim korzystnym obrotem sprawy, że nie musi nic płacić, bo bądź co bądź, sam swoją pracą, własnymi rękoma odrobiłem. Moja naiwność trwała na szczęście krótko.

Epilog

Było to zaledwie sześć lat po II wojnie światowej. Nie tylko ja byłem pólsierotą i nie tylko moja mama była wdową, ale zanim dorosłem dowiedziałem się, że Roland nie tylko nam jeździł po drzewo do lasu. Dowiedziałem się prawdy oczywiście, że od żadnej wdowy w Luzinie nie brał nigdy nawet złamanego grosza.

W 1924 roku, na swojej działce, tuż przy drodze ufundował przydrożny krzyż. Urodził się 10 maja 1885 roku, a zmarł 1 maja 1963 roku i pochowany został na miejscowym cmentarzu parafialnym Luzinie. Nie wiem, czy

wcześniej lubinianie widzieli takie tłumy na pogrzebie. Uczestniczyłem w nim osobiście i podczas ceremonii pogrzebowej zadałem sobie pytania:

- Jak wielkim musiał być człowiekiem ? Skąd u Niego, po tylu przejściach znalazło się, aż tyle dobra?

Nie dane mi było odrobić tej dniówki z lasu, zanim dorosłem. On wcześniej przepisał swoje gospodarstwo córce i zięciowi. Może tym wspomnieniem o Nim jakoś zrekompensuje ten dług i będziemy kwita!

Feliks Sikora



Trzech panów z jedną nogą

I

Chicagowski listonosz zadzwonił dwa razy. Jak to czynił zawsze od kiedy zobaczył durny film z Nicholsonem i Jessicą Lang. John żwawo pokuśtykał do drzwi z nadzieją, że być może nadszedł dzień, na który czekał od dawna. Jednak z nową protezą chodzenie szło mu mniej sprawnie, niż z kulami, więc już w przedbiegach dał się wyprzedzić synowi. Ale w końcu chłopak miał dwie zdrowe nogi.

Nim John przemierzył holl, dzieciak otworzył drzwi. A za drzwiami uśmiechał się zziębnięty posłaniec trzymający na zgiętym ramieniu podłużną, dość długą paczką.

- Cześć, Luck. Tata w domu?

- Ja to wezmę. Tata odpoczywa.

- To przesyłka kurierska z potwierdzeniem zwrotnym. Pewnie jakaś ważna, więc mogę ją oddać tylko komuś dorosłemu.

- O kurde... - zmartwił się chłopiec. - A może pan przynieść ją za dziesięć lat?

Nim listonosz odpowiedział, John dotarł do drzwi, wepchnął się przed syna i wpił pożądlivy wzrok w paczkę.

- Hej Harry. Skąd to?

- Witaj, John. Z Gotham. Od jakiegoś... - posłaniec zerknął na list przewozowy - ... Harrisona.

Na dźwięk nazwiska John zbladł i lekko się zachwiał. By nie stracić równowagi wsparł się o framugę ciężko dysząc. Mroźne powietrze zamieniało każdy jego oddech w smużkę pary. „Dymią” niczym mały parowóz, co nie uszło uwagi listonosza. Ten zaniepokoił się.

- Dobrze się czujesz?

- Nie... To jest, jeszcze... nie przywykłem do protezy.

- Lepsza sztuczna noga, niż żadna - listonosz odruchowo spojrzął na nogi rozmówcy. - Jak się sprawuje?

- Daję sobie radę - John wolał nie wdawać się w rozmowę. Szybko pokwitował list przewozowy i sięgnął na półeczkę nad drzwiami, gdzie od kilku miesięcy ukrywał zwinięty banknot. Harry, zobaczywszy nominał, rozpromienił się.

- Wow! Dycha! To chyba ważna przesyłka, co?

- W pewnym sensie. Dług honorowy - John odebrał paczkę, skinął lis-

tonoszowi na pożegnanie i ruszył do piwnicy. A wokół kulejącego mężczyzny podskakiwał rozemocjonowany chłopiec, pokrzykując:

- Tata, tata, co to jest!?! To dla mnie!?! Zamówiłeś u Mikołaja? Pokaż!

- To paczka dla mnie. Dla dorosłych - John dotarł do schodów wiodących w dół.

- Jak mi nie pokażesz, to powiem mamie, że dostajesz paczki dla dorosłych - usłyszał za plecami głos syna. Odwrócił się z groźnym grymasem i zagroził: - Jak coś piśniesz, to w święto rozpalę taki ogień w palenisku, że Mikołaj usmaży sobie dupę wążąc kominem. A jak będzie chciał wleźć innym wejściem, to zastrzelę drania!

Jon pozostawił zaszokowanego potomka w holu. Zszedł do piwnicy, dokładnie zaryglował drzwi i szczelnie pozastłaniał wszystkie okienka, aby nikt z dworu nie mógł podejrzeć, co wyprawia. Położywszy paczkę na stoliku roboczym zastanawiał się przez chwilę, czy ma ją otworzyć. Jednak ciekawość przeważała. Ostrożnie ściągnął wierzchni papier, pod którym ukazała się gruba folia, kilkoma warstwami spowijająca plastikowy pojemnik. Nim go odwinął w jego nozdrza uderzyła nieprzyjemna woń gnijącego mięsa. Nie odstręczyło go to, a wręcz przeciwnie, ucieszyło. Na twarzy mężczyzny wykwitł radosny uśmiech, jakby poczuł podniecające i drogie damskie perfumy.

W końcu otworzył pojemnik i wyjął z niego ludzką nogę. Prawdziwą. Lekko nieświeżą, zsiniałą, odciętą jakieś 20 cm powyżej kolana. Lewą i bez wątplenia męską - sądząc po okazałych gabarytach i owłosieniu. Oznaczoną pod kolanem blizną w kształcie krzyża, wyglądającą jak ślad po chirurgicznym nacięciu. Z miejsca, gdzie się noga nieoczekiwanie kończyła wystawał kawałek kości udowej i strzępy mięśni, gdyż tkanka tłuszczowa zdążyła lekko zwiotnąć po amputacji.

- Sukinsyn! Wiedziałem, że nie zawiedzie! - powiedział Jon i roześmiał się. Zsunął spodnie obnażając własne nogi - prawą naturalną i lewą sztuczną, po czym przyłożył przesłaną kończynę do protezy. Proteza była ciut krótsza.

- Honorowy sukinsyn! - znów się roześmiał. Schował nogę do zamrażarki, a gdy zamarzała na kość, zapakował na powrót i przesłał ekspresem do Los Angeles.

Nim nietypowa przesyłka trafiła do adresata, przeleżała kilka dni na poczcie - adresat zafundował rodzinie święta na Hawajach. Mimo szczelnego opakowania procesy gnilne okazały się silniejsze od folii i plastyku. I od czasu do czasu przy złej cyrkulacji powietrza po urzędzie rozchodził się lekki smród. Pracownikom poczty nie udało się ustalić jego źródła, więc zaczęli podejrzewać się nawzajem o „naturalne” podtruwanie atmosfery. W równą dezorientację popadły muchy, krążące tłumnie pod sufitem, niuchające za źródłem zapachu. Z tego powodu większość z nich padła ofiarą muchozolu.

Dzień po świętach po przesyłkę zgłosił się Paul, bogaty prawnik z Beverly. Przyjechał do urzędu jak tylko znalazł w skrzynce awizo. Czyli zaraz po powrocie z lotniska, bo nawet nie zdążył zmienić obciachowej, hawajskiej koszuli. Co ciekawe, choć wyglądał na ęcznikowy okaz zdrowia, zaparkował na miejscu dla inwalidy. Powróciwszy z paczką do ... właściwie to do luksusowej rezydencji, przedsięwziął podobne środki ostrożności, co John. I z równą radością, co poprzednik, odpakował nogę.

Troszkę się zmieniła w ciągu ostatnich dni. Urosły jej paznokcie i nabrała intensywniejszych kolorów. Stopa zsiniała bardziej, a paluchy wręcz szczeniały. Skórę łydki pokryły rozległe, rdzawe plamy i krosty, za to fragment udowy zzieleniał. I gnął szybciej, od , bo z krawędzi amputacji sączył się brunatny płyn.

Oznaki rozkładu nie zniechęciły Paula. Sprawdził znamię pod kolanem odciętej kończyny i przyrównał jej długość do swojej protezy. Też bowiem nie miał lewej nogi. Chociaż postronny obserwator nie dopatrzyłby się u niego kalectwa, gdyż prawnika stać było na protezę najnowszej generacji. Pokrytą sztuczną skórą i wyposażoną w elektroniczny system wspomagający chodzenie.

- No to dług honorowy został spłacony - mruknął Paul po czym cisnął gnijącą kończynę do kominka. I pełen szczęścia patrzył, jak skwierczy i czernieje w płomieniach.

- Robieś w domu barbecuie? - zdziwiła się po powrocie z zakupów żona prawnika. Mimo, iż upłynęły trzy godziny a klimatyzacja działała sprawnie, w salonie nadal unosił się swąd spalonego mięsa.

- Chciałem ci przygotować kolację niespodziankę, ale wiesz, jakim jestem kiepskim kucharzem. Steki się nazbyt wysmażyły - wyjaśnił Paul.

- Jak nazbyt?

- Tak, że nawet nasz pies nie chciał ich zeżreć. Nie mam wyjścia, muszę cię zaprosić do naszego ulubionego lokalu.

- Ach, ty mój dzielny Robinsonie... Tylko się przebiorę - kobieta pogłaskała męża po twarzy i pobiegła do garderoby. I zmieniła garsonkę za 1200 dolarów na taką za 2700. Ale kto bogatemu zabroni?

Taki był koniec tej historii. Choć może nie powinienem zaczynać opowieści od końca. Cofnijmy się więc w czasie, by poznać kilka faktów, które wydarzyły się kilka tygodni wcześniej...

II

Dr George z Nowego Yorku zmienił się od czasu powrotu z morza. Sposepniał, przestał się odzywać, a jeśli już musiał, to robił to półgębkiem. Z rubasznego podrywacza stał ę markotnym odludkiem. Zatracił poczucie humoru, przestał oglądać rozgrywki NBA, co najdziwniejsze, przestał uganiać się za pielęgniarkami. Często myślami błądził daleko poza ciałem, a przywoływany

nagle do rzeczywistości dostawał nerwowych tików i rozglądał się trwożliwie, jakby groziło mu niebezpieczeństwo. Szczególnie nie lubił, gdy dotykano go w nogę. Obojętnie którą. Nie znosił też pytań o zdrowie. Na zagajenia w stylu „Jak się pan czuje, doktoru?“, „Jak zdrowko, doktoru?“ odpowiadał „Wsadźcie sobie w dupę te uprzejmości!“. No chyba że nie miał humoru, to wtedy robił się naprawdę niegrzeczny. I nikomu nie opowiadał, co wydarzyło się podczas jego przedłużonej nieobecności.

Współpracownicy ze szpitala zauważyli też inne, niepokojące objawy. George był świetnym ortopedą, stawiał trafne diagnozy przed operacją i miał pewną rękę w czasie. Normalne, że ludzka kończyna była w centrum jego uwagi. Ale zainteresowanie męskimi nogami, jakie ostatnio zaczął wykazywać, niemal ocierało się o fetyszizm. George chodził po łach, nie proszony o konsultację sprawdzał nogi hospitalizowanym, mierzył ich długość i obwód. Niemal codziennie zaglądał do prosektorium i oglądał kończyny nieboszczyków przywożonych tu z całego miasta.

- To do celów naukowych. Piszę pracę. No normalnie na Nobla - odpowiadał na wścibskie pytania, po co to robi. Średni personel medyczny brał te wyjaśnienia na poważnie. Ale doświadczeni lekarze mocno w nie powątpiewali. Widzieli, że George nie zleca badań patomorfologicznych, nie prowadzi kartoteki obserwacji, nie interesują go zdjęcia rentgenowskie kończyn, nie przeprowadza z pacjentami wywiadów. Choć to mogłoby być utrudnione, gdyż ortopeda oglądał i mierzył nogi tylko tych pacjentów, których zgon był kwestią czasu. Jakby zadawała go samo oglądanie i dotykanie męskich nóg... A mimo to - sądząc po minie George'a, na zadowolonego nie wyglądał. Ale dopóki porządnie wykonywał obowiązki, innym nie przeszkadzały jego dziwactwa.

Nadszedł jednak dzień, gdy zdenerwował dr Mike'a, szefa intensywnej terapii. Nowa pielęgniarka, nie wciągnięta jeszcze w zakładowe realia i układy poinformowała go, że „ten dziwny lekarz z ortopedii pociął skalpelem nogę jednemu z pacjentów“. Zdrowo przesadziła, bo jak Mike sprawdził, dokonano pod kolanem hospitalizowanego tylko dwóch drobnych, krzyżujących się nacięć. Pacjentowi pewnie to nie przeszkadzało, gdyż w czasie wypadku motocyklowego jego potylicza zamieniła się w kostne puzzle i przy życiu podtrzymywały go tylko cienkie rurki respiratora. Lecz ordynator zdrowo zrugął George'a, zabronił mu przychodzić na oddział i powiadomił o całej sprawie administratora szpitala. Ten także opieprzył ortopedę, zabronił mu jakichkolwiek badań naukowych o ile nie obejmie ich patronat medycznego instytutu lub uczelni. I zatuszował sprawę, bo był dobrym kolegą George'a.

Ku zdziwieniu wszystkich ta drobna awantura wywarła zbawienny wpływ na ortopedę. Jego maniactwa skończyły się jakby nożem, to znaczy... skalpelem uciął. Odzyskał humor i stał się duszą towarzystwa. Kończyny mężczyzn interesowały go o tyle, o ile miało to wiązek z jego pracą, a jedyne nogi,

które budziły w nim większe emocje, należały do zgrabnych pielęgniarek. Ale to wszyscy uważali za normalne...

Nikt tylko nie skojarzył, że humor Georgowi powrócił ze śmiercią naznaczonego przezeń pacjenta. Zapewne jego znajomi zdziwiliby bardziej, wiedząc, że ich „wesoły George” dwa dni po śmierci pacjenta włamał się nocą do zakładu pogrzebowego i odciął zmarłemu lewą nogę. Jakieś 25 cm powyżej kolana. Wpierw oczywiście sprawdziwszy, czy znamię w kształcie krzyża dobrze się zabił. Właściwie to odciął wtedy dwie nogi. Jedną wsadził w plastikowy pojemnik i wysłał kurierem do Chicago. Drugą amputował innemu nieboszczykowi, jakiemuś bezdomnemu czekającemu w drewnianej skrzyneczce na kremację (na koszt miasta). I nogę bezdomnego przyszył lekko pierwszemu nieboszczykowi, tak, że po odzianiu wyglądał akuratnie. Nawet bliscy zmarłego w czasie ceremonii pogrzebowej stwierdzili, że „świetnie wygląda. Szkoda tylko, że nie żyje”.

I teraz wiecie już wszystko. A może nie? To lepiej już opowiem tą historię od samego początku.

III

Na początku była ciemność. I pewnego lipcowego dnia w ciemność tą wpłynął wielki, żółty jacht, na którego pokładzie kilkunastoosobowe grono klientów renomowanej firmy ubezpieczeniowej bawiło się najlepsze. Morski weekend wygrali w losowaniu dla klientów, więc póki mieli darmowy alkohol, pogarszające się warunki pogodowe im nie przeszkadzały. Niektórych kołysanie jachtu inspirowało nawet do erotycznych zabaw w zaciszu przytulnych kajut. Atmosferę jedynie psuły osoby nie mogące pić i jeść, i figlować, a nawet rozmawiać. Lecz kapitan, mimo narzekań niezadowolonych desperatów, kontynuował rejs. Aż do poranka, kiedy jego kurs przecięła dryfująca łódź rybacka. Gdy ją spostrzegł, było za późno na manewr wymijania. Mimo to kapitan spróbował go wykonać i całym rozpędem uderzył lewą burzą w przeszkodę. Kto wie, czy poszycia nie spawali Chińczycy, bo wielki jacht poszedł na dno tak szybko, jak żółta łódź podwodna. Kto potrafił utrzymać się na powierzchni wody, został porwany przez wzburzone fale, kto nie potrafił, podzielił los jachtu.

Powyższy splot okoliczności sprawił, że na niewielkiej skale zagubionej pośrodku oceanu znalazła się czwórka byłych pasażerów - John, Paul, George i Ringo. Inżynier z Chicago, prawnik z Los Angeles, lekarz z Nowego Yorku i ulubiony spaniel żony prezesa firmy ubezpieczeniowej - organizatora rejsu. Z jakiego miasta? Nie wiadomo, nie przyznał się. Z katastrofy wyszli cało, ale ich los był godny pożałowania. Ocalili ze sobą rzeczy niezbyt potrzebne rozbitkom: talię plastikowych kart, zapalniczkę firmową przybornik chirurgiczny w neseserze i obrożę przeciwpchelną

Skąła, na którą rzuciły ich fale, okazała się wierzchołkiem zatopionej góry o stokach stromo opadających w głębinę, bez przybrzeżnej niszy ekologicznej w której pieniałyby się żyjątka zdatne do spożycia. Naga, usłana wyschniętymi wodorostami, nie oferowała ani schronienia, ani pożywienia. Może w opływających ją wodach roiło się od ryb, ale rekiny ślące wokół skały regularne kółka zniechęcały do opuszczania tej mizernej namiastki lądu. chociaż, że o poranku w zagłębieniach skały skraplała się rosa, tak więc śmierć z pragnienia im nie groziła.

Biedny Ringo. Poszedł na pierwszy ogień. Dosłownie. Smakował jak królik uwędzony w kwaśnym dymie z wodorostów. Niestety, mimo podzielenia go na skromne porcje wystarczył na tydzień. Przez kolejne dni rozbitkowie wyjedli wszystkie małże przyczepione do skały, kraby, które nieostrożnie wspięły się na brzeg i mewę, prawowitego mieszkańca wysepki.

Siedemnastego dnia Paul sięgnął po karty.

- Pokerek? - zaproponował.

- A o co mamy grać? - zdziwił się George.

- Może o najważniejsze?

- Porąbało cię? Chcesz, abyśmy pozjadali się nawzajem? - oburzył się John. Jemu głód doskwierał najmocniej. Od kilku dni niemal nie ruszał się z miejsca i jedynie zlizywał ze skały kałuże wilgoci. Ale sprowokowany pytaniem przerwał swoje ulubione zajęcie.

- Zwykle stawiać sprawę jasno. To nieuniknione. Prędzej czy później popadniemy z głodu w obłąd i pomordujemy się nawzajem. Chyba, że któryś umrze z wycieńczenia, to pozostali i tak go zjedzą. Moje rozwiązanie pozwoli nam uniknąć nieodwracalnych następstw głodu i amoku.

- Cholerni prawnicy. Może od razu wytypujemy ciebie? - obruszył się John.

- Chciałbyś, co? Sam ledwie zipiesz. Jeszcze dwa dni i będziesz się nadawał tylko na karmę. Chłopaki, no co wy? Poświęcenie jednego z nas nie przedłuży pozostałym życia. Na każdym z nas jest około 60 kg mięsa, tłuszczu i innych organów nadających się do konsumpcji. Zdążymy zjeść dwa, trzy kilo, a reszta się popsuje. Trupi jad zabije jedzących - George wykazał się logiką i pewną wiedzą medyczną.

- No to dupa zimna! - Paul usiadł i automatycznie zaczął tasować karty. Godzinę za godziną. I coraz łakomiej spoglądał na Johna. Ciszę pełną napięcia przerwał George.

- Nie musimy poświęcać wszystkiego. Mamy sporo kończyn, bez których - przy dzisiejszym stanie techniki, możemy się obejść.

- Proponujesz kebab a la soute?

- No nie - lekarz odruchowo zasłonił genitalia. - Myślałem o nodze i ręce. W sumie każdy z nas może poświęcić po trzy kończyny. Zapewni to nam przetrwanie przynajmniej przez dziewięć, dziesięć tygodni.

Akceptacja pomysłu zajęła rozbitkom zaledwie pięć minut, lecz ustalenie kolejności amputacji - pięć godzin. W końcu mężczyźni uznali, że Georgowi przypadnie trzecia kolejność. Wcześniej miał przekazać kompanom tajniki postępowania się lancetem i piłą ortopedyczną. Zaś o to, kto pierwszy trafi pod nóż, Paul i John zagrali w karty. I choć obaj oszukiwali ponad miarę, John przegrał.

Mimo skandalicznych warunków amputacja lewej kończyny Johna przebiegła szybko i sprawnie. Tylko środki bólowe okazały się zbyt słabe, bo gdy George przecinał kość udową, ocknął się i zaczął przeraźliwie krzyżeć. Na szczęście był solidnie skrepowany, a zresztą zaraz stracił z bólu przytomność. Po kwadransie lekarz przypalał ogniem przecięte naczynia krwionośne, a pogwizdujący wesołą melodię Paul wykrawał z amputowanej kończyny porcje mięsa na steki.

John był postawnym mężczyzną, więc jego noga wystarczyła na wiele dni. Lecz po dwóch tygodniach sytuacja się powtórzyła. Tyle że rozbitkom przypadły nieco inne role. Tym to Paul wył z bólu, John ciął (pod pełną kontrolą lekarza), a George smażył. W końcu przyszła pora na lekarza. Już zdążył się pomodlić, już przekazał ostatnie wskazówki towarzyszom, jak winni zachować się w trakcie operacji, już dymyły rozpalone wodorosty, na horyzoncie pojawił się statek. Pojawił się i płynął w stronę skały, zwabiony dymem.

Rozbitków ogarnął szal radości. Wszyscy krzyżeli w niebogłoso, jeden wysoko podskakiwał i machał ramionami, dwaj podrygiwali w pozycji siedzącej i też machali rękami. Im statek był bliżej, tym niżej skakał George. Kątem oka dostrzegał, jak jego kompani tracą i jak Paul pełźnie do otwartego przybornika, by sięgnąć po lancet.

- Chłopaki, no co wy?! - zaniepokoił się na dobre.

- Bydlaku, myślisz że się wywiniesz? - zapytał Paul. A sądząc po jego wścieklej minie, było to pytanie stricte retoryczne. - Wiesz, jak mnie bolało przy cięciu? John, łap go!

Dwaj kalecy zaczęli czołgać się w stronę lekarza, próbując go oskrzydlić i zepchnąć na kraj wyspy. A George cofał się, tłumacząc rozpaczliwie i chaotycznie:

- Zaraz nas uratują. Powinniśmy się cieszyć. Dostaniecie fajne protezy. Sam wam je dobiore. No co tak na mnie patrzycie?! Nie chciałem. Nie wiedziałem, że nas uratują.

- Od początku to planowałeś! Jaki normalny człowiek wyskoczyłby z tonącego jachtu z przybornikiem chirurga?! - spytał Paul.

- Co? Ja? Waliza jest hermetycznie zamykana, posłużyła mi za pływak. Kiepsko pływam...

- A teraz będziesz kiepsko chodził! Jak wszyscy, to wszyscy!

- Właśnie - potwierdził John. - Jadłeś nas na krzywy ryj?! Myślisz że

się tanio wykupisz? Mojej nogi nie kupisz w byle knajpce z sushi.

George dotarł na skraj skały. Za sobą miał morze i rekiny, przed sobą dwóch oszalałych z wściekłości mężczyzn, zaś statek był nadal daleko. Nawet jeżeli jego załoga obserwowała skałę przez lornetkę i tak nie byłaby w stanie zapobiec samosądowi. George mógł zrobić tylko jedno.

- Chłopaki, słowo. Jak wrócimy do domu amputuję sobie nogę. Każdy z nas nie będzie miał jednej. Uczciwie, co? No co!?

Beznodzy zatrzymali się i spojrzeli po sobie.

- Chcesz nas wykiwać? Myślisz, że będziemy za tobą jeździć po całym kraju?

- Słowo honoru, że nie. Jak tylko dojdę do siebie i odzyskam dawną wagę, prześlę wam nogę. Zobaczcie - George zrobił krok ku Paulowi i ostrożnie wyciągnął rękę. - Mogę lancedzik na chwilę?

Po chwili wahania prawnik oddał ostrze. Lekarz, zaciskając zęby dwukrotnie naciął sobie nogę pod kolanem. Na krzyż.

- Widzicie?! Dobrze znacie moje nogi, a teraz tym bardziej się nie pomylicie. No co, zgoda?

- Masz pół roku. Jak nie zobaczę twojej odciętej nogi, wyślę po nią ludzi. My z LA mamy różne znajomości. Wyrwą ci ją żywcem z dupy - zagroził Paul.

- Ja wprawdzie nie mam szemranych znajomości, ale osobiście cię odnajdę i odbiorę dług - dodał od siebie John.

- Dałem słowo. Moją nogę macie jak w banku. To nadal jesteśmy kumplami? Jesteśmy, co?

Widząc oznaki akceptacji George westchnął z ulgą i wyrzucił lancet do morza. I taki był początek całej historii...

Piotr Skurzyński

Czuję Twą obecność Panie

Czuję Twą obecność Panie
- nie w murach świątyń, zimnych i wspaniałych,
Gdzie dym kadzidel i organów granie
i arcydzieła, co wieki przetrwały.

Lecz całą duszą Twą obecność czuję,
na kwietnej łące, w każdym ziół zapachu,
w locie sokoła, co w niebo szybuje,
w małej drżącej trawce i ziarenkach piachu.

I czuję Twą obecność Boże pośród lasu,
Gdzie kolumny świerkowe zda się sięgną nieba,
Ich strzelistość i grubość są jak miara czasu,
miarą potęgi i cudu jaki tworzy gleba.

I czuję Twą obecność w słońca blasku,
gdy fala szemrząc pieści piasek złoty,
a roześmiane dzieci na piasku
budują zamki, tunele i grotty.

Staję przed Tobą Panie z podniesionym czołem
Świątokradcze bluźnierstwo - czy pycha szalona?
Przecież ja także jestem Twoim tworem,
Cząstką Bożego Cudu - unoszę ramiona

Z sercem wezbranym zachwytem nad pięknem tej ziemi,
Słowa modlitwy same płyną z głębi duszy:
Dzięki Ci dobry Ojczy za każde stworzenie,
Za mądrość i piękno, co serce poruszy.

Barbara Cebulak

Obce uczucia

Gdy się obce spojrzenia spotkały
Tak odmienne i tak obce
Nie możliwe do spełnienia
Lecz możliwe do istnienia
I Poznaniu się oddały

Pierwsze z uczuć im nie znane
Drugie bliskie poznania
Poznaniu umyka
By poznać drugiego człowieka

Nie mówić nic
By powiedzieć wszystko
Słuchać by móc powiedzieć
Być by zrozumieć

By poznać drugiego
Samego siebie zapomnieć trzeba
Zapomnieć można jednak tylko to
Co naprawdę się poznało
Samotność

Aleksander Lewandowski

Rankiem

Rankiem
Twój zapach na moim ciele
jeszcze nie ostygł

leniwym rankiem
uwielbiam śnić
wspomnieniem nocy
leniwie marząc
we śnie
na jawie

twoje ciepłe dłonie
łagodnie
powoli
pływają po moim ciele
delikatnie
aby nie wzburzyć
spokojnego oceanu
moich snów

we śnie na jawie
Twój oddech
pieszczotliwie głaszczę moje włosy
a ja wciąż śnię
i myślę że tak bardzo
Cię kocham

Hanna Bemke

*Miłość
Nad wszystkim króluje,
Potrafi zmienić pustynie w oazę.*

Wieczór życia

Wiosna przybyła
świat przebudziła
w starym, wysokim pniu
stopą wrośniętym w trawę
parku Majkowskiego
serce zaczęło śpiewać.
Gdy niebem powiał
zielony, młody wiatr
stary pień, zmęczony
bo ma wiele lat
świeże pędy puścił na świat.
Czekał na dotyk deszczu
jak na czułe słowo
czekał na dotyk słońca
jak na wielką miłość.
Każdy o niej marzy
każdy jej potrzebuje
w każdym drzemie moc uczuć
miłość nieodwzajemniona umiera
drzewo bez dotyku
wiatru, deszczu i słońca
staje się martwe.

Krystyna Labuda

* * *

Każdego dnia
mijamy się z godziną
naszych narodzin
i naszej śmierci
jest tylko wpisana w inną scenografię.

W numery domów, samochodów
liczbę gwiazd
i numery totolotka

Nawet nie wiesz, że wygrałeś życie
tego ranka mogło nas już nie być
tyle komet omija ziemię
dobry Bóg kieruje ruchem gdy śniesz.

Także twoje serce
budzi się co rano do życia
Oby nigdy nie zabrakło mu paliwa
którym jest miłość

Bądź skąpany w miłości
Bądź miłością
Bądź zdrow...

Anna Wiśniewska

Z galaktyk

Znam skromnych badaczy gwiazd
oziębłych takż jak one, najmocniej
śpiących w południe, wstających
gdy niebo płonie.

Stawiają mnóstwo zer na swoich
trudnych wykładach i wiedzą na
tysiąc lat przed którą z gwiazd
będzie spadać.

Ach jakże chwiejny ich krok gdy
czasem wzdłuż ziemi kroczą.
Och jakże piękni są gdy w górę
swe oczy wznoszą.

I choć nie ronią łez to czasem
są zakochani, lecz wtedy
mylą się im dziewczyny z aniołami

Andrzej Sitek

Jesienna impresja

na brzegu morza
porzucone słów harpuni
tu czas otwiera się wiąż od nowa
późnym latem kiedy słońce wschodzi krwawo
a płonie jak w obrazie Moneta
nad głową pochyloną moją

nisko płyną tu obłoki i chmury
gdy po niebie klucz bociani cwałuje w poprzek mojej drogi
to z królewskim dostojęństwem rzeka płynie
i z gracją godną dam dworu
przy mnie strumień szepcze

w cembrowinę studni uderza światła oszczep
parząc mnie promieniem
gaśnie jak my po ludzku i zwyczajnie
w rozwidleniu drogi

w tej jednej i jedynej chwili
płyną po niebie niedosiężne dla nas lata świetlne
w czasie tym artysta barwi na czarno ostatnią symfonię
preludia deszczu słysząc zza otwartego okna
wspinają się ciężko ze mną po niebie chmury ołowiane
świt zagląda przez zakratowane okno

Andrzej Ziobrowski

Życie jak sen

Były lata, a było ich wiele
i nie było wśród nich lat przestępnych
kiedy życie jak sen niespokojny
jak majaki buchało u dziecka w gorączce

Jest rok
czy rozciągnie się w przyszłość?
gdy do snu się wdzierają anioły
i wszczynając co rusz głośne burdy
z demonami mnie budzą po nocach

Czy zbliżają się
sny jak marzenia?

Te z wrózkami o wzroku maślanym
w których chłopiec wychodzi do lasu
by w godzinie wyznaczonej
przez zjawy
brodząc w runie
z gwiazdnym pyłem na skroniach
między drzew pochylonych cieniami
uśmiechnięty
snuć życie
ze śmiercią
tak niepomny, że
urósł
maleje

Czy czekają mnie?

Jeśli przyjdą
otworzę szufladę
załaduję naboje do pióra
wstawię podpis czytelny i datę
i wyrzeknę się innych jesieni

Bo
chcę poznać Ziemię jak z podręcznika
zanim mnie w niej na dobre zakopią
posmakować Powietrza przez chrapy
nim zmieszają się zeń moje prochy
obmyć twarz rzešką Wodą
poczuć ciepło od Ognia

Póki łódź stoi pusta przy brzegu
i nie zbiera nikt drewna do stosu

Marcin Fedoruk

Recepta

Byłam u lekarza.
Zdziwiony moim stanem zdrowia,
przypisał tylko receptę
i wypuścił do domu.

Nie musiałam iść do apteki,
karteczka ładnie zapisana
ukazała następujące słowa:
„dużo więcej miłości,
jeszcze więcej zrozumienia,
spełnienia marzeń,
miłych niespodzianek,
spotkań z przyjaciółmi,
kubek białego wina
i na tym koniec.
Bo to powiedzieć muszę
że ciało nie cierpi -
widzę za to zranioną duszę”.

Zdziwiona receptą... pobladłam.

Usiadłam na ławce
i pomyślałam w zadumie:

„Lecz ja inaczej cierpieć nie umiem...”

Anna Wenta

Słowa z głębin duszy

Z głębi duszy mojej
Gra muzyka
Z głębi duszy mojej
Miłość rozkwita
Z głębi duszy mojej
Radość rozpromienia

Bawmy się póki możemy
Kochajmy tu i teraz
Bo, może być wkrótce za późno
Dzielmy się radością zawsze
i wszędzie
Bo, życie jest zbyt krótkie, by
Trwonić je na kłótnie
I te drobne i większe smuteczki...

Monika Konkol

Ballada o miłości

Wtulmy się
W chłodne prześcieradło
W naszą krainę miłości złotej
I zgaśmy ten świat
Jak grobowy znicz czerwieni
On nie jest nam potrzebny

Twoje słowa
Tak czułe
Delikatnie przylatują do mnie
Jak małeńkie stalowe motyle

Twoje ciepło
Tak wiosenne
Szybko sprawia
Że umiem żyć słonecznie
I umiem umrzeć słonecznie
Dla Ciebie

Cała drżysz
Tak niewinnie
Widzisz ja zostawię wszystko
Bo Ty przecież
Jesteś wszystkim czego nie mam

Więc zgaśmy ten świat
Światem jesteś mi
I dlatego ja nie chcę już nic
Przecież jest nasza miłość
Z innego świata jak my

Mateusz Odyniecki

Wspomnienie

Choć los rzuci mnie gdzieś daleko,
to i tak odnajdę drogę do domu rodzinnego,
bo wiem, że na progu czeka wciąż Matka.

Wita uśmiechem i łzą na policzku.
Spracowane dłonie przyciska
do serca, które szamocze się w piersi,
jak ptak uwięziony, pragnący wyrwać się
na wolność.

A mnie się zdaje, że to kołysanka,
którą mnie Matka do snu usypiała.
Choć wiem, że nie wróci beztroskie dzieciństwo,
to jakże słodko o nim wspominać.
Bledną wtedy strachy i smutki.
I znowu jestem szczęśliwa w Jej ramionach.

Powrót

Daleko rzucił mnie los
i szukam drogi powrotnej.
Błądząc po bezdrożach,
na próżno pytając przechodniów
o drogowskazy.

Rozpal Matko w swym sercu
ogień miłości do mnie,
dziecka zbłąkanego,
które w szerokim świecie,
szukać szczęścia chciało.

Teraz z bagażem doświadczeń wracam,
jak syn marnotrawny,
By skołatane serce przytulić do Twego
i wyszeptać w ciemności -
Jak dobrze znowu być w domu.

Gabriela Wańdoch

Obzor

Basi Waśniowskiej

w tym bursztynowym śnie w ażurowej sukience
stąpa rozpaloną
plażą gdzie czarnomorski piasek parzy bosc stopy

jak omszała tasiemka linia morza i brzegu
horyzont - kruchy szew
spinający odcienie błękitu i turkusowy
ton gdzie krąży tęczowa ławica

woda śpiewa - ma kolor rdzawy i bordowy - inny
niż go zatrzyma oko
aparatu

w tym bursztynowym śnie biegnie niby beztroska
dziewczynka -
nie przetnie czasu tętnicy jednak zakładając
kapelusz z żółtą wstążką
w spienionej głębi
snu dostrzega rafy koralowe lepkie korale
alg -
Basia marzy o Obzor

Anna Piliszewska

Droga z Przyjacielem

Święty Krzysztofie, Patronie podróży,
Ty swoją opieką w drodze nam służysz,
by każdy szczęśliwie dotarł do celu,
bądź z nami w drodze, drogi Przyjacielu.

Kiedy jestem w drodze, o opiekę proszę,
i moją modlitwę do Ciebie zanoszę,
by była bezpieczna ma codzienna droga,
bym nigdy nie spotkała nieszczęścia i wroga.

Ty na swoich barkach dźwigasz cały świat,
mogę ofiarować swej modlitwy kwiat,
i prosić o opiekę dla całego świata,
niech moja modlitwa, łaskami bogata.

Z drogi niech znikają, wyboje, zakręty,
czuwaj, proszę nad nami, Ty Krzysztofie Święty,
a kiedy ktoś zbłądzi na manowce w drodze,
to Ty go Krzysztofie nie karzesz zbyt srodo.

Wznoszę moją prośbę, wznoszę w Twym kierunku,
w drodze ja poproszę, od Ciebie ratunku,
by mnie prowadziła bezpiecznie do celu,
bo Ty w drodze jesteś, ze mną Przyjacielu.

Jadwiga Żurawiecka

Gburszci apel

tëch, co na Bòszczich pastwiskach

- Jelonkù - ze złómóną nogą
Za słabą na gbùrską kòszarkä
- Òwieczkò - z macëcą pópórodową
Za wiòlgą, że wësza jes z póchwë
- rzesze swińszich blondinków -
Nieódpórnëch na wsceklé wirusë
- Kóniu - z przbitą tătnicą
W czas sniegówëch ùcech
- Psów matkó - na trzech nogach
Pógrëzłó przez jinsza,
Z miłotą wikszą niże wszelko jinô,
Za słabò na gnajacé àuto
- Kóniu - wijący sã w bólach jak
piskórz
- Zgrzébiã ta - ódchòdajacé
w dzëwich pòdskókach i saltach
niebaczné na jiwër i smùtk klaczi
- Kótë - dachówcë, pòdwórzowcë
Salonowcë z zelonoóką Minią
Zjadła po 19 latach przez reka
- „Belo” - z pòlsczych gór
Pilëjąca kaszëbsczich pól,
Psu biòli jak snieg,
dobëtò przez lëpińcowi zawał
- Weronkò - kóniu pierszi,
Matkó wësokòpòlsczych nastãpcziń
Z zëwòtã skùńczonym
„Ù zdrojów Radëni”
- Trusë - za môlé bë przëzec bez nënczi
Na Bòszczich wë ju pastwiskach
Bez bólu, jiwru i pòd òkã
Nòlepszegò Pasterza
Zdòjta na mię na niebiańszci pażacy

Wanda Kiedrowska

Tima, co odeszli

Je taczi sztót w rokù
chtëren przëbòcziwò nóm
krëchòtã lëdzcégò zëcò.
Czej czëjesz szemorzenié
drzewiãt,
widzysz spòdajacé lëstë
nachòdzy smùtan.
Nawiédzòsz smãtòrze.
Czej na grób ceptò wezdrzisz
ògnisté wspòminczi
przëlecã jak ptòk.
Nawetka jesienny wiater
nie zgasy widu swiecczi,
chòc bådze ce pùsti i zòl.
Wezdrzatk farwnégò smãtòrza
wznòszò,
bò miłotã w duzi mòsz.
Chòdzysz i mëslisz,
wspòminczi snëjesz.
Òddòwòsz òdeszłim
pamiãc i tczã
Zapòl swieczkã,
pòlòz dankã
zmów mòdlitwã
- to nòlepszi dòrënk
twoji pamiãcë

Marta Browarczyk

Gród Wejhera jako miasto najpiękniejsze

Z woli króla Jana Kazimierza w 1650 roku jako miasto datowane,
Przez o. Grzegorza Gdańskiego kronikarza opisane.
Jaki to piękny kaszubskiej ziemi zakątek,
któremu założycie! miasta Jakub Wejher dał początek.
Tu słyhać wdzięczny szum rzeki Redy i Cedronu płynące przez okolice,
Pozwól mi wargi umoczyć, odsłonić swego początku tajemnice.
Wejherowo to: rynek, ratusz, przepiękne kamienice, centrum kultury,
Kościoły, kalwarie, pałac renesans architektury.
Miasto Wejherowo słynie sławą.
Tutaj pielgrzymki przychodzą ze wszystkich kaszubskich stron,
Z radosnym śpiewem, muzyką, do wejherowskiej Pani przed jej tron.
Wejherowo to miejsce edukacji młodzieży, wychowanie,
biblioteki, szkoły to dobre wezwanie.
Jest tu basen, kręgielnia i korty,
To miejsca wspaniałe na wszelkiego rodzaju sporty
W mieście tym kultura brani bogato,
Czy to w zimie, czy też w lato.
Tutaj w Duchowej stolicy Kaszub rozbrzmiewały: pierwsza „Kaszubska Pasja”,
„Kaszubska Verba Sacra”, które po brzegi świątynie wypełniały,
Które w śpiewie i w tekstach biblijnych w całości dzieła w mowie storków
dopełniały.

W tymi kalwaryjskim mieście spełnią się słowa
Ze spotkania Jana Pawła II z Kaszubami, gdzie była mowa:
*„Drodzy Bracia i Siostry Kaszubi strzeżcie tego dziedzictwa i tych wartości,
Które stanowią o Waszej tożsamości”.*
Na rynku dumnie wartość trzyma jego założyciel Jakub Wejher,
który bronił Polski i żył sprawiedliwie
I dlatego na Wejherowskiej ziemi żyje się szczęśliwie.
To jest miasto najpiękniejsze pośród łąk, rzek i lasów...
Tutaj okazja jest wspaniała,
Dla gościny, dobrych wczasów.
Wiele wkładu w upiększaniu miasta władze dają,
I co roku konkursy zielone i świąteczne urządzają
I dlatego w mieście tym tak przytulnie mają.
Powiem, że żadne poznane miasta inne,
Nie są tak piękne jak wejherowskie ziemie nizinne.

Brunon Szpica

Śmiechowska Pani

Królowo Polski
Przez Śmiechowian Figurą nazywana
Ze składek społecznych powstaną
Z inicjatywy Działkowców w roku 1936 pobudowana
To TY Maryjo trzy razy dziennie swym dzwonem
Na Anioł Pański do modlitwy zachęcałaś
Oraz o śmierci działkowców oznajmiałaś
Tak było do października 1939 roku
Niemcy dzwon o wadze 100 kg zabrali
Ale Figurze spokoju nie dali
TY MARYJO również z Dzieciątkiem ucierpiałaś
Bo najeźdźcy przeszkadzałaś
Zakopali Cię Maryjo w ciemnej mogile
I tak sześć lat przeleżałaś
Ale jak Feniks z popiołów powstałaś.
Działkowcy Cię Maryjo z ziemi wydobyli
Dawną świetność przywrócili
Pięknego majowego dnia 1946 r. ponownie poświęcili
I tak jak przed wojną nadal czcili.
Pięćdziesiątą rocznicę postawienia Figury uroczystie obchodziłaś
Podczas Bożego Ciała rzesze ludu wokół siebie zgromadziłaś
Tak już zostało , że co dwa lata w Boże Ciało
Wokół Ciebie Maryjo się gromadzimy
I o lepsze jutro prosimy.

Rok 2001
MARYJO i Ciebie cywilizacja nie ominęła
Lecz władze miasta to zauważyły
I właściwe miejsce Matce Bożej Królowej Polski przywróciły.
Pięknie odrestaurowana Jesteś wizytówką nie tylko Śmiechowa
Ale i całego Wejherowa.

Teresa Uzdrawska

Tren 1

W hołdzie wielkiemu człowiekowi tej ziemi

Czy naprawdę tak się kończy życie,
To nasze ziemskie bycie?
Nagle w cichości nocy,
śmierć już blisko kroczy.
Wtedy do kogoś przychodzi,
A od nas znów ktoś odchodzi...
Niby takie obce, a jakże bliskie się staje...
Niby tak dalekie, a odczuć bardzo się daje.
Wtedy strach i wątplenie,
Potem ból i zmartwienie.
Nagle iskierka gaśnie
I wszystko po niej wnet zaśnie.
Tą iskierką jest ks. Bogusław z fary,
Który nas nauczył mocnej wiary.
Tym większy jest ból i strata,
Bo ksiądz proboszcz był dla nas jak tata.
Niestety już nie ujrzymy tej twarzy,
Tej która tak miłością nas darzy.
Już nigdy też nie ujrzymy księdza w swym kościele
Ale nas jeszcze wciąż tam będzie wiele,
Bo nawet jeśli tradycja zaginie,
Z naszych serc wiara nie zginie.
Gdyż ks. Bogusław z fary,
Nauczył nas z tej wiary...
Księżę Żurawski, jakże tu pusto jest bez Ciebie.
Mimo że pamięć z nami, to Ty przecież w niebie...
Jest jak mówiłeś, śmierć przychodzi niespodzianie,
A każdy z nas ma do wypełnienia inne zadanie.
To Twój duchowy testament, za którym podążać należy,
Bo wiara to przecież nie tylko odmawianie pacierzy...
Prawdziwy pasterzu i kapłanie prawdziwy,
W naszych sercach na zawsze pozostaniesz żywy...
Lecz życie teraz innym się stało,
Gdy przeznaczenie Ciebie ze świata żywych zabrało.
Chyba historia przestanie być najlepszego wydania,
Jedno wiemy czas leczy, goi i odpowiada na pytania.

Jan Rzeszewicz

Z głębin duszy

czasami słowa same
pojawiają się na papierze
pióro to tylko narzędzie
przez które wypływają
a wychodzą właśnie
z głębin mojej duszy

czasami pojawiają się
nieproszone niechciane
wtedy ranią gdy patrzę na nie
lecz są i słowa piękne
które po latach stają się
ukojeniem dla duszy mej

słowa ranią i cieszą
sprawiają ból i radość
przynoszą ukojenie
mogą dać dużo dobra
więc piszmy tylko takie słowa
które przypomną radosne chwile

Karolina Rost

Za późno

Zakręciła się
I spadła
odszedł
Są chwile które pamiętam
Jak we śnie
ten język spojrzenia
Gdybyś wtedy umiał
Gdybym wtedy znała
Gdybyśmy oboje mieli
choć połowę serca
nie potrafiła drażnić
naszego głazu
Zakręciła się
I spadła
A ja zostałam
Sama

Lidia Zdzitwiecka

Czas należy do nich...

Jeżeli chcesz miłości jak z bajki...
powinieneś uczynić mnie swoją Królową
w pięknym pałacu żylibyśmy sobie
tak bardzo zakochani jakby z czarowani

naszym skarbem byłaby miłość wzajemna
a cały świat zazdrościłby nam

Jeżeli chcesz miłości jak z bajki
otrzyj łzy i nie płacz więcej
nie myśl o niczym, co zamartwia Tve serce
liczy się tylko to, co czujesz do mnie...
a kochasz mnie całym swym sercem ogromnie...

ja też Cię kocham mój Książę z czarowanej krainy...
tak bardzo za Tobą tęsknię,
gdy nie ma Cię obok mnie

Powiem Ci jeszcze w sekrecie...
że lubię drobne kłótnie Tve...
nie po to, by nie odzywać się kilka dni
lecz po to, by Tve usta z moimi połączyły się w mig

tak, wiem.. to chore rozumowanie
ale kocham Cię... i tak już zostanie

cały świat patrzy na nas i dziwi się:
- Czy oni są z tej bajki?? -
- Chyba nie... są zbyt szczęśliwi, zbyt zakochani w sobie...
miłość istnieje a oni są żywym dowodem...
czas należy do nich...

Magdalena Roszman

W ramionach Taty

Pięknie jest płakać w ramionach taty,
czuć jego bliskość i męskość.
Rękę, która moje włosy gładzi,
nic bardziej cudownego.

Pięknie jest płakać w ramionach taty
i czuć jak mą łzę ociera.
Delikatny uśmiech i głos spokojny,
jedyny w mym sercu mężczyzna.

Nie lubię płakać, ale w ramionach taty,
głośno sobie szlocham.
Płaczę i uśmiecham się,
bo wiem, że mnie bardzo kocha.

Anna Bejrowska



Posłowie

Czy można zaryzykować stwierdzenie, że każdy napisał w swoim życiu co najmniej jeden utwór? Może wiersz. Może swoją tajemnicę powierzył pamiętnikowi? Pewnie tak, bo chyba każdy znajdował się w stanie takiego napięcia, spowodowanego wielką radością, albo bólem nie do zniesienia, że nie pozostało nic innego, jak tylko sięść za biurkiem przy stole i swoje rozpalone uczucia przelać na papier. Często w formie najprostszej - bez zbędnych słów, rozwodzenia się nad problemem, żeby zdążyć uchwycić ów wewnętrzny głos, domagający się uporządkowania w wersy, zadnia, rytm, rym...

Tak, to literatura. Tajemnica o takiejże prowienienici, co miłość i inne gwałtowne uczucia, których doznajemy w naszym życiu. Jeden z wielkich pisarza powiedział, że „krzykiem miłości jest muzyka, a literatura jest jej myślą”. Ale literatura jest też sprawą odwagi, bo nagle dokonujemy ekshibicjonizmu własnych uczuć, czasami tych najskrytszych, o których w innych okolicznościach na pewno z nikim byśmy nie rozmawiali. Dotyczy to szczególnie autorów najmłodszych, którzy biorąc się do przelewania uczuć i myśli na papier, muszą stać się skrajnie arbitralni. Bo nikt im nie pomoże, kiedy staną przed wyborem napisania takiego a nie innego słowa, porównania, określenia problemu...

Na ogół w tego typu sytuacjach piszący pozostawieni są sam na sam ze swoimi wątpliwościami. Z pewnością zadają sobie wówczas pytania: „Czy to, co robię ma sens?”, „Czy dobrze czynię obnażając się przed światem?”, „Czy utwór ma jakąkolwiek wartość?”, „Czy warto komuś go pokazać?”, „Czy skazać go na powolną śmierć na dnie szuflady?”.

Nic dziwnego, że zanim taki tekst - jako efekt pracy twórczej - ujrzy światło dzienne i trafi pod oko jurora, jego autor zmaga się z całą serią wątpliwości i nadziei. Niezależnie od wyników konkursu tę nadzieję wspiera jednak możliwość publikacji utworów konkursowych w postaci książkowej. Szansa na druk, to dla twórcy bez dorobku wydawniczego, jest jak gest podania ręki potrzebującemu, jak zielone światło na skomplikowanym skrzyżowaniu dróg. Również dla uznanych już w naszym regionie autorów, takich jak Mirosław Odyniecki czy Tadeusz Buraczewski, przyznana nagroda też winna cieszyć, bo przecież podnosi prestiż i dowartościowuje.

A trzeba zauważyć, że w III edycji Wejherowskiego Konkursu Literackiego „Powiew Weny”, oprócz twórców stawiających pierwsze kroki w literaturze, udział wzięły osoby, których prace wyróżniają się dojrzałością literacką. Są poprawne stylistycznie, posiadają przemyślaną konstrukcją wewnętrzną, spójną strukturę i intrygującą fabułę lub ciekawy i zaawansowany warsztat

poetycki. Może to oznaczać, że ci autorzy pisali dotąd do szuflady, a konkurs był okazją do pokazania ukrytych skarbów. Najważniejsze, że konkurs zyskuje coraz większe zainteresowaniem nie tylko wśród dorosłych, ale także wśród młodych twórców.

Zgłoszone do konkursu prace, zwłaszcza prozatorskie, dotyczą współczesnego życia, nierzadko problemów etyczno-moralnych, egzystencjonalnych i społecznych. Niektóre mają charakter pamiętnikarski odwołując się do wspomnień i przeżyć z okresu dzieciństwa. Szeroki wachlarz tematyczny prac i ich rozpiętość gatunkowa (liryka, satyra, bajka, opowiadanie) ukazują potencjał literacki drzemiący w naszej lokalnej społeczności, do której przecież konkurs ten jest adresowany. On w swoim założeniu ma bowiem pomóc osobom piszącym pokazać swoją twórczość.

Po komisyjnej analizie nadesłanych utworów można pokusić się o tezę, że większość osób, które postanowiły zgłosić swoje prace do wejherowskiego konkursu literackiego, posiada coś, co można nazwać darem twórczym, uzdolnieniami literackimi, a w kilku przypadkach nawet talentem. W mniejszym lub większym stopniu jest to zdolność do przekształcania swojej wewnętrznej mowy na słowa międzyludzkiej komunikacji czy artystycznego dialogu z czytelnikiem. I choć niektóre sytuacje liryczne czy dramatyczne nie są jeszcze na tyle skomplikowane, aby zaskoczyć czytelnika, a środki poetyckie nie zawsze tak zbudowane, żeby zachwycić swoją konstrukcją, widać w nich pracę twórczą i dążenie do artyzmu. To buduje i napawa nadzieją, że ziarno rzucone na glebę kultury literackiej będzie owocować przynosząc z roku na rok coraz lepszy plon. Nigdy nie dość dziękować za obfite dary ducha, za dar słowa, który dla każdego twórcy jest narzędziem do opisanego tego, co widzialne i odczuwalne, czego kształt jest czasem tylko zasugerowany, podpowiedziany, a który stał się inspiracją do podjęcia konkursowej twórczości.

Mimo ograniczeń regulaminowych na konkurs wpłynęły prace z południa kraju (Anna Piliszewska z Wieliczki, Andrzej Ziobrowski z Nowej Huty). Komisja nie mogła ich kwalifikować. Jednak przykładem ubiegłorocznego konkursu zostały one włączane do publikacji książkowej. Podobnie uczyniono z dwoma utworami w języku kaszubskim. Regulamin nie przewidywał nagród w tej kategorii, ale znalazły się one w pokonkursowym zbiorze. Zważywszy na tego typu oczekiwania organizatorzy rozpatrzą możliwość utworzenia tej kategorii, choćby w dziedzinie poezji, w następnej edycji konkursu.

Generalnie jurorów cieszy radość z efektów jakie przyniósł obfity dorobek tegorocznego „Powiewu Weny”. To głębokie i bogate źródło bijące z serca Kaszub, o które organizatorzy konkursu będą dbać, jak o najcenniejszy skarb.

*Członkowie komisji konkursowej:
Danuta Balcerowicz, Eugenia Drawz, Grażyna Wirkus,
Tomasz Fopke i Henryk Polchowski*

Spis treści

| | |
|------------------------------------------------------------------------|----|
| Bogdan Tokłowicz - <i>Droży Czytelnicy</i> | 5 |
| Wyniki konkursu | 7 |
| Mirosław Odyniecki - <i>Na wiejskim weselu w Górcie Małej</i> | 9 |
| Lucyna Kurpiewska - <i>Opętanie</i> | 24 |
| Magdalena Topp - <i>Kobieta numer dwadzieścia siedem</i> | 36 |
| Hanna Bemke - <i>Kochanie, jestem aniołem...</i> | 48 |
| Tadeusz Buraczewski - <i>Znak pokoju</i> | 55 |
| Lidia Zdzitowiecka - <i>Misja pokojowa</i> | 59 |
| Karolina Rost - <i>Pamiętam</i> | 64 |
| Tadeusz Buraczewski - <i>Wejherowo blues...</i> | 67 |
| Tadeusz Buraczewski - * * * , <i>Listopad - nocą</i> | 68 |
| Maria Grzebińska - * * * | 69 |
| Maria Grzebińska - * * * , * * * | 70 |
| Piotr Skurzyński - <i>Chrystus Frasobliwy</i> | 71 |
| Piotr Skurzyński - <i>Cmentarz w Kostkowie, Ulotność wg Trzechetki</i> | 72 |
| Lilia Wilczyńska - <i>Muzyka co w duszy gra...</i> | 73 |
| Lilia Wilczyńska - <i>Portret..., Starość</i> | 74 |
| Luiza Czupajło - <i>Antidotum</i> | 75 |
| Luiza Czupajło - <i>Bądź</i> | 76 |
| Luiza Czupajło - <i>Razem</i> | 77 |
| Aneta Fuhrmann - <i>Samotność</i> | 78 |
| Aneta Fuhrmann - <i>Wspomnienia</i> | 79 |
| Aneta Fuhrmann - <i>Słowa</i> | 80 |
| Marcin Pelcer - * * * | 81 |
| Marcin Pelcer - * * * | 82 |
| Izabela Jagła - <i>Słowa, Z głębin</i> | 83 |
| Izabela Jagła - <i>Duszy</i> | 84 |
| Anna Wiśniewska - <i>Miłość przed wojną</i> | 85 |

| | |
|----------------------------------------------------------------|-----|
| Anna Piliszewska - <i>Szept cywilizacji</i> | 88 |
| Wanda Kantecka - <i>Zwierzyniec Stasi</i> | 92 |
| Feliks Sikora - <i>Pieśń o Rolandzie</i> | 96 |
| Piotr Skurzyński - <i>Trzech panów z jedną nogą</i> | 102 |
| Barbara Cebulak - <i>Czuję twą obecność Panie</i> | 110 |
| Aleksander Lewandowski - <i>Obce uczucia</i> | 111 |
| Hanna Bemke - <i>Rankiem</i> | 112 |
| Krystyna Labuda - <i>Wieczór życia</i> | 112 |
| Anna Wiśniewska - * * * | 113 |
| Andrzej Sitek - <i>Z galaktyk</i> | 113 |
| Andrzej Ziobrowski - <i>Jesienna impresja</i> | 114 |
| Marcin Fedoruk - <i>Życie jak sen</i> | 115 |
| Anna Wenta - <i>Recepta</i> | 116 |
| Monika Konkol - <i>Słowa z głębin duszy</i> | 116 |
| Mateusz Odyniecki - <i>Ballada o miłości</i> | 117 |
| Gabriela Wańdoch - <i>Wspomnienie, Powrót</i> | 118 |
| Anna Piliszewska - <i>Obzor</i> | 119 |
| Jadwiga Żurawiecka - <i>Droga z Przyjacielem</i> | 120 |
| Wanda Kiedrowska - <i>Gburszczy apel</i> | 121 |
| Marta Browarczyk - <i>Tima, co odeszli</i> | 121 |
| Brunon Szpica - <i>Gród Wejhera jako miasto najpiękniejsze</i> | 122 |
| Teresa Uzdrowska - <i>Śmiechowska Pani</i> | 123 |
| Jan Rzeszewicz - <i>Tren 1</i> | 124 |
| Karolina Rost - <i>Z głębin duszy</i> | 125 |
| Lidia Zdzitowiecka - <i>Za późno</i> | 125 |
| Magdalena Roszman - <i>Czas należy do nich...</i> | 126 |
| Anna Bejrowska - <i>W ramionach Taty</i> | 127 |
| Posłowie | 128 |